

SIECI

**WIELKA ŚCIEMA
W ŚCIEKACH**
KTO ODPOWIE ZA AWARIĘ CZAJKI?

**DLACZEGO ZACHÓD NIE POMOŻE
BIAŁORUSI**

**SOJUSZ
MICHNIKA Z URBANEM
REAKTYWACJA**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 38 (407) 2020
14-20 września 2020
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

W MOCNYM WYWIADZIE

JAROSŁAW KACZYŃSKI

PREZES PiS MÓWI NAM O WALCE
Z OFENSYWĄ IDEOLOGII LGBT,
ZMIANACH W RZĄDZIE,
REFORMACH, A TAKŻE O TYM,
CZY POLSKA MIAŁA WYBÓR
W 1939 ROKU

**BĘDZIEMY
TWARDĄ
BRONIĆ
NASZYCH WARTOŚCI**

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



NOWA OFERTA Z NOWYMI PAKIETAMI!

ULUBIONE KANAŁY W JEDNYM PAKIECIE



TELEWIZJA
SATELITARNA



TELEWIZJA
KABŁOWA

KANAŁY NICKELODEON I CINEMAX DOSTĘPNE PRZEZ PIERWSZE 24 MIESIĄCE UMOWY.

30
zł/mies.

Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i telewizji kablowej IPTV przy umowach z pakietem M z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe, w którym cena wynosi 30 zł/mies. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.

„Życ, śpiewać”. © 2020 Home Box Office Inc. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Lewica w pseudokatolickiej folii



Biseksualna posłanka Lewicy dołączyła do Polski 2050 Szymona Hołowni, który z zachwytem ogłasza, że to „jedna z najlepszych postaci w polskiej polityce”. O co w tym chodzi?

Poszukiwania nowego lidera opozycji trwają w najlepsze. Część środowisk medialno-biznesowo-politycznych nie rezygnuje z Szymona Hołowni, obserwując coraz poważniejsze problemy Rafała Trzaskowskiego. Pompowanie sondaży, kreowanie wizerunku, pozyskiwanie sojuszników i funduszy wskazują na daleko zakrojone plany nowej siły politycznej, której cele wymierzone są bardzo wysoko. Hołownia ma być projektem nie tylko politycznym.

Jest projektem społecznym, rozszerzającym zasięg tzw. Kościoła otwartego i zmieniającym sposób myślenia opinii publicznej na lewicowy.

Ostatni transfer pokazuje, w którą stronę zostanie poprowadzona ideologiczna narracja nowego bytu.

„Bardzo cieszymy się z tego, że Hanna Gill-Piątek zdecydowała o dołączeniu do Stowarzyszenia Polska 2050, inicjując w ten sposób tworzenie trzeciego filaru naszego ruchu. Zasilając swoją wiedzą naszą »głowę«, a wrażliwością nasze »serce«, stała się naszymi pierwszymi »rękoma«, czyli siłą polityczną, aktywną w parlamencie. Haniu, gorąco witamy Cię na pokładzie!” – napisał Hołownia na Twitterze.

I choć wydarzenie można by uznać za marginalne, bo w tej części opozycji takie przejścia i koali-

cje są dosyć powszechne, warto zwrócić uwagę na to, jaka to „wrażliwość” tak cieszy Hołownię. Kilka miesięcy temu Hanna Gill-Piątek wystąpiła wspólnie z Anną Marią Żukowską z SLD na okładce pisma LGBT, ogłaszając swoją biseksualną orientację. „Gdy startowałam w 2015 r., organizacja Miłość Nie Wyklucza zapytała mnie o coming out i przez chwilę zastanawiałam się tylko, czy jestem bardziej fleksi czy bi. Licząc czas spędzony w związkach, to bardziej fleksi (sporo więcej czasu spędziłam w związkach z mężczyznami), a licząc po ilości spotkań, randek, fascynacji – to bi. Miałam też pewne obiekcje, czy będąc bi i w związku z mężczyzną mogę reprezentować społeczność LGBTI. Stwierdziłam jednak, że nie będę kombinować. Zawisłam więc jako osoba biseksualna na stronie MNW” – mówiła w wywiadzie dla „Repliki”. Zwolenniczka aborcji na żądanie, nieustannie atakująca Kościół i powielająca skrajnie lewicową propagandę ma dziś zasiłić swoją wiedzę, wrażliwością i siłą szeregi stowarzyszenia Polska 2050. Zwolennicy złowieni na katolicki lep poddani zostaną ideologicznej obróbce. Niektórzy nawet nie zdążą się zorientować, że mają do czynienia de facto z lewicową myślą, owiniętą dla niepoznaki pseudokatolicką folią.

Szymon Hołownia powoli zbiera żołnierzy do swojego ideologicznego wojska. Idzie szeroko. Jego mentalny synkretyzm jest w stanie pomieścić wszystko, jak przystało na reprezentanta Kościoła otwartego. Łączy życie sakramentalne z pochwałą ideologii LGBT+ i milczącą akceptacją profanacji. Niektórzy upatrują w tym duże nadzieje. Czymś trzeba przecież zmiekczyć katolicki beton głoszący na PiS. A skoro nie da się z katolickiego społeczeństwa całkowicie wyeliminować Kościoła, trzeba zastąpić go zideologizowanym substytutem, który pozwoli realizować kolejne etapy kulturowej rewolucji.

Marzena Nykiel


33

Polityk musi się liczyć
ze zmianami
*Z Marzeną Małąg
rozmawia Dorota Łosiewicz*


41

Obwiniam za to NFZ
z dr. n. med. Marcinem
Wolskim rozmawia
Aleksandra Jakubowska


69

Relacje z Forum
Ekonomicznego
w Karpaczu
Dodatek specjalny

NA POCZĄTEK

- 6** SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8** INTELEKTUALIŚCI POPULIŚCI
Bronisław Wildstein
- 10** GDZIE MNIE NIE MA
Dorota Łosiewicz
- 12** ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 14** ZDJĘCIA Z PODRÓŻY
ANDRZEJA WIKTORA
Michał Korsun
- 15** PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort
- 16** OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki
- 17** DLA NASZYCH BRACI MNIEJSZYCH
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18** PROBLEMATYKA RURY I KOŁORY
Jan Pietrzak

TEMAT TYGODNIA

- 20** MAMY PRAWO BRONIĆ
FUNDAMENTÓW NASZEJ
CYWILIZACJI
z Jarosławem Kaczyńskim
rozmawiają Jacek i Michał Karnowsky

KRAJ

- 27** KUSZENIE URBANEM
Konrad Kołodziejcki
- 30** WIELKA ŚCIEMA W ŚCIĘKACH
Stanisław Janecki
- 33** POLITYK MUSI SIĘ LICZYĆ
ZE ZMIANAMI
z Marzeną Małąg rozmawia
Dorota Łosiewicz
- 38** GRABOWSKI PRZECHODZI W GALOP,
IPN MÓWI: „SPRAWDZAM”
Jakub Augustyn Maciejewski
- 41** OBWINIAM ZA TO NFZ
z dr. n. med. Marcinem Wolskim
rozmawia Aleksandra Jakubowska

BIAŁORUŚ

- 44** TESTOWANIE INNEJ JAŁTY
Marek Budzisz
- 48** BEZUŻYTECZNY MODEL ORMIAŃSKI
Jan Rokita

OPINIE

- 50** JAK NAD WISŁĄ PUTINA WYBIELANO
Marek Pyza

SIECI KULTURY

- 53** ZŁOŚĆ I BEZRADNOŚĆ
Jolanta Gajda-Zadworna

- 55** ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba

- 56** TĘCZOWO-BRUNATNA FALA
Robert Tekieli

- 57** WOJNA ŚWIATÓW
Robert Tekieli

- 58** CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY
Wojciech Stanisławski

HISTORIA

- 60** DZIEŃ, KTÓRY NIGDY SIĘ NIE
SKOŃCZYŁ – 17 WRZEŚNIA 1939 r.
Wojciech Łukaszun, Dmitry Panto
- 63** ZDRAJCA CZY ŚWIĘTY
o. Paweł Cebula

GOSPODARKA

- 66** TARCZE CHRONIĄ BEZPIECZEŃSTWO
MILIONÓW RODZIN
Z Pawłem Borysem rozmawiają
Michał Karnowski i Maciej Wośko
- 69** RELACJE Z FORUM
EKONOMICZNEGO W KARPACZU
Dodatek specjalny

KUCHNIA

- 80** MOJE SMAKI: OLGA NGUYEN
Jolanta Gajda-Zadworna
- 81** SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 82** NIEMOWLĘ PRZED EKRANEM
Hanna Karp
- 84** FELIETONY
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński
- 86** CHARBEL Z LIBANU
Alina Czerniakowska
- 87** FELIETON
Lech Makowiecki
- 87** Z ŻYCIA KOŚCIOŁA
Agnieszka Ponikiewska
- 88** ODWAGA KAPŁANÓW
WOBEĆ HOMOHEREZJI
Jan Pospieszalski
- 89** LATO, GDY JUŻ DO MAGAZYNÓW...
Leszek Długosz
- 90** TAJEMNICA PLATFORMY
Andrzej Zybortowicz



Polskie – kupuję to!

„Polskie – kupuję to!” to ogólnopolska akcja zainicjowana wewnętrznie przez pracowników Grupy PGE, której celem jest zachęcenie Polaków do wyboru rodzimych marek i produktów. Patriotyzm konsumencki to przejaw odpowiedzialnej postawy, godnej promowania i naśladowania tym bardziej, że korzysta na tym cała polska gospodarka. PGE zachęca do wybierania polskich produktów!

Artykuły polskie i zagraniczne często są do siebie podobne i robiąc zakupy możemy mieć problem z określeniem, które artykuły pochodzą od krajowych producentów i dostawców.

Dlatego PGE zachęca do korzystania z polskiej aplikacji Pola. Skanując kod kreskowy dowiesz się, czy firma produkuje i prowadzi prace rozwojowe w Polsce oraz czy tworzy ją polski kapitał. To proste, wystarczy zeskanować kod towaru, a aplikacja Pola pomoże znaleźć właściwego producenta.

Współpraca PGE z Polą to także rozwój aplikacji poszerzający jej bazę o nowe produkty i branże.



polskiekupujeto.pl

Sygnalista nadaje

Podczas Forum Ekonomicznego w Karpaczu z oczywistych powodów bardzo dużo mówiono o Białorusi. Pytano m.in. o przyszłość gospodarczą naszego sąsiada. W tym kontekście sporą furorę zrobiła informacja, że swoją pomoc w reformowaniu białoruskiej gospodarki zaoferował Leszek Balcerowicz. Prawdziwi przyjaciele Białorusi reagowali zgodnie: „Niech Bóg broni”. Bo przecież zamknąć fabryki i wysłać ludzi na bezrobocie to każdy głupi potrafi.

Wypędzona z Białorusi kandydatka na prezydenta Swiatłana Cichanouska otrzymała w Karpaczu nagrodę specjalną. Przyjechała w obstawie oficerów SOP i wygłosiła wzruszające przemówienie, w którym mówiła, żeby widzieć nie ją, ale prześladowanych. Sala nagrodziła ją owacją na stojącą, a szef Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych Sławomir Dębski porównał ją do Gandhiego i nazwał, ku zaskoczeniu wielu, „prezydentem elektem”. Cóż, można mieć nadzieję, że wiemy, co robimy i że to wciąż polityka, a nie tylko słuszne emocje.

Sama Cichanouska w czasie jednej z dyskusji na forum podkreślała, że w białoruskim buncie nie chodzi o geopolitykę, nie chodzi o Rosję, nie chodzi o Europę. Tu chodzi – przekonywała – o wstręt do ordynarnego oszustwa wyborczego i o odrazę do państwa, które bije swoich obywateli. Z kolei starzy opozycjoniści opowiadają, że liderzy obecnych protestów bardzo nie chcieli, by ich symbolem stała się białoczerwono-biała flaga, ale nie byli w stanie tej fali zatrzymać. Ale cóż, przy takiej skali protestów każdy widzi to, co chce widzieć.

Forum Ekonomiczne – które z powodu epidemii odbyło się w Karpaczu, a nie w Krynicy – było dużo mniejsze i skromniejsze niż zazwyczaj, ale też wyjątkowo ciekawe. Z politycznego punktu widzenia warto zwrócić uwagę na spokojne i koncyliacyjne zachowanie polityków opozycji. Słuchali argumentów, przedstawiali swoje, nie wmawiali światu, że demokracja umiera. Czy to tylko incydent, czy znak, że po kolejnych przegranych wyborach coś pękło, coś się skończyło? Oby, Polska potrzebuje chwili wytchnienia.

Wiele osób jadących do Karpacza z różnych stron Polski zwracało uwagę, że o ile plakatów Andrzeja Dudy już nie widać, o tyle Trzaskowski wciąż atakuje i z wielkich billboardów przy autostradach, i z małych plakatów na polu kukurydzy. Trauma po porażce w jakiejś mierze tłumaczy niechęć do sprzątania po kampanii, ale idzie jesień i za chwilę te plakaty rozpadną się na kawałki, zaśmiecając naszą piękną Polskę. A Trzaskowski już chyba dość nabrudził.

Ścieki z Warszawy popłynęły na północ, ale samorządowi kumple **Trzaskowskiego** nie tylko nie mają pretensji, lecz są bliscy wdzięczności za ubogacenie Wisły. „Troszczymy się o Gdańsk zawsze! Uwzględniając stopień rozcieńczenia, korzystny wpływ tamy we Włocławku oraz przebiegające w Wiśle procesy samooczyszczania – wpływ sytuacji awaryjnej dla wód rejonu Gdańska będzie pomijalnie mały” – ogłosiła Aleksandra Dulkiewicz, powołując się na ekspertyzę prof. Czerwonki. Wychodzi na to, że Czajka jest w ogóle niepotrzebna. Może Trzaskowski powinien iść w tę stronę? Warszawski wyborca to kupi.

Krzysztof Bosak

odniósł się do kwestii noszenia maseczek. „Jak gdzieś trzeba te maseczki założyć, w sklepach czy środkach transportu, to zakładam. [...] I powiem szczerze, da się do tego przyzwyczaić. Zdaję sobie sprawę, że są osoby, które tego nienawidzą. Rozumiem te osoby” – mówił kandydat Konfederacji na prezydenta. Rozpętała się burza, bo dla wielu pravicowców maseczki oznaczają tresurę, więc ktoś, kto mówi, że można się do nich przyzwyczaić, jest po drugiej stronie. Bosak musiał wykonać odwrót: „Niepotrzebnie to powiedziałem. Ubolewam, że to jedno zdanie przyćmiło odbiór całej reszty” – zapewnił. W dłuższej perspektywie to się musi rozpaść. Może nawet już się rozpada.

🔊 Tym bardziej że i inne fakty świadczą na korzyść Wisły ubogaconej ściekami. „Zleciliśmy sekcję ryb znalezionych na brzegu Wisły w Łomiankach. Badania nie wykazały, aby przyczyną śmierci mogła być awaria i zrzut ścieków” – ogłosił na konferencji wiceprezydent Warszawy Robert Soszyński. Rzeczywiście, wzdęte brzuchy ryb od początku jasno wskazywały, że zdechły one po prostu z przejedzenia.

🔊 Sam Trzaskowski staje się coraz bardziej bezczelny. „Polska polityka może być inna. Gdybym w to nie wierzył, właśnie ogłaszałbym start strony z licznikiem ścieków płynących do Wisły za kadencji Lecha Kaczyńskiego, a nie start nowego ruchu” – napisał w mediach społecznościowych. Widać, że licznik, który pojawił się teraz, nie sprawił mu przyjemności. Trzaskowskiego nie zmienimy, ale nigdy dość powtarzania: Lech Kaczyński nie przylepiłby szyby w drzwiach taśmą klejącą ani nie zalałby ciekących rur betonem. Nie lubił badziewia.

🔊 Prezydent stolicy nie kryje też niezadowolenia, że tym razem musi zapłacić za budowę mostu pontonowego. „Rząd od tego jest, żeby pomagać. Tam, gdzie powinien pomóc, chce wystawić rachunek” – przekonuje. O oszczędnościach ani słowa. Tymczasem w lipcu – a więc już po wybuchu pandemii, gdy było jasne, że idą ciężkie czasy – zdecydował o wydaniu 280 tys. zł na projekt o nazwie „Inwazja klaunów – I Europejski Festiwal Klaunady”. W sumie pasuje do tego, co się dzieje w stolicy, ale pieniędzy jednak szkoda.

🔊 **Radosław Sikorski** konsekwentnie buduje karierę. Teraz nazwał Angelę Merkel najbardziej „propolskim przywódcą Niemiec od czasów Ottona III”. „Zepsuć relacje z kimś takim to naprawdę trzeba wysiłku. My powinniśmy rozmawiać z Niemcami o stosunkach z Rosją, o polityce Europy wobec Trumpa [...], a zajmujemy się udawaniem, że będą reparacje, których nie będzie, i robieniem złośliwości kandydatowi na ambasadora. To jest małe, nieskuteczne i – szczerze powiem – po prostu głupie” – przekonuje dość głupio. Bo Merkel nie jest naiwnym dzieckiem, ale bardzo twardym politykiem. To po pierwsze. A po drugie, rezygnacja z wasalności na rzecz partnerstwa jest uzdrowieniem relacji, a nie jej popsuciem.

🔊 W mocno reklamowanym przez „Wyborczą” wywiadzie Jerzy Urban musiał się zmierzyć z pytaniem, czy nie ma żadnego problemu z niszczeniem mienia i profanacją pomników. Odpowiedział tak: „Nie mam. Popieram demolkę i profana-



cję i namawiam do większego radykalizmu. Moje rady dla ruchu LGBT: dopierdalajcie katolikom! Dopierdalajcie nacjonalistom! Dopierdalajcie biało-czerwonym!” Słowa obrzydliwe, ale najciekawsza jest reakcja „GW”, która... na te słowa nie reaguje. To nie o niej. I trudno się nie zgodzić. Biało-czerwona drużyna jest gdzie indziej.

🔊 Wywiad z „GW” Urban próbował przedstawić jako przełom w swoich relacjach z Czerką: „Oto po raz pierwszy w 30-letnich dziejach »Wyborcza« zauważyła moje istnienie i przysłała dziennikarza na rozmowę. [...] Mnie to, że mnie »Wyborcza« wyklucza, w ogóle nie dziwi, bo zwłaszcza dla starszego pokolenia jej dziennikarzy jestem czymś absolutnie obrzydliwym. Pana wizyta to dobry znak, bo znaczy, że przyszła koniunktura na Urbana”. Trudno o większe zakłamanie. „GW” zawsze była blisko Urbana, teraz uznała, że może się już nie kryć.

🔊 Zareagował Dawid Warszawski, publicysta „GW”: „Używanie łamów »Wyborczej« na to, by Urban mógł raz jeszcze powiedzieć, że miał rację, jest nadużyciem zaufania i wobec czytelników »Wyborczej«, i ludzi, którzy ją współtworzyli, i publikujących w niej autorów. Należąc do wszystkich trzech grup, chcę powiedzieć, że redakcja zrobiła nam świństwo”. Ciekawe, że nikt inny nie był zdziwiony. Może Dawid Warszawski widzi inną „Wyborczą” niż cały świat?

🔊 Aktor Krzysztof Kowalewski: „Spod jednej gwiazdy jest ta i tamta władza. Mentalność mają kropka w kropkę jak ci z PRL, wiem, bo się na tamtych i na tych napatrzyłem. Kurski to jest człowiek mentalnie rodem z Radiokomitetu. Morawiecki to byłby idealny dyrektor zjednoczenia”. Strasznie tanie te porównania. Bo jednak czczą wyklętych, a nie ubeków. Ale to na marginesie, bo tak naprawdę ludzi w typie Kowalewskiego denerwuje silna, ambitna Polska. To ich drażni. To jest źródło tych kalumnii.

🔊 Nie zabrakło też rytualnego ataku na Kościół. „Jak widziałem polski Kościół w niezłej formie. Kościół, który bronił Michnika, bo Jezus mówił, żeby chronić prześladowanych. [...] Dzisiaj, jak widzę wystąpienia episkopatu, to mam wrażenie, że to jakaś grupa rekonstrukcyjna. Zblatowani z władzą, intelektualnie mający niewiele do zaproponowania starsi panowie” – mówi Kowalewski. Kościół rzeczywiście bronił Michnika w PRL. Dziś Michnik odplaca promocją Urbana i – zdaniem wielu – szczuciem na Kościół i księży. Taka to wdzięczność.

BRONISŁAW WILDSTEIN

Intelektualiści populiści



„**C**haos i strach powodowany przez COVID-19 populiści środkowo-wschodniej Europy wykorzystują, aby dzielić (społeczeństwo) i umacniać swoją pozycję”. Tak zaczyna się artykuł zatytułowany „Dlaczego populiści rozumieją wschodnią Europę”, który opublikował jakiś czas temu prestiżowy dwumiesięcznik amerykański „Foreign Policy” – jego rozszerzona wersja ukazała się w kwartalniku „Journal of Democracy”, międzynarodowym organie National Endowment for Democracy. Jego autorzy to nie propagandziści z naukowymi tytułami w rodzaju Wojciecha Sadurskiego czy Radosława Markowskiego, ale Karolina Wigura i Jarosław Kuisz, twórcy i redaktorzy „Kultury Liberalnej”, pisma, które prezentuje wyrazisty profil ideowy, ale, wydawałoby się, stara się zachować standardy intelektualne. A jednak...

Niedawno na przykładzie pisma naukowego we Francji opisałem, jakie opinie na temat Polski kreowane są dla zachodniej opinii publicznej. Oto jak tworzony jest ich fundament.

Stygmat populizmu, którym bez jakichkolwiek uzasadnień Wigura i Kuisz obdarzają swoich przeciwników, utrudnia, jeśli nie uniemożliwia, rzeczową rozmowę. Populista z zasady nie przedstawia merytorycznych argumentów, nie należy więc podejmować z nim polemiki, ale wyłącznie analizować jego wypowiedzi jako strategię erystyczną. Opis sytuacji w Polsce i na Węgrzech kreowany przez autorów „KL” jest zaprzeczeniem bezstronności.

„PiS podejmuje arbitralne decyzje dotyczące spraw zasadniczych dla demokracji, naciska na majowy termin wyborów prezydenckich, pomimo że pandemia ogranicza możliwości rywalizacji opozycji z rządzącą partią, a następnie gwałtownie przekłada wybory. Tego typu przedsięwzięcia populiści organizują według znanego schematu: odwołując się do urazów, tworzą dominującą narrację, zgodnie z którą są oni jedyną szansą obrony ludzi i wyrównania dawnych krzywd. W 2015 PiS wygrał prezydenckie i parlamentarne wybory pod hasłem »Polska w ruinie«. Podobna retoryka przyniosła zwycięstwa populistom w centralnej i wschodniej Europie”.

Retoryka autorów zadziwia. Nie rząd wywołał pandemię, dlatego sugestia, że próba przeprowadzenia zgodnie z terminem wyborów, które niezależnie od zarazy w większości krajów odbywały się w przewidzianym czasie, jest naruszeniem demokratycznych reguł – powinna zdumiewać. Okazuje się jednak, że przełożenie wyborów także wywołuje niechęć autorów. Rząd nie ma wyjścia: skoro jest populistyczny, to wszelkie jego decyzje bez względu na zawartość merytoryczną muszą takie być. Zachodni czytelnik nie dowie się, że zmiana terminu wyborów spowodowana została histerią

(„zabójcze koperty”), jaką rozpętała opozycja i opiniotwórcze środowiska, a która udzieliła się koalicjantowi PiS. Decyzja o przesunięciu wyborów wywołała protesty tych, którzy wcześniej radykalnie się tego domagali. Twórcy „KL” demonstrowają podobną postawę.

Jaki ma związek termin wyborów z „wyrównywaniem dawnych krzywd” i żerowaniem na urazach? Czytelnik nie zna sytuacji w Polsce poza serwowanym mu bez końca sloganem, że rządzą w niej straszni populiści, przyjmuje więc, że widocznie coś jest na rzeczy.

Opowieść o tym, że PiS wygrało wybory w 2015 r., twierdząc, że „Polska jest w ruinie”, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością i przypomina inne manipulacje, które na temat strategii partii Kaczyńskiego preparują jej wrogowie.

Oto cytaty, które na temat „Polski w ruinie” udało się zebrać czołowemu antypisowskiemu portalowi na Temat.

Jarosław Kaczyński (22.07.2012): „My wiemy, że ten rząd doprowadził kraj do ruiny i teraz się wszystkiego pozbywa, żeby za wszelką cenę zdobyć jakieś środki”.

Andrzej Duda (27.04.2015): „Jeśli ktoś uważa politykę jako troskę o dobro wspólne – to Polskę da się naprawić. Jeśli dało się ją odbudować z ruin po II wojnie światowej, to da się i teraz”.

Piotr Gliński (4.07.2015): „Musimy odbudować państwo polskie i demokrację”.

Beata Szydło (9.07.2015): „My nie mówimy, że wszystko jest złe, że Polska jest w ruinie. Ale dziś Polska jest z pewnością bardzo źle rządzona”.

I to wszystko.

Wigura i Kuisz tłumaczą zachodniemu czytelnikowi, że PiS udało się wygrać wybory z powodu nieuniknionych kosztów modernizacji. Zmiana warunków życia prowadzi do utraty tradycyjnych punktów oparcia takich jak silne więzi rodzinne czy narodowe, które, zdaniem autorów, są idealizowane przez populistów. Autorzy „KL” proponują jednak, aby nie lekceważyć tych sentymentów bez względu na to, jak niemądre by one były. Rozumni, tacy jak oni, liberalowie powinni nacylić się nawet nad najtrudniejszymi dla nich do zaakceptowania postawami wyborców PiS. Potrzebują tego, aby wygrać.

Wezwania do autentycznej refleksji – autorefleksji – w ich tekście nie uświadczymy.

PŁYN DO DEZYNFEKCJI RĄK

TRISEPT
MAX
PŁYN

skład czynny: Etanol - 730 g/kg, Propan-2-ol - 10 g/kg
y do higienicznej i chirurgicznej dezynfekcji rąk
biobójczym, bakteriobójczym i grzybobójczym

zawiera aż **80%**
alkoholu

TRISEPT MAX

Bezpieczeństwo każdego dnia

– w miejscu publicznym, pracy i domu.

Skutecznie likwiduje wirusy, bakterie i grzyby.

**Produktów biobójczych należy używać z zachowaniem środków ostrożności.
Przed każdym użyciem należy przeczytać etykiety informacje dotyczące produktu.**

Trisept MAX, płyn. Produkt służący do higienicznej i chirurgicznej dezynfekcji rąk o działaniu wirusobójczym, bakteriobójczym, grzybobójczym. Produkt do powszechnego stosowania oraz do zastosowania w obszarze medycznym. Skład: Etanol 73%, Propan-2-ol 10%, gliceryna 10%, woda oczyszczona. Producent: Tarchomińskie Zakłady Farmaceutyczne „Polfa” S.A. 03-176 Warszawa, ul. A. Fleminga 2. Nr pozwolenia na obrót produktem biobójczym: 8152/20. Wysoce łatwopalna ciecz i pary. Działa drażniąco na oczy.

TRI/514/19/08/2020



WIEŻA BAB

Gdzie mnie nie ma

Z mediów społecznościowych wystarczy mi prywatny profil na Facebooku, który i tak jest przeze mnie dość często zaniedbywany

Dlaczego nie można znaleźć pani na Twitterze czy Instagramie?” – pytają mnie często widzowie, którzy szukają kontaktu przez Facebooka. Przeważnie odpowiadam zgodnie z prawdą, że nie mam na to czasu. Jeżeli nie siedzę w żadnym studiu, nie jestem na wywiadzie ani nie piszę tekstu, to przeważnie jestem z rodziną. Albo gotuję, albo karmię, albo sprzątam, albo rozmawiam, albo rozwiązuję konflikty. Cały czas jestem zajęta i nie mam chwili na nudę. Z mediów społecznościowych wystarczy mi prywatny profil na Facebooku, który i tak jest przeze mnie dość zaniedbywany. Zupełnie nie czuję potrzeby, by pokazywać innym, co aktualnie jem czy piję. Nie informuję też, czy jestem smutna czy wesola, bo co to kogo obchodzi. A i tak mam wrażenie, że ta sporadyczna działalność zajmuje mi sporo czasu. Posiadanie konta w innych mediach społecznościowych musiałoby skutkować ograniczeniem czasu dla dzieci. Wiem i widzę, że niektóre instamatki żyją na społecznościówkach. Cały czas opowiadają, co teraz gotują, w co się ubrały lub jaki kształt i kolor gluta ma ich dziecko. Można i tak, ale jakoś mnie to nie kręci. Znam nawet przypadek osoby, która spędza w mediach społecznościowych tyle czasu, że brakuje jej go na gotowanie, sprzątanie czy opiekę nad dziećmi, choć poza domem nie pracuje. O konsekwencjach szkoda gadać.

Nie kręczę mnie też nieustanne wojny toczące na Twitterze czy Instagramie. Ludzie konkurują z sobą w tym, kto komu bardziej dołoży, kto się zgrabniej odwinie, kto umie ładniej ubliżyć czy dokuczyć. I tak pluja na siebie od świtu do nocy. A ja lubię zaczynać dzień od dobrej kawy, a nie od sprawdzania, kto właśnie poczuł potrzebę oznajmienia światu, że mam macicę zamiast mózgu lub czegoś podobnie odkrywczego. Raczej więc puszczam ewentualnie pojawiający się hejt gdzieś obok, tak by się nie utylać. Z politowaniem patrzę także na tych wszystkich poważnych ludzi, którzy okładają się po głowach łopatkami niczym dzieci lub

mają problem z przestrzeganiem zasady: pileś, nie pisz.

Skoro już tak się uzewnętrzniam, to zdradzę państwu jeszcze, zupełnie bez wstydu, że nie kupuję markowych torebek. I w ogóle mnie nie interesuje, co sobie kto pomyśli. Wydanie na coś, co ma pomieścić mój telefon, kalendarz czy kosmetyki więcej niż 200 zł, nie ma najmniejszego sensu. Zwłaszcza gdy tyle ludzi na świecie nie ma co jeść.

Po prostu nie mam słabości do przedmiotów. Nie potrzebuję ich. Nie cieszą mnie. Podobnie jest zresztą z tzw. markowymi ciuchami. Żaden, nawet najdroższy,

nie sprawi, że dusza stanie się piękniejsza. Nie ma nic złego w ładnym, schludnym wyglądzie, ale nie kręci mnie pogoń za metkami. Kupuję to, co jest mi potrzebne i funkcjonalne.

Poza tym na drugą stronę i tak „pójdziemy boso”, więc po co wyrzucać pieniądze, które można wydać na zajęcia dodatkowe dla dzieci czy choćby przeznaczyć na jakiś cel charytatywny. A zauważyłam, że dzieci, które nic nie mają, nie potrzebują wiele do szczęścia.

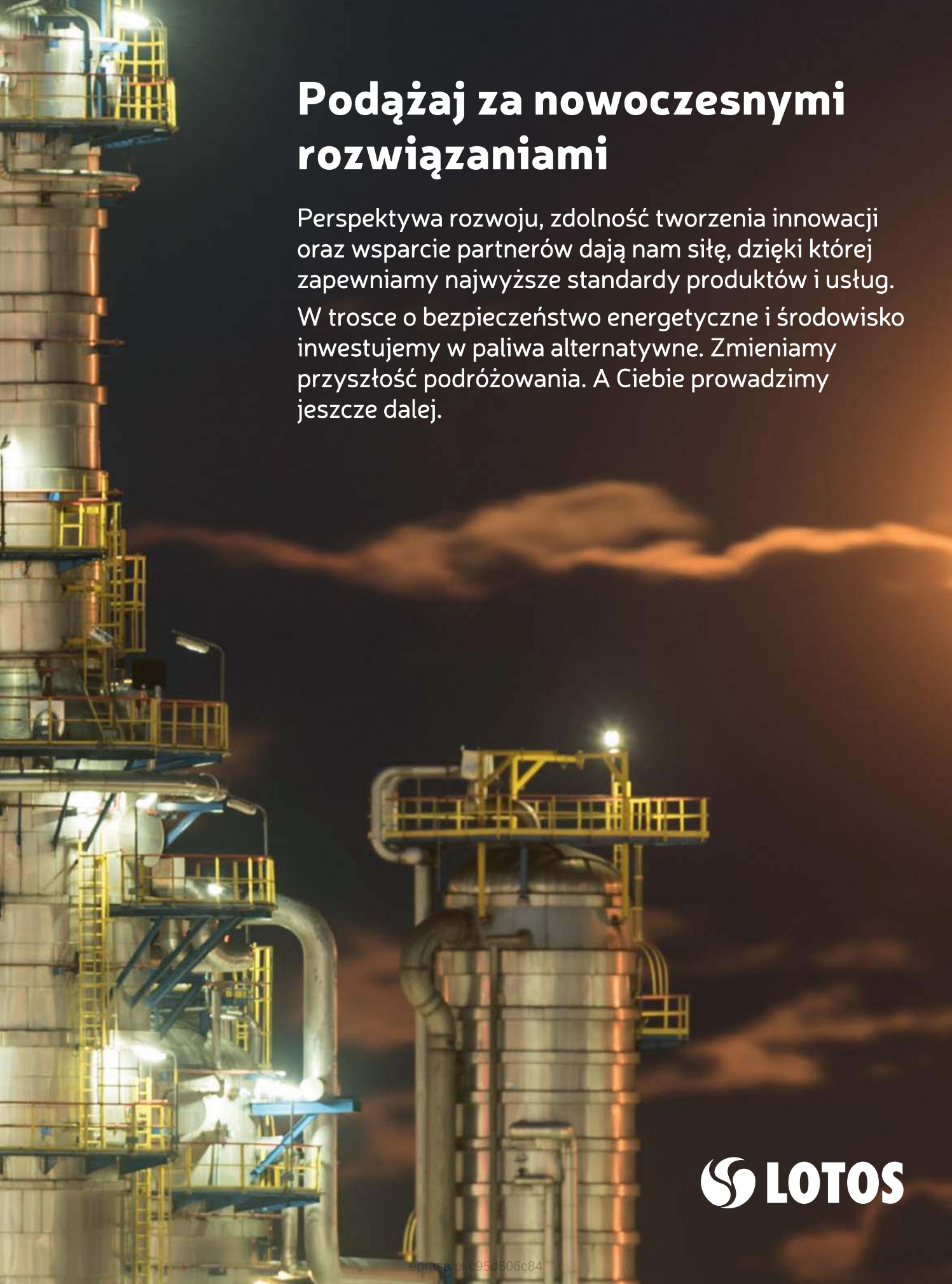
Cieszę mnie za to podróżą. Lubię odwiedzać nowe miejsca, czuć ich zapach, podziwiać widoki, zaglądać w uliczki czy okna, w które nie wchodzi ani nie zaglądają turyści, lubię cieszyć oczy kolorami, podglądać ludzi i ich zwyczaje, smakować ich kuchni, pytać, czym żyją.

Lubię słoną wodę i słodką wodę. Skąły i piach.

Cieszę ludzi i relacje. Miłość, przyjaźń, zaufanie. Spacer za rękę, codzienne przytulasy, niezbędne całusy. Mile słowa, drobne gesty. Lubię robić niespodzianki, kupować prezenty, sprawiać radość, rozśmieszać, wzruszać, kochać i być kochaną. Lubię siedzieć na swoim drewnianym tarasie, czuć słońce na skórze, słyszeć szalony świergot ptaków nad głową, patrzeć, jak biegną chmury, zgadywać znikające kształty. Siedzieć obok męża i patrzeć w tym samym kierunku. Czasem gadać, czasem milczeć, czasem się śmiać, a czasem płakać. Żyć pełnią życia. Z ludźmi i obok nich. Uroda, to to, co mamy w sobie, a nie to, co widać gołym okiem.

Dorota Łosiewicz



A photograph of an industrial facility, likely a refinery or chemical plant, at night. The scene is illuminated by artificial lights, creating a warm glow against the dark sky. In the foreground, there are large, cylindrical storage tanks and complex piping systems. Scaffolding and walkways with yellow railings are visible around the tanks. The background shows more industrial structures and a dark sky with some clouds. The overall atmosphere is one of industrial activity and modern engineering.

Podążaj za nowoczesnymi rozwiązaniami

Perspektywa rozwoju, zdolność tworzenia innowacji oraz wsparcie partnerów dają nam siłę, dzięki której zapewniamy najwyższe standardy produktów i usług. W trosce o bezpieczeństwo energetyczne i środowisko inwestujemy w paliwa alternatywne. Zmieniamy przyszłość podróżowania. A Ciebie prowadzimy jeszcze dalej.



Indeks słów zakazanych

Rekordy są po to, aby je bić. Rekordy absurdów poprawności politycznej są więc bite na każdym kroku. Na University of Southern California normy politpoprawności dotknęły wykładowcę Grega Pattona, który dawał wykład online o wypełniaczach w zdaniu używanych przez ludzi różnych kultur. W trakcie tego wykładu Patton podał przykład wtrącania zwrotu „no i ten, no i tego”, który w języku chińskim brzmi: „nèi ge, nèi ge, nèi ge”. „Nèi ge” w jego ustach miało zabrzmieć jak „nigger”, czyli „czarnuch”. Czarnoskórzy studenci oskarżyli więc profesora o rasizm. Swoje oskarżenie oparli na opiniach chińskich kolegów, którzy uważali, że Patton celowo źle wypowiedział chińskie słowa. „Nasze zdrowie psychiczne zostało narażone” – poskarżyli się czarnoskórzy studenci. Rektor uczelni natychmiast przeprosił za niefortunne użycie przez prof. Pattona słów brzmiących obraźliwie dla czarnych. Patton również się pokajał, tłumacząc, że „niewłaściwej” wymowy chińskiego słowa nauczył się w Szanghaju. Sytuacja na kalifornijskim uniwersytecie jest kuriozalna, ale wpisuje się w wiele innych absurdów na amerykańskich uczelniach. Przykładowo na Clemson University uznano, że wymóg punktualności jest dyskryminujący, bo w różnych kulturach „czas jest płynny”. Z kolei profesor nowojorskiego Brooklyn College David Seidemann został w 2016 r. potępiony za stwierdzenie, że „wysiłek włożony w naukę to 10 proc. oceny”. Uznano to za formę molestowania seksualnego, choć profesorowi chodziło o uczestnictwo w zajęciach, a nie o zachęcanie studentów do seksu w zamian



za zaliczenie. Za to w 2017 r. czterej studenci prestiżowego Berkeley uznali, że ich profesor nie może uczyć o prawach pracowniczych, bo jako biały nie rozumie wyzysku imigrantów. Ci sami studenci odmówili też pisania egzaminu w sali z powodu „stresu”.

W 2018 r. studentka Colorado State University ujawniła, że Zahra Al-Saloom, dyrektorka uniwersyteckiej sekcji Różnorodność i Inkluzywność, przekazała jej listę słów niepożądanych na uczelni. Wśród nich było stwierdzenie: „Long time no see” (Dawno się nie widzieliśmy), które ma obrażać Azjatów. Dlaczego? Istnieją teorie, że powiedzenia tego używali wcześniej Chińczycy i Indianie. Używający go biali zawłaszczają więc cudzą kulturę, co jest dziś na lewicy uznane za rasizm. Podobnie było na Pitzer College, którego władze upomniały białe studentki, aby nie nosiły dużych kolczyków, bo czarnoskórzy mogą poczuć się urażeni „pryswajaniem sobie ich kultury”.

Jak tak dalej pójdzie, Amerykanie będą musieli zlikwidować całe szkolnictwo. Bo obrażają uczucia starożytnych Greków i Chińczyków, którzy przecież stworzyli pierwsze szkoły. **✓**

Lukasz Adamski

Wymuszona normalizacja

Prezydent Serbii Aleksandar Vučić i premier Kosowa Avdullah Hoti podpisali w Waszyngtonie porozumienie o normalizacji relacji gospodarczych między obu państwami. Na jego zawarcie naciskał Donald Trump, który – zdaniem wielu komentatorów – chce się przedstawić w kampanii wyborczej jako patron pokoju na Bałkanach. Umowa zakłada m.in. sfinansowanie przez Amerykanów wielu projektów infrastrukturalnych, w tym budowę połączeń kolejowych i drogowych Belgrad–Prisztina. Prawdopodobnie porozumienie nie doprowadzi jednak – wbrew nadziejom Trumpa – do uznania przez Serbię niepodległości Kosowa ogłoszonej w 2008 r.

Uroczystość w Białym Domu doczekała się już wielu sarkastycznych komentarzy w bałkańskich mediach. Najpierw świat obiegło zdjęcie z Gabinetu Ovalnego, na którym serbski prezydent siedzi przed Trumpem jak student na egzaminie. Maria Zacharowa, rzeczniczka rosyjskiego MSZ, opublikowała tę fotografię w internecie razem ze znanym kadrem z filmu „Nagi instynkt” z Sharon Stone, na którym aktorka siedzi przed po-

licjantem. Zacharowa przeprosiła później za ten „komentarz”, a Moskwa uznała go za „nieporozumienie”, podkreślając, że Serbowie i Rosjanie to bratnie narody. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Rosję bardzo zirykowało podpisanie porozumienia z Kosowem, szczególnie że doszło do niego pod amerykańskimi auspicjami. Chwilę później w sieci pojawiło się kolejne nagranie, na którym zdezorientowany Vučić dziwnie reaguje w momencie, gdy Trump oświadcza, że zgodnie z umową przedstawicielstwo dyplomatyczne Serbii zostanie przeniesione z Tel Awiwu do Jerozolimy. Oprócz przeniesienia ambasady do Jerozolimy Serbia (podobnie jak Kosowo) zobowiązała się również do zwrócenia mienia straconego przez Żydów podczas Holocaustu.

Serbski prezydent wyjaśnił później, że jego zdziwiony wyraz twarzy wynikał z tego, iż ktoś zamienił jego wersję porozumienia z tą, którą podpisał Hoti. A zdjęcie, na którym siedzi przejęty przed Trumpem, skomentował słowami, że „nawet by uklęknął” przed amerykańskim prezydentem, byleby tylko nie zgodzić się na uznanie niezależności Kosowa.

Niektórzy uważają jednak, że drwiny z Vučića są stosunkowo niewielką ceną, jaką zapłacił serbski prezydent za dopływ amerykańskiej gotówki do pokiereszowanej gospodarki swojego państwa. Znacznie większą może być pogorszenie relacji Serbii z jej dotychczasowymi sojusznikami: Rosją, Chinami i Turcją. **✓**

Goran Andrić



Gruzja

Przedwyborcza gorączka

Wybory parlamentarne w Gruzji zaplanowano na koniec października, jednak już dziś tamtejsze życie polityczne ogarnęła taka gorączka, że niektórzy obserwatorzy mówią o zbliżającej się kolejnej „kolorowej” rewolucji, która tym razem ma wybuchnąć w Tbilisi.

Pod koniec sierpnia 30 ugrupowań opozycyjnych wobec rządzącej koalicji Gruzjińskie Marzenie oligarchy Bidziny Iwaniszwilego powołało wspólny sztab. Do sprawowania samodzielnych rządów formacja Iwaniszwilego musiałaby zdobyć co najmniej 41 proc. głosów oraz wygrać w większości z 30 jednomandatowych okręgów wyborczych, a to wydaje się mało realne i wywołuje obawy, iż rządzący mogą sfałszować wybory. W takim przypadku, jak oświadczył lider opozycyjnej Europejskiej Gruzji Dawid Bakradze, wspólny sztab przekształci się w centrum dowodzenia rewolucji.

W opinii Bakradzego wybór, przed którym stoi Gruzja, jest oczywisty. Albo nadal będzie rządził „układ oligarchiczny” sterowany z tylnego rzędu przez Iwaniszwilego, a w kraju plenić się będzie korupcja i nadużywanie władzy przez organy siłowe, albo uda się zbudować „pierwszy demokratyczny gabinet typu europejskiego”. Zdaniem połączonej opozycji, w której wchodzi skład również formacja byłego

premiera Micheila Saakaszwilego, przeprowadzona w gruzińskim parlamencie ekspresowa nowelizacja kodeksu wyborczego, polegająca na zaostrzeniu kar za przekupstwa wyborcze i nacisk na głosujących, jest jedynie zmyłką.

Jednak ewentualne fałszerstwa to niejeden problem prozachodniej opozycji. Drugim jest pojawienie się prorosyjskiej, a przy tym odwołującej się do konserwatywnych wyborców formacji Alians Patriotów Gruzji, która prowadzi kampanię, oskarżając gruzińskie elity o przechył w stronę Turcji i szeroko rozumianego Zachodu. Liderzy tej formacji Irma Inaszwili oraz Georgi Lomia w połowie sierpnia odwiedzili jeden z prawosławnych monasterów w Abchazji, nieuznawanej przez niemal nikogo na świecie prócz Rosji, zbuntowanej prowincji Gruzji. Jak tam dotarli (granica jest zamknięta) i o czym rozmawiali, nie wiadomo, jednak prozachodnia opozycja gruzińska widzi w tym działanie Moskwy. Zdaniem niektórych liderów opozycyjnych może to pasować Bidzinie Iwaniszwilemu, który ma być zwolennikiem porozumienia z Federacją Rosyjską.

Czy tak rzeczywiście jest, to się wkrótce okaże. Pewne jest jednak, że Moskwa znów próbuje rozgrywać konflikty wewnętrzne w Gruzji. **➤**

Marek Budzisz

Niemcy

Nierząd w czasach zarazy

Pandemia koronawirusa przynosi także pozytywne skutki. W Kolonii zbankrutował największy dom publiczny w Niemczech o nazwie Pascha. Mieścił się on w położonym niedaleko centrum miasta 10-piętrowym budynku, w którym codziennie wykorzystywanych było seksualnie 120 kobiet. Dyrektor przybytku rozpusty Armin Lobscheid musiał złożyć wniosek o upadłość. Co prawda skorzystał wcześniej z dobrodziejstw finansowych tarczy antykryzysowej, ale nie wystarczyło to, by utrzymać stręczycielski interes.

Największą radość z zamknięcia burdelu wyraziły środowiska feministyczne. Na łamach pisma „Emma” red. Chantal Louis cytowała słowa właściciela domu publicznego Hermanna Müllera, który w 2016 r., świętując 20-lecie istnienia swego haniebnego biznesu, powiedział wprost przed kamerami telewizyjnymi: „Kobieta rodzi się po to, by służyć mężczyźnie i być mu posłuszną”. Redaktorka feministycznego magazynu zauważyła, że „system prostytucji jest nieludzki. Jest sprzeczne z ludzką godnością, że mężczyznom wystarczy jedynie wystawienie rachunku, by mogli korzystać z ciała i duszy kobiet. Zwłaszcza że 90 proc. owych kobiet pochodzi z biednych domów w Europie”. Jej zdaniem w kolońskim burdelu panował prawdziwy system niewolniczy.

Po bankructwie domu publicznego jego dyrektor objawił się nagle jako wielki obrońca kobiet. Armin Lobscheid wyraził zaniepokojenie przyszłym losem prostytutek pozbawionych źródeł utrzymania i narażonych na różne niebezpieczeństwa. Niektórzy z komentatorów zastanawiają się, czy z pomocą kobietom nie powinien pospieszyć Kościół katolicki. Przypominają postawę Franciszka, który udzielił finansowego wsparcia grupie transseksualnych prostytutek z podrzymskiej miejscowości Torvaianica, pozbawionych z powodu pandemii dopływu klientów. Niemieckie feministki uważają jednak, że nieszczerym kobietom należy pomagać inaczej, odwołując od uprawiania nierządu i oferując prawdziwą alternatywę dla prostytucji. **➤**

Grzegorz Górny



Walizka Andrzej Wiktor

fotografa

Tegoroczne podróże po Polsce związane są głównie z realizacją projektu stypendialnego Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego pt. „Tędy przeszła historia”. Idea jest taka, że fotografuję miejsca na terenie Polski, w których doszło do ważnych wydarzeń historycznych. Ale tak, aby na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie bardzo ładnych fotografii pejzażowych, a dopiero podpis dopełniał całości. Aby uniknąć dosłowności i czystej dokumentacji, staram się tak sfotografować dane miejsce, np. Westerplatte, Ossów czy Sobibór, aby nie kojarzyło się od razu z wydarzeniem. Projekt zakończy seria wystaw fotografii wykonanych w technice gumoleju w dużych formatach 100x70 cm. Na takie wyjazdy zawsze zabieram:

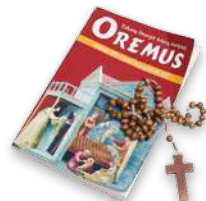


APARAT FOTOGRAFICZNY Z OBIEKTYWAMI I OSPRZĘTEM

Aparat ma ponad 40 lat, a jego obiektywy to czysta poezja dla oka. Do pomiaru światła korzystam z zewnętrznego światłomierza.

RÓŻANIEC I „OREMUS”, TEKSTY PISMA ŚWIĘTEGO

Długie czasy naświetlania sprzyjają modlitwie różańcowej.



ŚPIWÓR

Czasem się zdarza, że w trasie muszę się zatrzymać na nocleg. Niezależnie, czy to hotel, czy kwatera, śpię we własnym śpiworze.

BUTLA TURYSTYCZNA Z PALNIKIEM

Najbardziej lubię kawę własnoręcznie parzoną, więc jeśli jest to wyjazd kilkudniowy, zabieram butlę gazową z palnikiem i posiłki czy kawę przyrządzam sobie sam.



WODERY/KALOSZE

Aby wykonać ciekawe ujęcie, muszę czasem wejść do wody i w tym celu zawsze w samochodzie mam wodery albo kalosze. Ostatnio fotografowałem miejsca związane z bitwą nad Bzurą i stałem po kolana w wodzie, bez kaloszy bym tego nie zrobił.

Posłuszna

Janina Kaczmarczyk odchodzi z zakonu – poinformował internet, a sama siostra to potwierdziła. Dla tych, którzy nie wiedzą nic o sprawie: to nie jest zakonnica, która poznała przystojnego organistę i postanowiła wziąć z nim ślub (mam nadzieję).

Siostra Janina zasłynęła „pielgrzymkowym” wykonaniem hitu „Despacito”, poświęconym Najświętszej Marii Pannie, w który wkomponowała fragmenty „Pozdrowienia anielskiego”. Zadziałała sprytnie, tak jak perwersi umieszczający symbol gejostwa w aureoli Marki Boskiej. Piosenkę promującą seksualną rozwiązłość przerobiła na piękny sacrosong.

Mnie to uwiodło. Problem w tym, że niekoniecznie tak samo to widziała matka przełożona siostry Janiny, której celebrycka i śpiewacza kariera zakonniczy się nie spodobała. Nie znam motywacji szefowej zakonu, może były wysokie, może niskie – zazdrość o popularność, jak twierdzi menedżer siostry niejaki pan Tomasz Konfederak.

Tak czy inaczej, usłyszawszy, że ma się wycofać ze śpiewania, siostra Janina poinformowała, iż odchodzi ze zgromadzenia. Napiszę o tym delikatnie. Rozumiem, że są różne boskie powołania i różne ich realizacje. Ale jeśli ktoś decyduje się na życie w zakonie, to powinien od początku do końca mieć świadomość swojej odpowiedzialności i konsekwencji działania. Akurat zgromadzenie zakonne to taka „jednostka” Kościoła, która wyjątkowo podkreśla i szanuje posłuszeństwo. Dla internetowych i pielgrzymkowych słuchaczy siostry Janiny, dla młodych księży i dziewczyn, które z nią śpiewały, jej deklaracja to musiał być dzaster. Wierzyły jej. A ona ślubowała posłuszeństwo, a teraz by je wypowiedziała? No to w co wierzyć, komu ufać?

Wspomniany pan Konfederak nawet nie ukrywał, jaką drogę widzi dla śpiewającej zakonniczy: „Ludźmi świętymi stali się ci, co wyszli poza ramy Kościoła”. Poza ramy Kościoła? Naprawdę?

I podpuszczał: „[Jej twórczość] to pierwsza pozycja na rynku, jeśli chodzi o osobę duchowną, bo wszyscy gdzieś tam oscylują w klimatach sacro polo, katolibatu”. Katolibatu? Czyj to język?

Parę dni później deklaracja siostry Janiny znikła z Facebooka, a władze zgromadzenia poinformowały, że zakonnica jednak nie odchodzi. Najwyraźniej Opatrzność postanowiła dać jej siłę, aby się oparła podszeptom złego ducha i pozostała „w ramach Kościoła”. Bo to jedyna droga do zbawienia. I do świętości.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**



STATYW FOTOGRAFICZNY

To nieodzowny element w tym projekcie. Ponieważ materiał negatywowowy, na którym pracuję, jest niskoczuły, to żeby zdjęcia były nieporuszone, muszę skorzystać ze statywu.

KAPELUSZ Z MOSKITIERĄ I RĘKAWICZKI

Niektóre miejsca, w których byłem, obfitują w niewyobrażalną ilość insektów. Zrobienie jakiegokolwiek zdjęcia graniczy z cudem, więc zawsze mam z sobą rękawiczki i moskitierę.



KSIĄŻKI

W wolnej chwili na postoju znajduję chwilę, aby zajrzeć do książki, by upewnić się czy uzupełnić wiedzę.



DYKTAFON I NOTES

To nieodzowne atrybuty. Zawsze zdarza się sytuacja albo miejsce, które warto opisać.



SUCHY PROWIANT

Smak dzieciństwa to suchary beskidzkie.



SCYZORYK

Niezależnie, czy to mała, czy duża wycieczka, scyzoryk jest nieodzowny.



CZOŁÓWKA

Specjalna latarka na głowę, która jest nieodzowna niezależnie, czy jedziemy na wyprawę, czy schodzimy do piwnicy.



Wysłuchał i spisał: Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x3)

OGNIEM NA WPROST

Grzyby i śnięte ryby



Nie jestem grzybiarzem, ale jeść grzyby uwielbiam. Jajecznicza na rydzach, ach! Polska kuchnia wręcz obfituje w potrawy, w których grzyb występuje nie tylko jako dodatek, lecz jako danie główne. Sam do lasu się nie zapuszczam, bo się na grzybiarstwie nie znam. A grzybiarz jest jak saper. Myli się tylko raz. Albo tamten świat, albo wątrobą w strzępach. W każdym razie skomentować można. Mimo szalejącego w kraju pisowskiego reżimu grzybiarze cieszą się u nas wolnością. A wokół, w Unii Europejskiej, wiele ograniczeń. Jedne bardziej, drugie mniej uzasadnione. W takiej np. Holandii w ogóle nie można zbierać grzybów. Z dwóch powodów. Lasów jak na lekarstwo i w dodatku wszystkie są własnością króla Wilhelma-Aleksandra z dynastii Orańskiej-Nassau. We Francji z kolei lasy są prywatne i trzeba za dobra natury zapłacić właścicielowi. Też rozumiałe. Ale już w Niemczech można wynieść z lasu tylko dwa kilogramy „urobku”, a jak gram więcej to policaj, auswajs i sztraf w ojro. W Anglii to samo. W Belgii zapominamy o grzybobraniu, bo tam panuje ścisły zakaz. Jak przy wyjściu z lasu złapią cię choć z jednym grzybem, to policaj, auswajs i sztraf w ojro. Natomiast we Włoszech szaleje biurokracja. Trzeba się wystarać o kwit – specjalna legitymacja grzybiarza, bo jak nie, to patrz kraje wyżej. W krajach skandynawskich wolno co prawda zbierać grzyby, ale jak z krzaków wyskoczy „Allahu Akbar”, to nie wiem... Jak widać na załączonym obrazku, lepiej dla grzybiarzy z Polski w sezonie się nie ruszać.

Kończy się monopol LGBT na prawdę objawioną. Jak podaje „Super Express”, w Polsce powstaje prawicowy ruch LGBT. Jego liderem jest Kamil Starczyk, który stanowczo podkreśla, że „nie ma tu miejsca ani na homofobię, ani na agresję aktywistów LGBT”. Kamil Starczyk zyskuje coraz większą popularność w internecie. Z jednej strony jest zdeklarowanym homoseksualistą, a z drugiej prawicowcem. Chwali się uczestnictwem w Marszach Niepodległości 11 listopada. Uważa, że jest jedynym marszem, który łączy nas ponad podziałami i sprawia, że wszyscy jesteśmy równi. „Jestem co roku i nie wstydzę się. Jestem dumny” – podkreśla. Starczyk regularnie punktuje innych aktywistów LGBT. „Dziś pierwszy raz od dawna plakałem. LGBT okazało się podle, destrukcyjne, chore z nienawiści i nie chce mieć z tym nic wspólnego [...] Przez całe życie nikt nie sprawił mi tylu przykrości, nie próbował tak poniżyć, upodlić, zniszczyć, jak dziś ludzie z tęczą w profilach – bo nie zgadzam się na agresję aktywistów” – żalił się niedawno w mediach społecznościowych. Jednocześnie wskazuje na pa-

trona nowego ruchu: „Kulturalny mędrzec, pisarz, działacz społeczny. Związany z obozem młodokonserwatystów. Przeżył 60 lat w związku z jednym partnerem – tancerzem Mieczysławem Jankowskim.

Jerzy Waldorff – on będzie patronem naszego ruchu, który będzie walczył z agresją i kłamstwami lobby LGBT”. Jestem za. Nie wiem tylko, co na to ulubiony piesek Waldorffa, słynny jamnik Puzon.

Do szczecińskiego magistratu wpłynął wniosek o postawienie w ramach budżetu obywatelskiego pomnika szatana. Projekt był bezimienny i nie zawierał listy poparcia. Koszt 4,3 mln zł. Pomnik diabła miałby stać na planie pentagramu i cyfr 666. „Będzie to obiekt kultu religijnego i atrakcja turystyczna. Dzieci będą mogły usiąść na kolanach szatana i zrobić sobie z nim pamiątkowe zdjęcie” – przekonuje w uzasadnieniu autor projektu. Najbardziej „podoba” mi się jednak pomysł lokalizacji „rogatego bóstwa Baphometa lub, jak kto woli, szatana”. Miałaby stać obok alei Jana Pawła II i placu Pawła Adamowicza. Ciekaw jestem, jak zareagowałyby żona śp. prezydenta Gdańska Magdalena, choć znana jest z tolerancyjnego podejścia do życia. Gorzej z Kościołem katolickim. W każdym razie ratusz odmówił realizacji. Dziś. A co przyniesie jutro, nie wiadomo.

Smród bije od Wisły na setki metrów, a ławice śniętych ryb pływają do góry brzuchem, urozmaicając spacerów wzdłuż brzegów królowej polskich rzek. Tymczasem warszawski ratusz zlecił swoim fachowcom kontrolę, która wykazała, że przyczyną śmierci tysięcy ryb w Wiśle nie była awaria oczyszczalni Czajka. Przedtem rajcy z prezydentem Trzaskowskim na czele złożyli zawiadomienie do prokuratury w sprawie aktu sabotażu, który rzekomo miał doprowadzić do kolejnego niekontrolowanego wycieku szamba. Sprawę śniętych ryb skwitował tak oto wiceprezydent stolicy Paweł Rabej: „Ja bym raczej postawił tezę, że [padły] od odoru zgnilizny, jaki wydaje rząd. W końcu ryba psuje się od głowy”. No właśnie. Ja bym natomiast raczej postawił tezę, że to z pańską głową jest coś nie tak, choć w tym przypadku „głową” jest Rafał Trzaskowski, panie Rabej.

Andrzej Rafał Potocki

Dla naszych braci mniejszych

Humanitarne traktowanie zwierząt, wykluczenie hodowli zwierząt futerkowych, zakaz trzymania psów na stałe na uwięzi, ubój rytualny tylko na potrzeby krajowych związków wyznaniowych, zakaz wykorzystywania zwierząt w celach rozrywkowych i widowiskowych, kontrola społeczna ochrony zwierząt, bezpieczne schroniska oraz utworzenie rady ds. zwierząt przy Ministerstwie Rolnictwa – to zasadnicze postulaty zawarte w projekcie ustawy o ochronie zwierząt przedstawionym przez prezesa Jarosława Kaczyńskiego oraz szefa młodzieżówki PiS Michała Moskala.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Proponowane przepisy są drugą w ostatnich latach próbą zrewidowania prawnego i społecznego podejścia do zwierząt. Projekt zmian w ustawie zaprezentowany trzy lata temu spotkał się ze zdecydowanym sprzeciwem przedstawicieli hodowców zwierząt futerkowych, kontrowersje wśród rolników wzbudziły również ograniczenia dotyczące uboju rytualnego. Podobne reakcje widać w internetowych komentarzach także w ostatnich dniach, co może dziwić o tyle, że co najmniej od trzech lat było wiadomo, że zmiany w prawie prędzej czy później nastąpią i warto się było do nich przygotować.

Miarą naszego człowieczeństwa jest stosunek do zwierząt. Obowiązek, a zarazem potrzeba humanitarnego traktowania stworzeń są oczywiste dla wszystkich wyznających uniwersalny system wartości cywilizacji łacińskiej, a zwłaszcza dla chrześcijan. Nieuprawnionym stereotypem jest postrzeganie potrzeby godnego odnoszenia się do zwierząt jako desygnatu pojęcia lewicowości. Trzeba to powtarzać. Według św. Franciszka szacunek wobec naszych braci mniejszych jest tożsamy z oddawaniem czci samemu Stwórcy, co stanowi logiczną konsekwencję miłości za dar stworzenia. Święty powoływał się na Stary Testament, w którym zapisano, że człowiek został powołany do roli ogrodnika, a zatem powinien się troszczyć o faunę i florę. Katechizm Kościoła katolickiego stanowi jednoznacznie, że ludzie są zobowiązani do życzliwości wobec zwierząt, które są stworzeniami Bożymi, a Stwórca otacza je swoją opatrnością i troską. Za sprzeczne z godnością ludzką uznaje ponadto niepotrzebne zadawanie cierpienia zwierzętom lub ich zabijanie.

Europejska konwencja o ochronie zwierząt hodowlanych z 1976 r. i unijna dyrektywa o ochronie zwierząt z 1998 r. wymieniają podstawowe wolności zwierząt, do których w szczególności zaliczono: wolność od poczucia dyskomfortu, od bólu i chorób, do życia w warunkach, które pozwalają na normalne zachowanie oraz wolność od strachu i stresu. W artykule 13 traktatu lizbońskiego zapisano, że państwa członkowskie UE powinny dbać o dobrostan zwierząt. Postanowienia zawarte w europejskiej konwencji w sprawie zwierząt trzymanyh w domu z 1987 r. stanowią w szczególności, że „nikt nie może sprawiać zwierzęciu domowemu niepotrzebnego bólu, cierpie-

nia lub udręki”. Konwencja stanowi także, że każda osoba, która ma w domu zwierzę i zgodziła się nim opiekować, jest odpowiedzialna za jego zdrowie i dobro. Od 2018 r. w Irlandii obowiązuje zakaz wykorzystywania w cyrkach dzikich zwierząt. Zwierząt futerkowych nie można hodować w Wielkiej Brytanii, Macedonii, Chorwacji, Słowenii, Austrii, Bośni i Hercegowinie, w Czechach i Serbii oraz częściowo na Węgrzech i w Danii. W Holandii całkowity zakaz ma być wprowadzony w 2024 r.

Coraz większa liczba miast w Polsce odmawia cyrkowych występów dzikich zwierząt, coraz mniej ludzi nosi futra, a coraz większa rzesza zwłaszcza młodych ludzi decyduje się na wyeliminowanie mięsa ze swojego jadłospisu. Tragiczny los zwierząt w wielu schroniskach zarządzanych przez właścicieli nastawionych wyłącznie na zysk i wymuszona przez przepisy bezradność tych, którzy chcieliby pomóc cierpiącym, stanowi o pilnej konieczności zmiany zasad prowadzenia tego typu placówek. Reforma przepisów dotyczących zwierząt jest ze wszech miar uzasadniona i wydaje się, że powinna zyskać w parlamencie powszechne poparcie niezależnie od barw politycznych. 

*Z wielkim żalem i bólem przyjęliśmy wiadomość, że
3 września 2020 roku w 71. roku życia zmarł
nasz przyjaciel, kolega i współpracownik*

ZDZISŁAW BRADEL **POETA**

*Absolwent Wydziału Nauk Humanistycznych KUL;
zasłużony działacz na rzecz niepodległości Polski;
w 1976 roku uczestnik akcji pomocy represjonowanym robotnikom Radomia;
współtwórca, autor i redaktor założonego 1977 roku
Niezależnego Pisma Młodych Katolików „Spotkania”;
kurier przewożący na Litwę i Białoruś literaturę bezdebitową i religijną; uczestnik
Duszpasterstwa Akademickiego w Lublinie oraz Ruchu Młodej Polski;
w 1979 uczestnik głódówki w intencji pielgrzymki Jana Pawła II na Śląsk;
w czasie pierwszej Solidarności redaktor pism związkowych, współpracownik
NSZZ RI „Solidarność” Regionu Środkowo-Wschodniego,
współorganizator Wszechnicy Związkowej i Wszechnicy Ludowej;
po wprowadzeniu stanu wojennego uczestnik strajku w Stoczni Gdańskiej,
internowany; przewodniczący podziemnego
Zarządu Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ „Solidarność”;
w połowie lat osiemdziesiątych koordynator krajowy ruchu
Comunione e Liberazione;
po 1990 roku działacz samorządowy;
Aktywny w formacjach politycznych: PChD, ZChN, ROP, RNK.
Pośmiertnie Odznaczony Krzyżem Komandorskim
Orderu Polonia Restituta.
Był dla nas wzorem człowieka wielkiej wiary,
dla którego wierność Bogu i Ojczyźnie była najwyższą wartością.
Requiescat in Pace
Przyjaciele, Koledzy, Współpracownicy środowiska Spotkań
Uroczystości pogrzebowe w poniedziałek 14 września 2020.
O 13.15 Msza Św. w kościele pw. Św. Józefa przy ul. Powązkowskiej 90
w Warszawie, po czym złożenie do grobu na Powązkach Wojskowych.*

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Problematyka rury i kolory

Kancelarz Merkel uważa, że budowa Nord Stream 2 to jest sprawa komercyjna i nie ma nic wspólnego z polityką. Rosja uważa, że zatrucie Nawalnego, tak jak eliminacja Niemcowa, Poltowskiej, Litwinienki... to też tylko komercja, czyli interesy. Amerykanie, którzy raczej na interesach się znają, mogą nie wierzyć i dawać dodatkowe, przykre sankcje Gazpromowi. Chyba że jesienią zmieni się racjonalny Trump na postępowego Bidena. Tenże demokrat ogłosił, że biały Edison nie wynalazł żarówki, lecz jego czarnoskóry kolega. Z prostego powodu – czarnym było za ciemno w tamtej epoce. Przy okazji przypominam, że maszynkę do golenia wynalazł „czornyj raboczij” na śmietniku zachodniej ambasady w czerwonej Moskwie...

Wiem, że wkraczam na grząski teren poprawności politycznej i polecą na mnie brzydkie wyrazy oszalałych trolli. Kiedy pół wieku temu opowiadałem ten przyjemny żarcik w kabarecie, cenzura „czarnego robota” zostawiła, skreśliła czerwoną Moskwę. Był to kolor niedopuszczony do kabaretowego użytku, słowo niecenzuralne. Andrzejowi Dąbrow-



**Jan
Pietrzak**

skiemu gratulowałem pięknej piosenki o zieleni, proponując dodatkową zwrotkę... „czerwono mi, niespokojnie, czerwono mi jak na wojnie...”. Ależ podniósł się raban w ostojach władzy! Ostatnio partia „zielonych” pojawiła się w centrum stolicy, rozkładając swe odwołki na Świętokrzyskiej. Żądają od rządu ogłoszenia alarmu klimatycznego w Polsce, a trujące ścieki w Wiśle ich nie interesują. Los zdechłych ryb ich nie obchodzi. Typowy ekologizm polityczny à la Spurek.

Zieloni ruszają do akcji, bo tęczowi już na ulicach Warszawy się opatrzyli. Coś zwane Margol wycofano z użytku, ale poprawnościowa cenzura rutynowo chroni tęczy jak niegdyś czerwonych. Tak się pokićkało, że wszystko służy polityce. W jakimś stopniu to powrót do nieszczęsnego PRL, kiedy to sprzedaż pietruszki była sprawą polityczną i zajmowało się nią biuro... Jakże? Polityczne. Ab ovo. Szanowna pani Merkel i nieszanowny panie Trzaskowski, wasze cenne rury, gazowa rusko-niemiecka i śmierdząca rura trzaskowsko-warszawska, są jak najbardziej problemem politycznym... łatwo się nie wymigacie od pokuty. 

Miłość szczególnie dziś cenna

Z aktorką Haliną Łabonarską rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Piasek u schyłku lata kojarzy się jeszcze z morzem, plażą. Jaką rolę odgrywa w projekcie „Opowieści biblijne” Teatru Oratorium?



Halina Łabonarska: Wiedziałam obrazy, które z niego powstawały, by zilustrować przeczytaną wcześniej biblijną opowieść. Odbierałam je zarazem jako przepiękne, jak i w pewien sposób wewnętrznie niepokojące. To bycie w trakcie czegoś, co dzieje się na naszych oczach, i czego końca nie jesteśmy w stanie przewidzieć, czasem zrozumieć.

*Co pani przeczytała wi-
dzom?*

„Opowieść o cudach Pana Jezusa” i przyznam, że zestawienie tych konkretnie słów z obrazami powstającymi z piasku odebrałam jako niezwykle spójne, mimo wspomnianego niepokoju.

Sceny powstające na naszych oczach są ilustracją do tekstów, które co niedziela czytają aktorzy zaproszeni do internetowego projektu „Opowieści biblijne”.

Pomysł zrodził się w czasie zamknięcia z powodu koronawirusa, ale jednocześnie wynikał z przesłania, by w oryginalnej formie – przede wszystkim dzieciom – ale też trochę dorosłym, przedstawić drogę Pana Jezusa. Aktorzy prezentują różne zdarzenia z Jego życia; kiedy nauczał, był tak blisko ludzi, kiedy pomagał, wypędzając demony i czyniąc cuda. Powstały cykl jest dla mnie bardzo piękny nie tylko z powodu formy. Cuda to wyraz boskiej Mocy, ale przede wszystkim Miłości, która wciąż nam towarzyszy. Dziś jej świadomość jest szczególnie ważna i cenna. 

„Opowieści biblijne” można oglądać na www.facebook.com/TeatrOratorium/

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM GIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSZYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCOWSKA,
MARIOLA.BARCOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, JANUSZ ŻYCHOWICZ
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYSCJA: ANNA ŁABECKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁYKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUGUSTYN MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NIKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PIŻA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

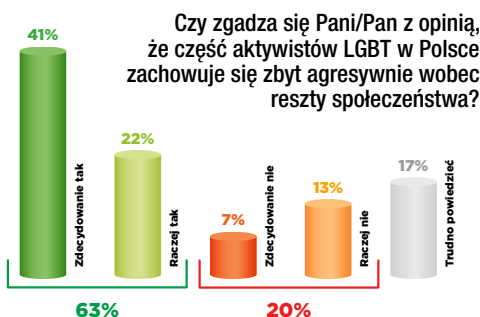
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



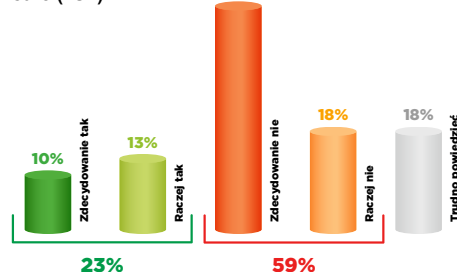
FOT. NA OKŁADCE: ARTUR WIDAK/PHOTO VIA GETTY IMAGES, JAKUB KAMINSKI/PPAP,
AGNIESZKA SNIĘGOSTEAST NEWS



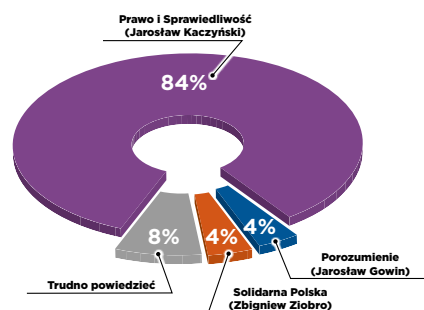
pracownia
Social Changes
dla
wPolityce.pl



Czy popiera Pani/Pan rezygnację przez Polskę z własnej waluty, czyli złotego (PLN), i przyjęcie euro (EUR)?



Którą z poniższych partii popiera Pani/Pan najbardziej i zagłosowałaby Pani/zagłosowałby Pan na nią, gdyby startowały oddzielnie?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1095.
Zakres czasowy badania 4-7 września 2020 r.

**Jacek i Michał Karnowscy
rozmawiają
z Jarosławem Kaczyńskim,
prezesem Prawa
i Sprawiedliwości**

Jeżeli nic nadzwyczajnego się nie zdarzy, to przed pana obozem politycznym trzy lata rządzenia. Jak zostaną wykorzystane, co powinno być ich efektem? Więcej szarpnięcia cugłami czy dążenia do uspokojenia sytuacji?

Jarosław Kaczyński: Jest jeden podstawowy cel, jaki narzuca nam sytuacja: wyjść obronną ręką z kryzysu gospodarczego, który dzisiaj ma charakter światowy. Na razie w Polsce nie wygląda to najgorzej, ale diabeł nie śpi, na laurach spocząć nie można. Tym bardziej że lepsza niż w wielu innych państwach europejskich sytuacja to wynik ciężkiej pracy i dobrej polityki gospodarczej. Trzeba nadal działać, iść w tym kierunku, ale też o tych wynikach mówić, bo niestety do znacznej części społeczeństwa wciąż dociera wyłącznie negatywny przekaz, że wszystko jest złe. To przekaz konfaktyczny i niesprawiedliwy.

Odrzuca pan każdą krytykę?

Oczywiście nie, bo nie jest tak, że my nie popełniamy błędów, że zawsze wszystko jest pod każdym względem dobrze. Tak nie jest nigdzie. Nie twierdę też, że nie można sobie wyobrazić rządu lepszego niż nasz, ale uważam ten obecny za będący na bardzo przyzwoitym poziomie. A pamiętamy wszyscy, że lepsze jest wrogiem dobrego, tak że wiele bym nie zmieniał.

W tej chwili toczą się jednak rozmowy koalicyjne o zmianach w układzie rządowym.

Chodzi przede wszystkim o zmiany techniczne, organizacyjne, by był on jeszcze sprawniejszą strukturą, by decyzje podejmowano szybciej. To szczególnie ważne w obecnej sytuacji, gdy walczymy z kryzysem gospodarczym. Dotychczas pojawiały się sprawy, którymi zajmowano się jednocześnie w trzech ministerstwach. Każdy, kto trochę się zna na zarządzaniu, wie, że to musi powodować konflikty, nieporozumienia, wydłużać czas podejmowania decyzji. A często bywa i tak, że kiedy decyzja zapadnie, obciążona jest elementami niemerytorycznymi.

Pojawiają się obawy, że poważne zmniejszenie liczby ministerstw, np. do 12, spowoduje, iż de facto Polską będą rządzić sekretarze stanu, wice-ministrowie.

Panowie, Polską rządzą sekretarze stanu, tak jest i dzisiaj. Kto jest odpowiedzialny np. za górnictwo? Formalnie minister, ale dla górników, zarządów spółek, wszystkich zainteresowanych jest oczywiste, że najważniejsze decyzje podejmuje pan X, który jest wiceministrem odpowiedzialnym za ten obszar. To on jest ich partnerem. Albo, żeby sięgnąć do zupełnie innej sfery, kto

odpowiada za biblioteki publiczne? Też wiceminister, który oczywiście ma również inne zadania. A muzea? Też jest wiceminister, który dla muzealników jest najważniejszym człowiekiem w rządzie. Dalej – kto jest realnym szefem wojewodów? Jeden z wice ministrów spraw wewnętrznych i administracji. Tutaj zatem wiele się nie zmienia.

To co się zmieni?

Liczę, że poziom koordynacji, nadzoru. Powtarzam – to zabieg w istocie techniczny, mający jednak wobec koalicyjnego charakteru naszych rządów oraz



Mamy prawo bronić fundamentów naszej cywilizacji

Nie twierdzę, że nie można sobie wyobrazić rządu lepszego niż nasz, ale uważam ten obecny za będący na bardzo przyzwoitym poziomie. A pamiętamy wszyscy, że lepsze jest wrogiem dobrego, tak że wiele bym nie zmieniał

innych uwarunkowań, które w polityce zawsze występują, także pewien aspekt polityczny. Nie chodzi o żadną wielką reformę dla reformy, ale większą sprawność rządu i działania.

Jaki dokładnie ma być kształt rządu po zmianach?

Rozmowy są w toku. Mamy 37 działów administracji rządowej, obszarów tematycznych, które trzeba na nowo poukładać merytorycznie i politycznie. Następnym etapem będzie już konkretna rozmowa, kto będzie za co odpowiadał. Liczę, że się szybko porozumiemy, ale

możliwe, iż trochę się to przeciągnie. Nie zależy to wyłącznie ode mnie.

Zjednoczona Prawica jako konstrukcja nie jest zagrożona? Nie ma pan poczucia, że to się może rozpaść?

Miałem przez chwilę takie poczucie, ale ostatnie rozmowy zmniejszyły moje obawy. Nie mogę jednak oczywiście powiedzieć, że takiego zagrożenia nie ma.

Rozmowy z ministrem Zbigniewem Ziobrą?

Z ministrem Ziobrą, ale i z przewodniczącym Jarosławem Gowinem. Z mi-

nistrem Ziobrą w pewnym sensie się łatwiej rozmawia, bo w tym drugim przypadku mamy jeszcze багаż wydarzeń z maja. Ale trzeba umieć przypominać, taka jest polityka. Mam w tym zapomnianiu pewną wprawę.

Są inne możliwości koalicyjne? Z PSL?

Rozmawialiśmy z panem Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem i rzeczywiście jest trochę inny niż niektórzy politycy PSL, z którymi zdarzało nam się rozmawiać w okresie ostatnich 30 lat, ale generalnie rzecz biorąc, to człowiek,



który wydaje się stać jednoznacznie po drugiej stronie.

Sam to ujął zdaniem, że „nie ma ani ochoty, ani potrzeby”, by wchodzić do koalicji rządowej.

Właśnie. Wiemy, że są tam tacy, którzy chcieliby inaczej, ale są obecnie za słabi, by coś zmienić.

Wtę przegrupowań w rządzie pojawiają się doniesienia o planowanych zmianach w partii. Czy przewiduje pan w Prawie i Sprawiedliwości zasadnicze reformy strukturalne i kadrowe?

Tak, jeśli kongres wyrazi zgodę na pewne zmiany w statucie pozwalające na bardziej dynamiczne kierowanie partią, to będą one – jak sądzę – dobrze służyły naszej przyszłości.

Wróćmy jeszcze do epidemii. Jak w pana ocenie może wyglądać jesień?

Przede wszystkim mam nadzieję, że jak najszybciej powstanie szczepionka, która byłaby najlepszym rozwiązaniem, i że pojawi się lek, który będzie pomagał wyjść z choroby.

Byłby pan za obowiązkowym szczepieniem?

Tak bym tego nie postawił, ale na pewno opowiadałbym się za tym, bo przymus nie jest tu rzeczą dobrą. Ale byłbym zwolennikiem, by jak największe grupy społeczne zostały zaszczepione, by jak najwięcej ludzi do tego przekonać. Począwszy od starszych wiekiem, skończywszy na małych dzieciach – o ile oczywiście szczepionka nie będzie miała skutków ubocznych. Sądzę, że szczepionka przyniosłaby społeczne odetchnienie, pozwoliłaby wszystkim na w pełni normalne funkcjonowanie.

Emocje społeczne wokół epidemii są duże. Dlaczego świat zareagował tak radykalnie, zamykając się na moment niemal zupełnie? Czy nie była to reakcja za mocna? Dziś także nowy minister zdrowia Adam Niedzielski mówi, że kolejnego lockdownu nie będzie.

Prawdopodobnie reakcja świata była nieco przesadna, ale proszę pamiętać, że dziś mamy dużo więcej informacji o tym wirusie, który według ekspertów jednak łagodnieje, choć przecież mógł się stawać groźniejszy. Społecznie nie było jednak innego wyjścia niż podjęcie wszelkich możliwych środków ostrożności. Bez nich zachorowań byłoby kilkakrotnie więcej, a za tym idąc, przypadków śmierci także, zapewne

w grupach najbardziej narażonych, najsłabszych. Wtedy reakcje mogłyby być zupełnie inne.

Dla większości pokoleń to pierwsze tego typu masowe doświadczenie. Za nami kilka dekad bez epidemii. Z własnego dość wczesnego dzieciństwa pamiętam strach rodziców przed zarażeniem chorobą Heinego-Medina, porażeniem dziecięcym, które jest strasliwą chorobą zakaźną. Jeżeli nie zabija, to czyni ludzi kalekami. Amerykanie dostarczyli wtedy szczepionkę, zresztą wynalezioną przez Polaka Hilarego Koprowskiego, i całymi szkołami wszyscy szli, żeby się szczepić. I niebezpieczeństwo minęło, jak ręką uciął. Ale to pamiętają już tylko starsi Polacy. Poza tym dzisiaj są inne mechanizmy informacyjne, zupełnie inaczej ludzie się komunikują. Gdyby 30 lat temu ktoś pokazał mi taki smartfon, jakie tu leżą przed nami i jakie ma niemal każdy, uznałbym go za przybysza z kosmosu. I nie tylko ja. To też ma swoje konsekwencje.

Pan nosi maseczkę?

Nie jest to nic przyjemnego, ale noszę.

Jak ocenia pan byłego już ministra zdrowia prof. Łukasza Szumowskiego?

Zdecydowanie dobrze i bardzo żałuję, że odszedł. Ale żeby było jasne – on miał odejść, to była decyzja podjęta przed epidemią. U podłoża leżały różne względy osobiste, nie jestem upoważniony, żeby o tym mówić.

Sam prof. Szumowski w wywiadzie dla „Sieci” mówił dość szczegółowo o powodach rodzinnych, konieczności częstszego bycia z dziećmi, chęci powrotu do uprawiania zawodu lekarskiego.

Takie właśnie powody przedstawił na początku roku. Nie jest też prawdą, że za odejściem ministra Szumowskiego i wiceministra Janusza Cieszyńskiego – bo to stało się w tym samym czasie – stały jakieś podejrzenia, zarzuty. To nie jest prawdą, tam nic nie ma. Może tylko tyle, że żaden z nich nie był przyzwyczajony do ceny, jaką się w Polsce płaci za uprawianie polityki, zwłaszcza po naszej stronie.

Może powinien odejść w momencie rekonstrukcji rządu?

Dla nas tak pewnie byłoby lepiej, ale już dla ministra Szumowskiego lepsze było odejście wcześniejsze, bo to nie powoduje spekulacji, że był jakoś negatywnie oceniany, że jest wymieniany. Podkreślam: nie był ani nie jest źle oceniany, nie został wymieniony, sam zdecydował o odejściu jeszcze przed wybuchem epidemii.

Czy w tym trzyleciu wchodzi w grę jakieś zasadnicze kolejne szarpięcie reformatorskie? Wymienia się tu edukację, energetykę, rynek medialny.

Wchodzi w grę, i to dosyć szybko. Ład medialny wymaga naprawy, uporządkowania, bo w tej chwili mamy stan w istocie kolonialny. Trzeba to koniecznie zmienić i to jest oczywiste. Konieczna jest także dalsza reforma sądownictwa, choć są tu różne poglądy i koncepcje, jak to zrobić. Na pewno niezbędne jest wyciągnięcie wniosków z tego, co się działo w okresie pandemii w służbie zdrowia, wdrożenia zmian, które się po tym czasie narzucają. Również oświata jest zadaniem państwa, które powinno być lepiej realizowane. To zadanie

szczególne, bezpośrednio związane z kształtowaniem narodu, nie można się bać tego określenia ani obrony przed zagrożeniami. W dzisiejszym kształcie oświaty wywiązywanie z tych zadań jest bardzo trudne.

Co w gospodarce?

W tym obszarze żadnych radykalnych, odmiennych od dotychczasowych działań nie przewiduję, chyba że pojawiają się jakieś nowe świetne pomysły. Chcemy po prostu realizować to, co zostało zapowiedziane, co wymaga też pewnych zmian organizacyjnych i personalnych. Niektóre zadania są niesłychanie trudne. Bardzo często w mediach nie

Zmiany w rządzie to zabieg w istocie techniczny, mający jednak wobec koalicyjnego charakteru naszych rządów także pewien aspekt polityczny. Nie chodzi o żadną wielką reformę dla reformy, ale większą sprawność rządzenia i działania

ma tego świadomości. Zdarza się, że jednym tchem wymienia się wykopanie kanału przez Mierzę Wiślaną i Centralny Port Komunikacyjny, który jest nieporównanie większym, olbrzymim przedsięwzięciem, wymagającym specjalistów najwyższej światowej klasy.

Czyli kontynuacja?

Tak, ale proszę pamiętać, że jeżeli to wszystko się rozrusza i wykorzystamy w sposób umiejętny i rozsądny unijne pieniądze, które mają być większe niż kiedykolwiek, to my naprawdę możemy się bardzo zmienić. Polska może za kilka lat wyglądać zupełnie inaczej niż dotychczas. Są też sprawy, które do tej pory, głównie ze względu na opór różnych grup lobbystycznych, nie idą tak szybko, jak powinny. Bardzo bym

chciał, by w Polsce budowano co najmniej 100 tys. mieszkań rocznie taką metodą, by w ostatecznym rachunku ludzie mogli je dostać za niewielkie, będące w ich zasięgu, pieniądze. Tak, by nawet niższa klasa średnia mogła sobie na nie pozwolić. Są też ogromne zadanie rewitalizacyjne – na Śląsku, w Łodzi, na ziemiach zachodnich.

Jarosław Gowin może wrócić do rządu?

Z jednej strony byłoby to pozytywne, bo zamknęłoby pewien niedobry etap. Ale z drugiej dla ludzi mniej wyrobionych politycznie byłoby to trudne do przyjęcia. W naszym klubie reakcje na to byłyby złe.

Jest poczucie, że zagrał z przeciwnikiem?

W oczach wielu w maju przekroczył granicę, której nikt nie powinien przekraczać.

Okres po wyborach prezydenckich charakteryzuje ostry spór światopoglądowy, nie tylko w Polsce. Jak obóz rządzący zamierza się odnieść do tego, co wielu wyborców konserwatywnych albo po prostu umiarkowanych odbiera jako narastającą agresję ze strony radykalnych środowisk lewicowych, próbę rozhuśtania nastrojów, zdominowania debaty publicznej? Będziecie z tym walczyć?

Ci, którzy nie walczyli – przykładów z Europy nie brakuje – przegrali. Ja ręki do tego, żebyśmy przegrywali z tym, co uważam za zagrażające samemu fundamentom naszej cywilizacji, nie przyłożę. Jest to bowiem cywilizacja, jak to mówił mój śp. brat Lech Kaczyński, najbardziej życzliwa człowiekowi w dziejach świata. Z tym nurtem, który dzisiaj tak atakuje, walczyć trzeba – choć rozumnie. Rozumnie nie znaczy, że nie walczyć albo walczyć z jakąś niebywałą łagodnością czy bez gotowości użycia wszystkich środków, którymi dysponuje państwo w obronie prawa. Jestem tu zdecydowanie jednoznaczny i odrzucam próby wmawiania nam, co niekiedy następuje także ze strony Solidarnej Polski, że mamy tu jakieś zasadniczo

inne poglądy. Może czasem w sprawach taktycznych myślenie jest inne, ale co do istoty sprawy – nie. Jestem za tym, by aktywnie przeciwstawiać się tym zagrożeniom dla naszej cywilizacji, bo doświadczenia bierności pokazują zawsze ten sam efekt.

Hiszpania, Irlandia?

Irlandia to dobry przykład. Nie tak dawno temu był to kraj tak bardzo katolicki, że przy nim Polska wyglądała na państwo z szalejącą bezbożnością, a dzisiaj jest pustynią katolicką z szalejącą ideologią LGBT. Trzeba więc stawiać tamę i szukać jak najbogatszych środków, by była ona mocna. Oczywiście podstawowym środkiem musi być przekonywanie, perswazja, by ludzie nie popadali w szaleństwo, by nie uznawali za oczywiste radykalnego odejścia od normy, po-deptania jej nawet. To przybiera chwilami formy jak z kabaretu czarnego humoru. Choćby te opowieści bohatera części opozycji mówiącego, że ze swoją partnerką chce wziąć ślub, ale on ma jeszcze partnera, a ona ma partnerki. Próbuje się wmówić społeczeństwu, że to jest normalne, a to jest całkowity rozkład samego fundamentu społecznego, następstwa pokoleń, tego wszystkiego, co pozwoliło rozwinąć kulturę opartą na chrześcijaństwie w wymiarze materialnym i duchowym, co dało postęp ludzkości.

Oni się przedstawiają jako postęp.

Nie mają racji. To nie jest zwieńczenie procesu budowania większej wrażliwości wobec drugiego człowieka, świata zwierząt, przyrody, przeciwnie – jest jego radykalnym zakwestionowaniem. To jest postulat odrzucenia reguł cywilizacji, zasad społecznych i stworzenie w ich miejsce jakichś nowych, nieokreślonych. Jednak – w moim najświętszym przekonaniu – żadnych nowych, a już na pewno lepszych dla społeczeństwa reguł nie ma, jest tylko kulturowe zwycięstwo lumpenproletariatu. A biorąc pod uwagę miejsce, z którego to się zaczęło rozprzestrzeniać, czyli Anglię, jest to zwycięstwo lumpenproletariatu angielskiego, tej części klasy robotniczej,

k która jeszcze w XIX w. była nazywana „dziką klasą robotniczą”. Jeżeli ktoś czytał „Kapitał” Marksa, to wie, że tam są opisy zachowania lumpenproletariatu angielskiego, z jego całkowitą swobodą obyczajową. I to jest właśnie to, a nie żaden postęp.

Jak z tym walczyć?

Generalnie tam, gdzie jest łamane prawo, trzeba reagować. Poczucie bezkarności, żądanie totalnej abolicji nie

Z ministrem Ziobrą w pewnym sensie się łatwiej rozmawia, bo w przypadku Jarosława Gowina mamy jeszcze багаż wydarzeń z maja. Ale trzeba umieć zapominać, taka jest polityka. Mam w tym zapomnianiu pewną wprawę

zostaną uznane. Z drugiej strony w programach szkolnych, w tym, co dociera do młodzieży, muszą być broniące wartości, które są podstawowe dla utrzymania naszej cywilizacji. To powinno być też elementem dużej części przekazu kulturowego. Nie chcę tu postulować żadnej cenzury, bo to nawet w wypadkach niechęci wobec wyjątkowo obscenicznych treści budzi dzisiaj reakcje odrzucenia. Jednak w sferach, w których mamy do czynienia z decyzją państwa, a np. podręczniki szkolne i przekaz szkolny są takimi obszarami, to musi być jasne. Razem z tłumaczeniem, dlaczego to jest złe, i z wyjaśnieniem, czemu to w istocie służy. Bo to nie jest oderwane od światowej struktury interesów. Są tacy, którzy by chcieli społeczeństwa zupełnie pozbawionego tożsamości, zbiorowiska konsumentów, które będzie dostarczyć pieniądze i władzy. Dla tych ludzi wszystkie struktury trwale, oparte na grupowych tożsamościach, jak państwa i wspólnoty religijne, są przeszkodą.

Możliwe są działania ofensywne? Aktywne promowanie wartości polskich? Chrześcijańskich?

Oczywiście, że powinniśmy z otwartą przyłbicą, z całą mocą, jaką mamy, wspierać to, co w społeczeństwie występuje przeciw temu. Nie powinniśmy mieć tutaj żadnych oporów. A niestety mamy. Funkcjonuje mechanizm, że trzeba każdemu dać trochę. Nie ma żadnego powodu, by państwo polskie wspierało tych, którzy chcą zniszczyć społeczeństwo. Nie chcemy żadnych represji, ale społeczeństwo trzeba bronić i mechanizm ekonomiczny jest tu ważny. Przede wszystkim trzeba chronić dzieci – te w wieku przedszkolnym i szkolnym całkowicie, a tym trochę starszym mówić, jak jest naprawdę. Oczywiście raczej będą mieli ci, którzy powiedzą, że nie będzie to do końca skuteczne, bo obieg informacji jest dziś inny, jest internet. Ale trzeba próbować, trzeba walczyć.

Na marginesie dodam: jestem za wolnością w internecie, ale czy na pewno np. wezwania do zabójstwa, które wiszą miesiącami bez żadnej reakcji, to też jest wolność słowa? I żeby było jasne: nie mówię o sobie, bo to już pewna norma. Ale to spotkało także moją bratanicę na jednym z portali społecznościowych. Pytanie, czy podmioty i osoby, które to tolerują, nie powinny ponosić bardzo ciężkich, naprawdę dolegliwych konsekwencji finansowych, jest według mnie zasadne. Pewnych rzeczy jednak nie wolno. Świat nie może się opierać na tym, że nie ma żadnych reguł.

Pytania dotyczące postawy Zjednoczonej Prawicy wobec tzw. wojny kulturowej są tym mocniejsze, im częściej wybija ona na pierwszy plan hasła podnoszenia jakości życia, wzrostu gospodarczego, goniienia Zachodu. Pojawia się obawa, że celem jest miękka chadecja bez twardego rdzenia ideowego. Jak widzi pan relację pomiędzy tymi dwoma nurtami programowymi – ideowym i gospodarczym?

Tu nie ma żadnej sprzeczności, to nie jest przeciwstawne. Jeżeli już szukać jakiegoś połączenia, to w tym, iż te obecne ataki, w dużej mierze chuligańskie, te profanacje i prowokacje, mają służyć

w oczach niektórych do znalezienia pretekstu do odebrania nam dużych pieniędzy, które wynegocjowaliśmy w ramach budżetu unijnego na kolejne lata. Wiadomo, że w tym świecie zarzut homofobii, a nawet się już mówi o transfobii, brzmi niemalże jak kiedyś zarzut nazizmu. My ani z jednym, ani z drugim nie mamy nic wspólnego, ale mamy prawo bronić fundamentów naszej cywilizacji.

Ten szantaż unijny nie będzie skuteczny?

Należę do ludzi, którzy uważają, że nawet za bardzo duże pieniądze nie można sprzedać własnych wartości. Nie mam żadnych wątpliwości, że gdyby był taki wybór, trzeba wybrać wartości.

Czy opozycja nie ma takiego właśnie pomysłu na przejęcie władzy – wojna kulturowa, tęczyowy sztandar?

Jasne, że ma. Już nawet Lech Wałęsa pod tym sztandarem się ustawia... Jak przypominę, o co on mnie kiedyś oskar-

żał, sądząc, że wbija mi tym osinowy kolek w serce [śmiech]... Jak widać, Wałęsa ewoluuje.

Co zmienia fakt, że na prawej stronie sceny politycznej pojawiła się Konfederacja, która próbuje zachodzić Prawo i Sprawiedliwość z tej flanki? Kiedyś mówiono, iż bardzo pan pilnuje, by prawa ściana była zabezpieczona.

Byłoby dobrze, gdyby prawa ściana była zabezpieczona, ale żyjemy w demokracji, stało się, jak się stało. To jest dziwne połączenie narodowców i wolnościowców, którzy w zasadzie nie powinni mieć z sobą nic wspólnego. Mamy tam nie tylko libertarianizm, który jest poglądem w mojej ocenie nierozsądnym, ale jednak uznanym poglądem na rolę państwa w życiu jednostki, lecz i libertarianizm. Jak to się składa w jedną formację z katolicką nauką społeczną, a precyzyjnie mówiąc, z jeszcze wcześniejszymi koncepcjami Dmowskiego? Nie wiem. Na serio traktowane być nie powinno.

Jak widzi pan w nadchodzących latach relacje z prezydentem Andrzejem Dudą, który w powyborczym wywiadzie dla „Sieci” mówił, że największym zagrożeniem dla obozu dobrej zmiany byłaby „obserwowalna arogancja władzy” i że on będzie pilnował, by dobra zmiana w taką stronę nie skrzyła?

Panowie, pytanie o relacje między naszym obozem a prezydentem Andrzejem Dudą jest pytaniem do prezydenta. Myśmy zawsze go popierali, robiliśmy wszystko, by go wybrać po raz drugi, co – jak było widać – okazało się w pewnym momencie zadaniem trudnym. Natomiast pewne działania prezydenta z poprzedniej kadencji były dla nas zaskakujące i chociaż wiem, że prezydent ma tu inną ocenę, nie przyczyniły się do pozytywnych zmian w Polsce. Mam nadzieję, że z tego będą wyciągnięte wnioski. I tyle mogę powiedzieć.

Kwestią polityczną w Polsce stała się też sprawa białoruska. Z jednej strony

25 SALTUS
LAT UBEZPIECZENIA

**Dobre pomysły
WYGRYWAJĄ
NAGRODY!**

Jubileuszowy konkurs na 25-lecie SALTUS Ubezpieczenia

**Skorzystaj z naszej oferty ubezpieczeń
mieszkaniowych, zdrowotnych, NNW, podróży
oraz na życie Optimum MAX**

**Odpowiedz na pytanie konkursowe i sięgnij po atrakcyjne nagrody!
Formularz konkursowy znajdziesz w placówkach SKOK**

Szczegóły i regulamin konkursu dostępne na www.saltus.pl/konkurs
Materiał o charakterze reklamowym i marketingowym



ekspres do kawy
DeLonghi
DINAMICA



Thermomix



iPhone
XS 64 GB

WEŹ UDZIAŁ!

mamy autentyczne powstanie obywatelskie, z drugiej musimy pamiętać, że jest różnica, czy rosyjskie czołgi stoją pod Smoleńskiem, czy na naszej granicy.

Tak, w tzw. bramie smoleńskiej stoi dziś I Armia Pancerna Gwardii i rzeczywiście mogłaby się znaleźć pod Brześciem. To jest problem i go nie kwestionuję. Pewnie nie wiem wszystkiego, ale znam skomplikowanie tej sytuacji. Jednak uważam, że w polityce są pewne zasady i my musimy ich przestrzegać. Nie możemy odrzucić naszych fundamentalnych wartości, nawet jeśli dostrzegamy, że Aleksander Łukaszenka gwarantował jakąś tam jednak odległość polityczną Białorusi od Rosji. Dziś już nie gwarantuje, niektórzy mówią, że wywiesił rosyjski sztandar. To zręczny gracz, ale obawiam się, że już nie będzie mógł tego sztandaru zdjąć. Stąd nasze poparcie dla tego, co jednak określiłbym mianem protestu obywatelskiego, bo o powstaniu można mówić, gdy się sięga po siłę. Jak długo on potrwa, trudno dziś powiedzieć. Plany Rosji na pewno też są wielowariantowe, ale zawsze nastawione na to, by przytulić Białoruś mocną ręką, stanowczym gestem, po rosyjsku.

Za nami dwie ważne rocznice historyczne. Najpierw zapytamy o 1 września – bo wciąż maniakalnie wraca, niestety także na części prawicy, postulat, że powinniśmy w 1939 r. pójść z Hitlerem. Jak pan się do tego odnosi?

Każdy, kto zna bieg historii, może sobie różne rzeczy wymyślić, każdy jest mądry po latach. Uważam, że oczywiście każda władza, każde państwo ma obowiązek bronić interesów swojego narodu, zwłaszcza jeżeli są one zagrożone biologicznie, a tak było w czasie II wojny światowej. Tylko proszę sobie zadać pytanie, jak moglibyśmy z tego wyjść?

Po i tak przegranej wojnie?

Pewnie przegranej, bo nie sądzę, by nasze trzydzieści kilka ówczesnych dywizji, a przy maksymalnym wysiłku może 50, zmieniły bieg historii. Pewnie byśmy skończyli jako małe, zhańbione państewko. Ale nawet gdyby – nie daj,

Panie Boże – Hitler wygrał, jaki los czekałby Polaków? Pewnie też eksterminacja, ale najpierw skłonienie czy zmuszenie nas, byśmy naprawdę zrobili to, o co nas dzisiaj bezpodstawnie oskarżają – mówię o eksterminacji narodu żydowskiego. Przecież to nie był normalny człowiek, polityk, tylko szaleniec, wariat i zbrodniarz. Jak on opanował naród z taką kulturą i historią? To trudne do zrozumienia nawet wtedy, gdy dostrzega się fatalne elementy w niemieckiej historii i kulturze, także tej największej.

Ład medialny wymaga naprawy, uporządkowania, bo w tej chwili mamy stan w istocie kolonialny. Trzeba to zmienić i to jest oczywiste. Konieczna jest także dalsza reforma sądownictwa, choć są tu różne poglądy i koncepcje, jak to zrobić

Te teorie są też jakąś ucieczką od ciężaru, jakim jest podmiotowość Polski, jej niepodległość, koszty z tym związane.

Pójście z Hitlerem oznaczałoby ocalenie pewnej liczby ludzi w pierwszej fazie wojny, ale później wyłącznie straty i cierpienie, niekoniecznie mniejsze, niż przyniósł opór 1939 r. I na pewno finałem nie byłaby niepodległość, bo po pokonaniu Francji nie mielibyśmy już żadnych argumentów. Skończylibyśmy jako małe skompromitowane państewko.

Uczczono też w ostatnich dniach powstanie Solidarności – te wydarzenia i pan, i śp. Lech Kaczyński już współtworzyliście. Przy okazji otwarcia wystawy „Lech Kaczyński. Człowiek Solidarności” powiedział pan, że są zasługi śp. Lecha Kaczyńskiego, które nie są powszechnie znane. W tym de-

cydujący wpływ na kształt statutu NSZZ „Solidarność”, na to, że stał się jednym ogólnopolskim związkiem zawodowym.

Chciałbym być tu precyzyjny – ideę jednego związku i jego nazwę Solidarność wymyślił bez wątpienia Karol Modzelewski. Sam czy też z innymi, tego nie wiem, napisał projekt statutu. Chodzi o to, że w takim wydaniu, z takim projektem statutu rzecz była nie do przeprowadzenia. Przeciwny był Wałęsa, przeciwni byli doradcy, nawet tacy jak Jacek Kuroń niewpuszczany wtedy do gmachu, w którym mieściło się ówczesne kierownictwo gdańskiego związku. Mieli mocne argumenty. Chodziło więc o to, by tak zmodyfikować projekt i tak przeprowadzić naradę aktywu tworzących się wtedy NSZZ, by uzyskać ich poparcie i przełamać opór Wałęsy. I sposób na to wymyślił i przeprowadził Leszek, zasiadający wtedy w prezydium zebrania w Sali Steru Hotelu Morskiego. To była cała intryga, nie będę jej tu opisywał, ale ważny był skutek – związek powstał. Jego statut to zupełnie inna historia, która ciągnęła się długo po 17 września. Jego autorami byli Jan Olszewski, Wiesław Chrzanowski z udziałem innych prawników.

Dla pana formacji to jest obowiązujące dziedzictwo?

W oczywisty sposób nasze dojsście do władzy w roku 2015, a incydentalnie i przedtem, było powrotem do ideałów Solidarności, których oczywiście nigdy nie odbieraliśmy kolegom ze związku zawodowego. Nasi oponenci posługują się kilkoma nazwiskami osób zasłużonych, jak Frąsiniuk, których dokonań z tamtego czasu nie będę kwestionował, ale których bardzo szybka ewolucja po 1989 r., następnie kooptacja do systemu, podważyły wartość tamtych zasług.

Do Solidarności chce się odwoływać Rafał Trzaskowski, który zamierza tak nazwać nowy ruch pod swoim przywództwem. Ma w pana ocenie prawo?

Równie dobrze mógłby się ogłosić kontynuatorem Napoleona, a jeśli chce, to i gwardzystów z czasów rewolucji bolszewickiej [śmiech].



Kuszenie Urbanem

Gdyby prześledzić aktywność medialną Urbana w ostatnim czasie, czy to w jego tygodniku, czy w internecie, to się okaże, że – pomimo pozorów antysystemowości, krytykowania wszystkiego i wszystkich, łamania tabu – koncentruje się ona na zwalczaniu Kościoła i PiS. To są naczelnicy wrogowie Urbana i to oni łączą go z „Newsweekiem” i „Wyborczą”



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Z punktu widzenia prawicowego czytelnika wszystko wydawało się jasne. Jerzy Urban, po początkowych tłustych latach 90., miał dogorywać wraz ze swoim tygodnikiem na marginesie życia medialnego. Jego odbiorcy, różnej maści sfrustrowane sieroty po PRL czy też – jak twierdził sam Urban – komuchy, którym przywracał poczucie godności – powoli wymierali. Należało tylko czekać aż przedsięwzięcie Urbana padnie z przyczyn naturalnych, a on sam

zniknie wreszcie w mrokach niepamięci. Tymczasem Urban, pomimo swoich 87 lat, ciągle powraca. To prawda, że jego tygodnika prawie nikt nie czyta, ale on sam znalazł dla siebie niszę w internecie. I – jak twierdzi – zdobywa uznanie wśród młodzieży, dla której nie jest symbolem stanu wojennego, lecz dość oblesnym, ale za to śmiesznym starym pajacem strojącym sobie żarty z pełnej patosu władzy. Publikuje regularnie filmiki, w których ucharakteryzowany na śmierć z kosą, małe dziecko z pluszową maskotką lub – dla odmiany – całkiem nagi dworuje sobie z Kościoła i z rządzącego Prawa i Sprawiedliwości. Dla osób ze starszej generacji jego „dowcipy” są raczej żenujące, ale wielu młodych najwyraźniej bawią (niektóre dane potwierdzają spore przyrosty oglądających).

Żona Urbana Małgorzata Daniszewska przechwala się, że były rzecznik Jaruzelskiego jest dziś rozpoznawany przez nastolatków. On sam dodaje, że jest „pieszczochem młodzieży”,

bo „zachowuje się w internecie zupełnie inaczej” niż ktokolwiek z jego pokolenia. Kto wie, być może to prawda, bo jeśli spojrzeć na obserwujących i lajkujących posty z jego udziałem, to już na pierwszy rzut oka widać, że sporo tam młodzieży. Młodzieży, która zwykle bezrefleksyjnie chwytają jego antyreligijny i nihilistyczny przekaz podawany jej pod płaszczykiem niezbyt wyrafinowanej „beki” z rządzących.

WYCIĄGNIĘTY ZA USZY

To właśnie ta nieoczekiwana popularność Urbana wśród młodych ludzi miała sprowokować najpierw „Newsweek”, a potem „Gazetę Wyborczą” do zainteresowania się zapomnianym już nieco – jak się pozornie zdawało – rzecznikiem Jaruzelskiego. Przy czym nie były to zwykłe artykuły. Dwie okładki z Urbanem z rządu, a w „Wyborczej” sążnisty wywiad, w którym Urban próbuje się przedstawiać jako może trochę kontrowersyjny, ale jednocześnie przytomny recenzent obecnej rzeczywistości. Jerzy Urban skomentował okładkowe materiały w obu tytułach cyniczną uwagą, że ich publikacja oznacza, że znów przyszła na niego „konjunktura”. „Młodzież nie chce głosować na PiS. Czyli to, co ona lubi i ogląda, staje się [dla „Wyborczej” i „Newsweeka”] politycznie ważne” – tłumaczy w wywiadzie.

W tym momencie warto sobie zadać pytanie, czy rzeczywiście jest to główny powód „konjunktury na Urbana”? Być może rzeczywiście „Newsweek” i „Gazeta Wyborcza” chcą podczepić się pod jego „sławę” i skorzystać nieco na jego rozpoznawalności wśród części młodzieży. Wydaje się to jednak mało prawdopodobne. W ten sposób nie zdobędzie się nowych czytelników, zwłaszcza wśród młodych ludzi, którzy w ogóle nie czytają prasy. Co więcej, można stracić część dotychczasowych, z racji dojrzałego wieku doskonale pamiętających haniebną funkcję pełnioną przez Urbana w stanie wojennym. Swojego oburzenia rozmową z Urbanem w „Wyborczej” nie kryły nawet tak odległe od PiS osoby jak Konstanty Gebert czy Marcin Matczak. Zwłaszcza że publikacja wywiadu niemal zbiegła się w czasie z rocznicą podpisania porozumień sierpniowych. Chyba nie było można wybrać sobie gorszego momentu na rozmowę z Urbanem.

Mimo to „Wyborcza” (a wcześniej „Newsweek”) zaryzykowały. Nikt oczywiście nie wie, co siedziało w głowach osób podejmujących decyzję o promowaniu Urbana (bo to jednak oni bardziej promują jego niż on ich). Być może wymiana pokoleniowa w środowisku dziennikarskim, polityczny cynizm starszych redaktorów albo po prostu antypisowskie zaślepienie całkowicie zmieniły spojrzenie szefów obydwu redakcji na historię najnowszą i każały im odnaleźć w dawnym rzeczniku stanu wojennego swojego sojusznika.

W przypadku Tomasza Lisa, który z opozycją demokratyczną nie miał nic wspólnego i który adresuje swoje pismo głównie do mało rozeznanych w świecie „lemingów”, tak bardzo to nie dziwi, jednak Jarosław Kurski miał swoją kartę soli-



Fot. YouTube

darnościową, a jego gazeta, pomimo zupełnie obłakanej polityki, wywodzi się z nurtu demokratycznej opozycji i utrzymała niewielką grupę czytelników z tamtych pionierskich czasów. Dziś mocno antypisowskich, ale przytomnych intelektualnie i pamiętających PRL.

Oczywiście jest jeszcze Adam Michnik, który dobrze zna się z Jerzym Urbanem. Jednak starał się on utrzymywać tę znajomość na prywatnym gruncie, zdając sobie sprawę z tego, że publiczne afiszowanie się z rzecznikiem stanu wojennego może być nie najlepiej odebrane w jego środowisku.

Teraz jednak przestało to najwyraźniej mieć znaczenie i wyciągnięto Urbana za uszy na światło dzienne. Przyczyna wydaje się jasna: w walce z PiS każda amunicja jest dobra, nawet ta peerelowska.

MAINSTREAMOWY KONTESTATOR

Sam Urban potwierdza, że stoi w jednej linii z antypisowską opozycją. W wywiadzie z „Wyborczą” zaznacza nawet, że jest sojusznikiem politycznym Lecha Wałęsy, choć osobiście szczerze go nie znosi. Jednocześnie dodaje, że nienawidzi „nurtu reprezentowanego przez Jarosława Kaczyńskiego”.

I rzeczywiście, gdyby prześledzić większą część jego aktywności medialnej w ostatnim czasie, czy to w jego tygodniku, czy w internecie, to się okaże, że – pomimo pozorów antysystemowości, krytykowania wszystkiego i wszystkich, łamania tabu – koncentruje się ona na zwalczaniu Kościoła i PiS. To są naczelnymi wrogami Urbana i to oni łączą go z „Newsweekiem” i „Wyborczą”. Jedyną różnicą jest forma przekazu, w obu gazetach pozornie merytoryczna, a u Urbana obłana sosem masturbacyjno-fekalnym, najwyraźniej dobrze dopasowanym do pocucia humoru obserwującej go infantylnej młodzieży.

Dlatego „Wyborcza” wybacza Urbanowi nie tylko wulgaryzmy, lecz również niepoprawne politycznie słownictwo. Urban publicznie nazywa tęczowe sztandary LGBT „pedalskimi flagami”, ale uchodzi mu to na sucho, skoro ogólna linia jego przekazu jest słuszna. Bo jednocześnie nawołuje „pedałów”, aby „dopierdalali katolikom i biało-czerwonym”. „Popieram demolkę i profanację” – mówi. Wszyscy więc wiedzą, że słowo „pedał” czy jakiegokolwiek podobne nie może być w ustach Urbana

nawoływaniem do dyskryminacji czy nienawiści, bo chce on „dopierdalać” jedynie katolikom. A to jest politycznie słuszne.

Urban cieszy się, że w końcu jego antyklerykalna linia zaczęła zwyciężać. „Kurczy się prestiż społeczny [Kościoła], liczba wyznawców i inne wskaźniki, coraz więcej jest antyklerykałów. I to wszystko moja działka” – chwali się „Wyborczej”. Schlebia sobie nadmiernie, bo bardzo pomogły mu zmiany cywilizacyjne w świecie, które po upadku PRL dotarły do Polski. Schlebia sobie także wtedy, gdy mówi o sobie, że – nie licząc czasów stalinowskich – zawsze był przekorny i postępował wbrew wszystkim. Także w latach 80., gdy wszyscy wspierali Solidarność, i teraz, gdy „rządzi” Kościół i „nacionaliści”. Ot taki, mainstreamowy kontestator.

PROSTACKA DIAGNOZA

Przez wiele lat naczelną dewizą Urbana był prostacki slogan, że „wszyscy są siebie warci”. Że mechanizmy leżące u podstaw peerelowskiej władzy przetrwały do dziś, tyle że ideologię komunistyczną zastąpiła religia katolicka, a partię – wysługującą się Kościołowi politycy prawicy.

„Wyborcza” chętnie do tego nawiązuje, prowokując Urbana do budowania porównań między PRL a obecną Polską. Na pierwszy ogień idzie TVP (niech pan sobie wyobrazi, że „zostaje pan doradcą Jacka Kurskiego”), co Urban szybko podchwytuje, twierdząc, że „podziwia efektywność” Kurskiego i jego „skuteczne docieranie do ludu”. Przy okazji wspomina o swoim pomysle utworzenia w czasach Jaruzelskiego nowej telewizji pod patronatem Czesława Kiszczaka i pod wodzą Mariusza Waltera, która mogłaby złamać „monopol” TVP i być „telewizją dla ludzi”. Wtedy jednak władzy nie spodobała się ta idea, która nie dopuszczała jakiegokolwiek – nawet przyjaznej – konkurencji w mediach. Wszystko musiało być pod pełną kontrolą.

W tej rozmowie chodzi więc także o to, aby wytworzyć w czytelniku przekonanie, że za sprawą Jarosława Kaczyńskiego znowu powróciliśmy do PRL. Przy czym Urban dodaje, że dziś jest nawet gorzej niż za komuny, bo wtedy reżim miał tendencję „liberalizującą” życie, a dzisiaj PiS idzie w przeciwnym kierunku. Jego odpowiedzi doskonale więc korespondują z oczekiwaniami „Wyborczej”. Oto były funkcjonariusz totalitarnego reżimu (a zatem jego domniemany znawca), obserwując obecną sytuację w Polsce, potwierdza diagnozę „Wyborczej”, że stoczyliśmy się do autorytaryzmu. Pisowski reżim chce wszystko narzucać i kontrolować.

Na niektórych czytelników „Wyborczej” najwyraźniej to działa. Jeden z nich w opublikowanym liście do redakcji oznajmił, że po lekturze wywiadu z Urbanem były rzecznik stanu wojennego wydaje mu się mniej nikczemny od Jarosława Kaczyńskiego. Za to Monika Płatek z UW uznała, że wywiad był „świetny”, a Urban to postać „bardzo złożona”, której należy oddać głos w imię różnorodności opinii (co ciekawe, pani profesor nie widzi chyba takiej potrzeby w przypadku osób o nieprzychylnych jej poglądach prawicowych).

POMOCNA DŁOŃ

Czytelnicy prasy, także ci, co wyżej cenią Urbana niż Kaczyńskiego, są jednak na wymarcu. Ważne jest więc, aby dotrzeć

z antypisowskim przekazem do młodych. Na razie młoda lewica, ta najbardziej radykalna spod znaku Margot, jest zbyt anarchistyczna, aby ją kontrolować. Owszem, bluzga na Kościół, na PiS i na całą Polskę, ale jednocześnie nie oszczędza liberalnych oponentów prawicy, określanych pogardliwie „libkami”. A nazywanie np. Rafała Trzaskowskiego „zakłamanym kutasiarzem” (cytat z lewackiego profilu Stop Bzdurom) oraz demonstrowana pogarda młodych anarchistów wobec PO i materialnych aspiracji jego elektoratu, są już dla wspierających opozycję mediów niedopuszczalne. Jest przecież tylko jeden wróg i trzeba się przeciw niemu zjednoczyć,

Urban podaje tu pomocną dłoń. Kokietuje młodzież, ale robi w to w bezpieczny, przemyślany sposób. Żadnych ostrych ataków na opozycję, jedynym celem jest PiS i Kościół. Inna rzecz, że ukształtowany przez taki antyklerykalny i antyprawicowy przekaz odbiorca nie będzie się ganił w przyszłości do Platformy, uznając ją za formację zaściankową i pełną hipokryzji. Ale to problem na później, gdy uda się odsunąć PiS od władzy. Wtedy nie będzie potrzeby bronić PO, chyba że sama się zmieni i w pełni podporządkuje obowiązującej ideologii.

Na stare lata Urban kusi młodzież, aby zeszła na antypisowską, antyklerykalną drogę. Na razie odnosi tu pewne sukcesy (z czego prawica powinna wyciągnąć odpowiednie wnioski). Ale jeżeli „Wyborcza” i „Newsweek” zaczną go częściej brać na sztandary, to szybko straci wśród młodych swój powab rzekomej „niezależności” i „antysystemowości”.

REKLAMA

RADIO
Warszawa
106,2 FM

DOBRE SŁOWO
NA FALI

SŁUCHAJ NAS
ONLINE

www.radiowarszawa.com.pl

4/0920/F

Wielka ściema w ściekach

Tego nie przewidział żaden z uczestników fety, którą urządzono 22 marca 2013 r., specjalnie wtedy, gdy obchodzono Światowy Dzień Wody i Ochrony Bałtyku. Fetowano gotowość otwarcia oczyszczalni ścieków Czajka. Sześć i siedem lat później, czyli w sierpniu 2019 i w sierpniu 2020 r., mieliśmy epilog tamtej fety, mierzony kilkoma miliardami litrów ścieków wpuszczonych do Wisły wskutek dwukrotnej awarii infrastruktury przesyłowej pod rzeką. I nadal do Wisły się lejących. Pod koniec listopada 2018 r. zepsuła się też Stacja Termicznej Utylizacji Odpadów Ściekowych i odpady rozwożono po całej Polsce.

22 marca 2013 r. ówczesny premier Donald Tusk mówił: „Jestem dumny z tego, że te pieniądze (3,7 mld zł) zostały tak dobrze wydane. To zasługa wielkiego zaangażowania wszystkich uczestników procesu inwestycyjnego, a także niezwyklej determinacji pani Hanny Gronkiewicz-Waltz, która walczyła o ten projekt w Komisji Europejskiej od chwili objęcia funkcji prezydenta miasta. Dzięki temu to, co było niemożliwe za jej poprzednika, stało się realne i dziś możemy świętować ten wielki sukces”. Słuchała tego nie tylko ówczesna prezydent Warszawy, lecz również szef Dyrekcji Generalnej ds. Polityki



STANISŁAW JANECKI

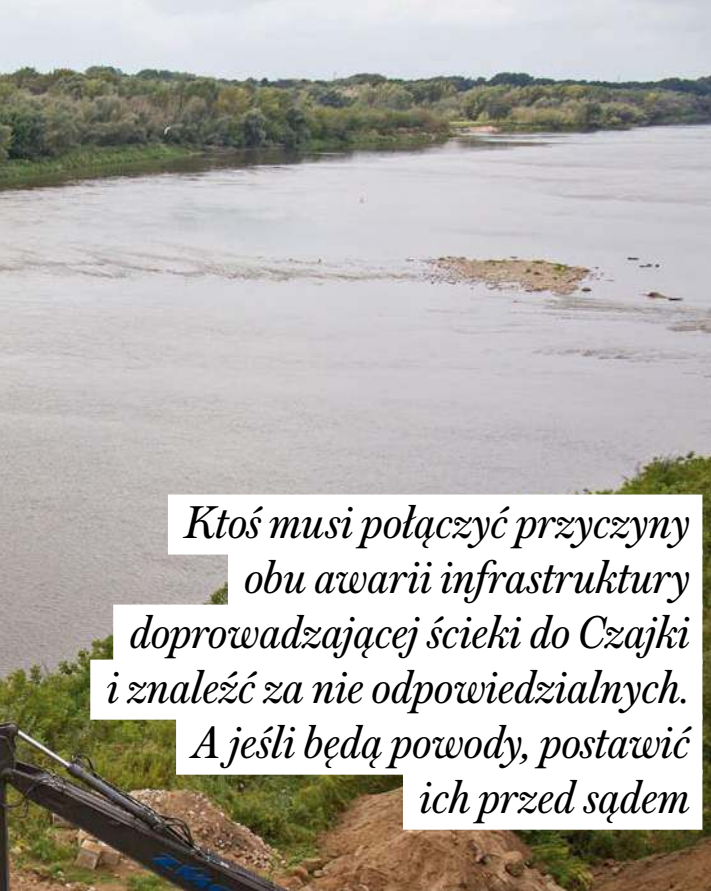
Regionalnej i Miejskiej KE Charlina Vitcheva. Osoby zaangażowane w rozbudowę Czajki docenił ówczesny prezydent RP Bronisław Komorowski, przyznając złote, srebrne i brązowe krzyże zasługi. Hanna Gronkiewicz-Waltz pochwaliła samą siebie (jak zwykle): „To miała być dla mnie skórka od banana, na której się poślizgnę. Na szczęście te defetystyczne proroctwa się nie

sprawdziły. Przekonałam Komisję Europejską do przedłużenia terminu realizacji inwestycji z 2008 na 2012 r. Pod koniec grudnia Czajka została ukończona i zgłoszona do odbioru. Teraz wszyscy mamy z tego powodu wielką satysfakcję”.

Niekoniecznie wszyscy mieli satysfakcję, bo już podczas fety 22 marca 2013 r. mówiono o „zdarzeniach zaskakujących inwestora”, a chodziło przede wszystkim o rury przesyłowe biegnące w betonowym tunelu pod Wisłą. Warto się przyrzyć tym zaskakującym wydarzeniom i ich skutkom.

NOWATORSKI PRZEPIS NA KATASTROFĘ

23 września 2011 r., a więc w trakcie budowy systemu przesyłania ścieków pod Wisłą, na stronie inżynierbudownictwa.pl ukazał się artykuł podpisany przez kierownika Zakładu In-



Fot. Andrzej Wiktor

*Ktoś musi połączyć przyczyny
obu awarii infrastruktury
doprowadzającej ścieki do Czajki
i znaleźć za nie odpowiedzialnych.
A jeśli będą powody, postawić
ich przed sądem*

żynierii Miejskiej Politechniki Wrocławskiej prof. Cezarego Madryasa (późniejszego rektora tej uczelni), kierownika Zakładu Dróg i Mostów Uniwersytetu Zielonogórskiego prof. Adama Wysokowskiego, wiceprezesa Przedsiębiorstwa Robót Górniczych PRG Metro grupa kapitałowa Hydrobudowa Polska mgr. inż. Marka Gaertiga oraz dyrektora zarządzającego firmy Hobas System Polska (produkującej rury, którymi popłynęły ścieki pod Wisłą) mgr. inż. Lecha Skomorowskiego. Pod niebiosą wychwalano w nim „technologię bezwykopową” kładzenia rur oraz „nowatorstwo kolektorów dosyłowych z rur z żywicy poliestrowych CC-GRP o rekordowej długości (6 km) odcinków wykonywanych metodą mikrotunelową, a także średnicy (do 3,5 m)”. Autorzy chwalili to, że „do produkcji rur wykorzystano nienasycone żywice poliestrowe, cięte włókno szklane, węgiel wapnia oraz piasek kwarcowy”. Od komory wejściowej do części biegnącej pod Wisłą zastosowano rury stalowe, a na płaskim odcinku pod dnem rzeki (ok. 1300 m) CC-GRP o średnicy 1,6 m. Rury miały oczywiście spełniać najwyższe standardy. Jak stwierdziła już po drugiej awarii prezes MPWiK Renata Tomusiak, do rur z tworzywa sztucznego „ścieki wpadają pod ciśnieniem 2,7-2,8 atmosfer”. Dalej ciśnienie spada, więc „na drugim końcu kolektora jest już tylko 1,2-1,6 atmosfer”.

Te dane i zapewnienia o nowatorskiej technologii są ważne, zarówno w 2019 r., jak i w 2020 r. pękły bowiem rury CC-GRP. W 2019 r. tuż za połączeniem z rurami stalowymi, w 2020 r. kilkaset metrów od komory wejściowej i za 100-metrowym odcinkiem rur stalowych, które położono w miejsce rozdzielonych rok wcześniej rur z tworzywa sztucznego. Ekspert badający przyczyny pierwszej awarii prof. Zbigniew Kledyński z Politechniki Warszawskiej mówił w lipcu 2020 r., że rok wcześniej zerwał się element z tworzywa sztucznego łączący stalowe rury z tymi CC-GRP. Zerwał się, choć powinien wy-

trzymać dużo większe obciążenia, ale był „nierówno docięty” i „niejednorodny materiałowo”.

Umowę na opracowanie projektu infrastruktury przesyłowej ścieków podpisano 16 lutego 2006 r., gdy p.o. prezydentem miasta był Mirosław Kochalski. Ale projekt budowlany układu przesyłowego wraz z syfonem pod dnem Wisły był gotowy dopiero 17 września 2009 r., gdy od prawie trzech lat prezydentem Warszawy była Hanna Gronkiewicz-Waltz. Projekt przygotowało konsorcjum firm: DHV Polska sp. z o.o. (lider), Grontmij Polska sp. z o.o., ILF Consulting Engineers Polska sp. z o.o. oraz Prokom sp. z o.o. Umowę na roboty budowlane podpisano 22 lipca 2010 r. (zakończyły się 20 grudnia 2012 r.), a wykonywały je: Przedsiębiorstwo Robót Górniczych „Metro” sp. z o.o. (lider), Hydrobudowa Polska SA, Hydrobudowa 9 SA oraz Infra SA. Raport końcowy inżynier projektu złożył 29 sierpnia 2013 r.

Projektanci wybrali rury CC-GRP, bo chwalili je liczni naukowcy, m.in. prof. Cezary Madryas z Politechniki Wrocławskiej i prof. Andrzej Kuliczkowski z Politechniki Świętokrzyskiej (były stosowane na całym świecie). Coś jednak poszło nie tak. Między 3 stycznia a 21 lutego 2012 r. położono rury w tunelu pod Wisłą. Ze względu na materiał, z którego były wykonane, nie można było ich opasać i zakotwiczyć w betonowym tunelu, bo mogłyby popękać. Projekt zakładał więc zalanie ich pianobetonem. Tłoczono go na odległość kilkuset metrów i już wtedy mogło dojść do przesunięcia stosunkowo lekkich rur.

30 kwietnia 2012 r., po montażu rur układu przesyłowego CC-GRP i zalaniu ich pianobetonem, podpisano z Politechniką Warszawską umowę na wykonanie ekspertyzy infrastruktury biegnącej pod Wisłą. I na podstawie tej ekspertyzy na zalanych pianobetonem rurach położono jeszcze zbrojoną betonową płytę dociążającą (z betonu B30). Minimalna trwałość rur miała wynosić 50 lat. Na wierzchu (pośrodku) położono tory dla wagoników przeprowadzających inspekcje. Tyle że nic nie można było dostrzec pod warstwami betonu, zanim nie doszło do awarii i wysadzenia płyt.

Inżynier Janusz Waś, ekspert ds. ochrony wód i gospodarki wodnej, uważa, że zalanie rur betonem to „rozwiązanie kuriozalne”. Dlatego że „rury wykorzystane w instalacji nie nadawały się na rurociąg ciśnieniowy”. A inwestora zapewne przekonały argumenty producenta rur oraz licznych profesorów. Janusz Waś sądzi, że gdy kolektor zabetonowano, „naprężenia, które powstawały, nie miały się gdzie rozchodzić”.

KRAJOBRAZ PO AWARII

Gdy w sierpniu 2019 r. rury pękły po raz pierwszy, okazało się, że awaria jednej automatycznie powoduje pęknięcie drugiej. Ścieki były wchłaniane przez pianobeton i ten się rozpręzał, a skoro wszystko było przykryte grubą warstwą betonu nieprzepuszczalnego, energia poszła także na drugą rurę, co doprowadziło do jej zniszczenia. Gdy po awarii w 2019 r. wymieniono początkowy odcinek instalacji na rury stalowe (nad nimi położono kratownicę zamiast betonowych płyt, więc wreszcie było coś widać), wręcz automatycznie zagrożony był następny odcinek (z rur GRP). I to w taki sposób, że skutki

mogły być (i były) znacznie dotkliwsze niż podczas pierwszej awarii, która zdarzyła się tuż przy komorze wejściowej, co decydowało o innym rozkładzie działających sił. I to powinni przewidzieć eksperci z Politechniki Warszawskiej badający przyczyny awarii. Ale nie przewidzieli.

Szefowa MPWiK Renata Tomusiak po drugiej awarii mówiła: „Wierzyliśmy, że przesył jest stabilnie naprawiony. Mieliśmy na to furę papierów. Przegląd jednej z rur zakończył się w maju [2020 r.]. Trwał 12 dni, tam był cały sztab ekspertów. Podobnie było z przeglądem drugiej, który odbył się w sierpniu [2020 r., w przeddzień awarii]”. W piątek o 16.35 Tomusiak dostała SMS, że przegląd się zakończył, a eksperci nie mają uwag i można włączać rurociąg. A w sobotę się okazało, że rury znowu popękały. Tym razem pianobeton został właściwie wysadzony w powietrze, co spowodowało również zniszczenie 40-centymetrowej płyty zbrojonego betonu, którymi nakryto rury. Rumowisko prawie całkowicie zatkało kanał techniczny nad rurami wysokości 1,8 m. Nic nie dało to, że po pierwszej awarii skontrolowano od środka wszystkie łączenia rur GRP i je wzmocniono (od zewnątrz się nie dało, bo wszystko przykrywał beton). „Ścieki spadają rurą praktycznie pionowo w dół, aby trafić do rury pod Wisłą. Łączenie tych dwóch przewodów po prostu nie wytrzymało” – mówił w TVN24 prof. Zbigniew Heidrich z Zakładu Zaopatrzenia w Wodę i Odprowadzania Ścieków Wydziału Instalacji Budowlanych, Hydrotechniki i Inżynierii Środowiska Politechniki Warszawskiej.

Dlaczego w Warszawie nie można było zbudować trwałej i bezpiecznej infrastruktury przesyłowej pod Wisłą, skoro to całkiem łatwe przedsięwzięcie inżynierskie? Dlaczego nie można było tego zrobić za 213,7 mln zł, które wydano na budowę układu przesyłowego wraz z syfonem? Przecież Gruba Kaśka tłoczy wodę dla Warszawy tunelem i rurami pod Wisłą od 50 lat i nic się nie dzieje. Rafał Trzaskowski twierdzi, że awarie kolektora to konsekwencja decyzji, żeby zamiast zbudować nową oczyszczalnię na lewym brzegu Wisły, rozbudowywać Czajkę. A taką decyzję podjęto za urzędowania w warszawskim ratuszu Lecha Kaczyńskiego. Takie bzdurne tłumaczenie tylko usprawiedliwia projektantów i wykonawców infrastruktury przesyłowej pod Wisłą. I usprawiedliwia Hannę Gronkiewicz-Waltz oraz jej urzędników, którzy akceptowali nie tylko kolejne etapy inwestycji, lecz także ryzykowne zmiany, np. dociążenie całości płytami ze zbrojonego betonu. Ktoś w MPWiK oraz w stołecznym ratuszu uległ perswazji profesorów kilku politechnik (m.in. wrocławskiej, warszawskiej i świętokrzyskiej), że najlepsze będą rury z tworzywa sztucznego. Dziwnym trafem kilku z tych profesorów jeździło potem po świecie wraz z przedstawicielami producenta rur, opowiadając, jak świetne rozwiązania przyjęto w infrastrukturze przesyłowej w Warszawie.

TERAZ PROKURATURA

W sprawie dwóch awarii mamy cały ciąg wydarzeń, którymi powinna się zająć prokuratura. Warto przesłuchać autorów projektu pod kątem wyboru rur i ich zalania pianobetonem. A także inż. Lecha Skomorowskiego, którego firma rury produkowała, a on je w trakcie budowy mocno zachwalał.

A potem trafił do Politechniki Wrocławskiej, gdzie u rektora Madryasa (eksperta chwającego wybór rur GRP) został zastępcą kanclerza ds. technicznych i inwestycji. Warto przesłuchać szefów firm wykonawczych, czy błędy nie powstały już podczas zalewania rur pianobetonem. A potem ekspertów z Politechniki Warszawskiej, którzy rekomendowali dociążenie całości płytami ze zbrojonego betonu. Jak MPWiK oraz ratusz mogły zaakceptować to, że zabetonowanie wszystkiego uniemożliwiało jakikolwiek sensowny monitoring? A może błędy celowo ukryto pod betonem? Powinien być w tej sprawie przesłuchany przedstawiciel inżyniera projektu. Wyjaśnienia wymaga też to, dlaczego eksperci z Politechniki Warszawskiej właściwie nie ustalili konkretnej przyczyny katastrofy w sierpniu 2019 r., a już zupełnie nie przewidzieli tej z sierpnia 2020 r., choć wydaje się wręcz niemożliwe, żeby

Inżynier Janusz Waś, ekspert ds. ochrony wód i gospodarki wodnej, uważa, że zalanie rur betonem to „rozwiązanie kuriozalne”. Dlatego że „rury wykorzystane w instalacji nie nadawały się na rurociąg ciśnieniowy”

nie odkryć zagrożenia odcinka położonego tuż za tym naprawionym. Wiele wskazuje na to, że powinno się rozebrać cały rurociąg pod Wisłą, a nie naprawiać jego niewielki odcinek. Choćby ze względu na koszty drugiej awarii. I za to odpowiedzialność ponoszą nie tylko eksperci, lecz również prezydent Rafał Trzaskowski. Ale największą odpowiedzialność ponosi oczywiście Hanna Gronkiewicz-Waltz.

Rafał Trzaskowski twierdzi, że już w listopadzie 2019 r. została wybrana firma (ITWH), której w marcu 2020 r. zlecono wykonanie koncepcji nowego systemu przesyłowego. I za kilka tygodni ma być ogłoszony przetarg – w formule „zaprojektuj i zbuduj”. Zanim to się stanie, powołano kolejną komisję do zbadania przyczyn obu awarii, z kolejnej politechniki. Jej pracami kieruje prof. Stanisław Rybicki, dziekan Wydziału Inżynierii Środowiska i Energetyki na Politechnice Krakowskiej. Prof. Rybicki jest cenionym ekspertem w dziedzinie infrastruktury wodno-ściekowej w miastach, ale poprzedni też tacy byli. Miał analizować przyczyny pierwszej awarii, ale potrzebował na to wielu miesięcy, więc wybrano ekspertów z Politechniki Warszawskiej, którzy właściwie nic specjalnego nie ustalili. Nie chodzi zresztą tylko o ustalenia naukowców, lecz o zbadanie, jak mogło dojść do tak wielu „zaskakujących zdarzeń”, skutkujących dwoma katastrofami. Cudów nie ma, ktoś musi to wszystko połączyć, znaleźć odpowiedzialnych, a jeśli będą powody – postawić przed sądem.

Polityk musi się liczyć ze zmianami



Obecną sytuację na rynku pracy można ocenić w kategorii umiarkowanego optymizmu. Nie ma w chwili obecnej przesłanek wskazujących na ryzyko wzrostu poziomu bezrobocia w Polsce na koniec roku ponad aktualną średnią unijną, czyli 7,2 proc.

Z Marleną Maląg, minister rodziny, pracy i polityki społecznej, rozmawia Dorota Łosiewicz

Zapowiedziana jest rekonstrukcja rządu. Jak się pracuje pod taką presją?

Marlena Maląg: Jeżeli czuję presję, to nie z powodu możliwych zmian, które są naturalne i wpisane w scenariusz bycia politykiem. Pełnię funkcję ministra w poczuciu odpowiedzialności za działania jednego z kluczowych dla polskich rodzin resortów. Pracę w Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej traktuję jako misję powierzoną mi przez pana premiera i każdego dnia, idąc do pracy, staram się jak najlepiej wypełniać swoje obowiązki w myśl zasady św. Jana Pawła II: „Musicie od siebie wymagać, nawet gdyby inni od was nie wymagali”. Wspólnie z moimi wiceministrami dążymy do tego, aby efekty naszej pracy miały realny, pozytywny wpływ na jakość życia Polek i Polaków. Cieszę się z tego, co do tej pory, jako minister w rządzie premiera Mateusza

Morawieckiego, udało się wspólnie wypracować, zwłaszcza w minionych niełatwych dla nas wszystkich sześciu miesiącach trwania epidemii koronawirusa.

Czy będzie pani próbowała przekonać do tego, by pozostała pani na stanowisku?

Decyzje o planowanych zmianach w składzie rządu są zastrzeżone do wyłącznej kompetencji pana premiera Mateusza Morawieckiego oraz ścisłego kierownictwa PiS. Dlatego też tak jak dotychczas zamierzam się koncentrować wyłącznie na jak najlepszym wykonywaniu pracy i powierzonych mi obowiązków związanych z pełnieniem funkcji ministra, na konsekwentnym realizowaniu mojego wyborczego hasła, z którym szłam do ubiegłorocznych wyborów parlamentarnych, ubiegając się o mandat posła na Sejm RP: „Zbudujmy Polskę przyjazną rodzinom”.

Mówi pani o Polsce przyjaznej rodzinom, a czy efekt 500+ wciąż istnieje?

Rządowy program Rodzina 500+ to nasza największa duma. Odkąd w 2015 r. Polacy obdarzyli nas zaufaniem i powierzyli nam swoje sprawy, stanęliśmy na wysokości zadania i zapewniliśmy rodzinom godne warunki życia. Z programu korzysta obecnie 6,5 mln polskich dzieci, a do portfeli rodzin trafiło dotychczas ponad 121 mld zł. To potężna inwestycja w polskie rodziny. Warto również podkreślić, że po wprowadzeniu świadczenia wychowawczego zdecydowanie spadł wskaźnik zagrożenia ubóstwem relatywnym wśród dzieci. Dla mnie jednak, poza twardymi danymi, istotna jest informacja, jaką otrzymuję od rodzin podczas licznych spotkań, które odbywam w całym kraju. Dzisiaj Polacy wiedzą, że czeka ich dobra przyszłość i że mogą spać spokojnie.

Pytanie tylko, czy pani resort jest w stanie wykrzesać z siebie jeszcze równie atrakcyjne i znaczące projekty dla rodzin?

Obecna sytuacja, związana z pandemią koronawirusa, nie wpłynęła na zmianę fundamentalnego priorytetu naszego rządu, jaki stanowi rodzina. Kontynuujemy, a w dalszej perspektywie planujemy rozwijanie programów społecznych, które zaproponowaliśmy Polakom przez ostatnich pięć lat. Dostosowujemy również nasze działania do dynamicznie zmieniającej się sytuacji epidemicznej. Warto nadmienić, że mimo ogólnoswiatowego kryzysu spowodowanego COVID-19 Polska znajduje się w czołówce krajów Unii Europejskiej, które przeznaczają najwięcej środków z budżetu państwa na rzecz rodzin w stosunku do PKB – obecnie jest to 4 proc. W 2015 r. było to zaledwie 1,78 proc.

Skoro o COVID-19 pani wspomniała, to nie ma wątpliwości, że czeka nas druga fala epidemii lub – jak kto woli – kolejna odłona tej samej fali. Jaki plan przeciwdziałania negatywnym skutkom koronawirusa przygotował pani resort?

Sytuacja związana z epidemią koronawirusa jest przez nas na bieżąco monitorowana i analizowana. W ramach rządowej tarczy antykryzysowej wprowadziliśmy dotychczas wiele rozwiązań, które realnie ochroniły miliony miejsc pracy. Przygotowaliśmy rozwiązania umożliwiające skorzystanie przez rodziców i opiekunów z dodatkowego zasiłku opiekuńczego. Zapewniliśmy możliwości wykonywania pracy zdalnej w okresie obowiązywania stanu zagrożenia epidemicznego albo stanu epidemii, ogłoszonego z powodu COVID-19, oraz w okresie trzech miesięcy po ich odwołaniu. Uzgadniamy z Radą Dialogu Społecznego zasady zaimplementowania na stałe do Kodeksu pracy instytucji pracy zdalnej. Kolejnym z naszych priorytetów jest zapewnienie ciągłości funkcjonowania domów pomocy społecznej poprzez zagwarantowanie bezpieczeństwa podopiecznym i pracownikom tych placówek. Zadanie to



Od kwietnia do początku września dofinansowaliśmy wynagrodzenia dla blisko 4 mln pracowników w łącznej kwocie prawie 15 mld zł. Z kolei kwotą ponad 9,1 mld zł wsparliśmy ponad 1,8 mln mikroprzedsiębiorców

realizujemy, przekazując środki finansowe na dodatkowe wynagrodzenia dla pracowników, a także zakup środków ochrony osobistej. Ale tego rodzaju form wsparcia jest wiele, przypomnę jedną z nich, mianowicie 130 mln zł wyasygnowanych na

zakup sprzętu komputerowego oraz środków ochrony osobistej dla dzieci w ramach projektu „Wsparcia dzieci umieszczonych w pieczy zastępczej w okresie epidemii COVID-19”. Nie zapomnieliśmy też o tych, którzy stracili pracę w wyniku epidemii koronawirusa. Tak jak w okresie od czerwca do sierpnia osoby te mogły liczyć na wsparcie w ramach przygotowanego z inicjatywy pana prezydenta dodatku solidarnościowego, który trafił do 130 tys. osób w łącznej kwocie 309 mln zł, tak od września podniesiony został do kwoty 1,2 tys. zł, a więc o 36 proc., zasiłek dla osób bezrobotnych. Reasumując, będziemy się koncentrować na bezpieczeństwie Polek i Polaków oraz ochronie miejsc pracy. To są nasze priorytety.

Jak będzie ewoluowała pomoc w ramach tarczy antykryzysowej?

Tarcza antykryzysowa to pakiet rządowych rozwiązań, przede wszystkim instrumentów finansowych, mających na celu wsparcie i ochronę polskiej gospodarki, pracowników oraz pracodawców przed negatywnymi skutkami globalnej epidemii koronawirusa. Zdecydowana i wdrożona we właściwym czasie interwencja finansowa polskiego rządu przyniosła zamierzony efekt – polska gospodarka zanotowała najniższe spowolnienie gospodarcze w całej Unii Europejskiej. Nie sprawdziły się pesymistyczne scenariusze, które zakładały masowe upadłości firm oraz dwucyfrowy wzrost wskaźnika bezrobocia. W momencie pojawienia się zagrożenia COVID-19 pan premier Mateusz Morawiecki postawił przed nami – członkami Rady Ministrów – jeden zasadniczy cel: wsparcie polskiej gospodarki i ochronę miejsc pracy. I tak też się stało. Dziś łączna wartość pomocy rządu w ramach tarczy anty-

kryzysowej przekroczyła już poziom 135 mld zł. Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej od samego początku trwania epidemii brało aktywny udział w tworzeniu mechanizmów finansowego wsparcia zarówno pracowników, jak i pracodawców. Do najważniejszych przygotowanych i wdrożonych z powodzeniem przez resort rodziny instrumentów finansowych należy zaliczyć przede wszystkim dofinansowania do wynagrodzeń pracowników oraz umarżalne pożyczki dla mikroprzedsiębiorców w celu kontynuacji prowadzenia przez nich działalności gospodarczej. Aby zilustrować rozmiar finansowego wsparcia, pozwolę sobie przytoczyć kilka danych. Jako ministerstwo od kwietnia do początku września dofinansowaliśmy wynagrodzenia dla blisko 4 mln pracowników w łącznej kwocie prawie 15 mld zł. Z kolei kwotą ponad 9,1 mld zł wsparliśmy ponad 1,8 mln mikroprzedsiębiorców. Oznacza to, że w efekcie naszych dzia-

łań skutecznie ochronionych zostało około 6 mln miejsc pracy.

Ale co dalej? To nie koniec epidemii.

Na bieżąco monitorujemy to, co dzieje się w polskiej gospodarce i na rynku pracy. W zdecydowanej większości przypadków spotkamy się z pozytywną oceną rozmiaru wsparcia i szybkością jego wprowadzenia, a to cieszy i buduje. Od pewnego czasu nasza gospodarka stopniowo powraca na właściwe tory, czyli do sytuacji sprzed pandemii. W związku z powyższym zamierzamy skoncentrować wsparcie rządu tam, gdzie jest ono niezbędne, a więc do tych branż, które najdotkliwiej odczuły negatywne skutki lockdownu. Posłużę się tu przykładem branży turystycznej i przygotowanego dla niej instrumentu wsparcia, jakim jest Polski Bon Turystyczny. Przede wszystkim oceniamy, że skutecznym rozwiązaniem w obecnej sytuacji, będącym w interesie zarówno pracowników, jak i zatrudniających ich

REKLAMA

Oszczędzanie na wysokim poziomie!

Przekonaj się, jak dobrze być naszym Klientem.
Skorzystaj z Lokaty Witaj w Kasie o niezwykle atrakcyjnych parametrach.

- **300 zł** – tylko tyle wystarczy, by zacząć oszczędzać
- Możesz ulokować **nawet 50 000 zł**
- Okres oszczędzania – **2 miesiące**

Założ lokatę w placówce!

Aż

2,50%
w skali roku

Oprocentowanie stałe
na lokacie 2-miesięcznej



kasastefczyka.pl
801 600 100

(koszt wg taryfy operatora)

 **KASA STEFCZYKA**

Zawsze u siebie

Oferta dostępna dla nowych Klientów Kasy. Jeden Klient może posiadać jedną aktywną lokatę, którą może założyć w ciągu 2 miesięcy od zapisania się do Kasy. Szczegóły w placówkach Kasy i na kasastefczyka.pl

pracodawców, są inwestycje. W tym celu zamierzamy realizować w naszym wspólnym narodowym interesie, nie bacząc na słowa krytyki ze strony opozycji, duże projekty inwestycyjne, takie jak chociażby budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego czy przekop Mierzei Wiślanej. Równolegle dostrzegamy potrzebę wsparcia samorządów, które również odczuły negatywne skutki COVID-19. W tym celu chcemy w ramach Funduszu Inwestycji Samorządowych finansowo wspierać inwestycje potrzebne i ważne dla mieszkańców gmin oraz powiatów. Przeznaczonych na ten cel zostało już 6 mld zł. Zakładamy, że środki te posłużą wsparciu gospodarki i pozytywnie wpłyną na rynek pracy.

Jednak na razie bezrobocie rejestrowane i nierejestrowane rośnie. Jakże są pani prognozy na koniec roku?

Ostatnie dane z rynku pracy przygotowywane przez nasz resort, ale także pochodzące z GUS oraz Eurostatu, wskazują, że sytuacja na rynku pracy wydaje się stabilizować. Nie jest to przypadek, ale konsekwencja wdrożonych mechanizmów wsparcia polskiej gospodarki w okresie pandemii w ramach tarczy antykryzysowej. To efekt przede wszystkim takich instrumentów przygotowanych przez resort rodziny, pracy i polityki społecznej jak dofinansowania do wynagrodzeń dla 3,8 mln pracowników zatrudnionych u pracodawców, którzy wyraźnie odczuli negatywne konsekwencje spowolnienia gospodarczego w związku z epidemią koronawirusa. Stopa bezrobocia na koniec sierpnia osiągnęła niezmienny od czerwca bieżącego roku poziom 6,1 proc. To pozytywna informacja, podobnie jak fakt, że na koniec sierpnia liczba bezrobotnych była niższa o blisko pół tysiąca względem poprzedniego miesiąca. Spadek liczby bezrobotnych zaobserwowaliśmy w 10 województwach, więc mam nadzieję, że to dobry prognostyk na przyszłość. Jednocześnie z danych Eurostatu za lipiec br. wynika, że Polska była drugim po Czechach krajem w UE o najniższej stopie bezrobocia wynoszącej 3,2 proc. Dla porówna-

nia w Czechach stopa bezrobocia wynosiła 2,7 proc., natomiast średnia unijna plasowała się na poziomie 7,2 proc., w strefie euro zaś 7,9 proc. Konkludując, obecną sytuację na rynku pracy można ocenić w kategorii umiarkowanego optymizmu. Jednocześnie należy stwierdzić, że nie ma w chwili obecnej przesłanek wskazujących na ryzyko wzrostu poziomu bezrobocia w Polsce na koniec roku ponad aktualną średnią unijną.

Powstała już strategia demograficzna, którą zapowiadał premier Morawiecki?

Nie ulega wątpliwości, że demografia to dziś ogromne wyzwanie, nie tylko dla Polski, lecz także dla innych państw. W związku z tym pan premier w swoim exposé zapowiedział powstanie strategii demograficznej. Powołał w tym celu pełnomocnika rządu ds. polityki demograficznej. Aktualnie trwają prace nad dokumentem, który zakłada 11 priorytetów strategicznych, takich jak np. finanse, rynek pracy i opieka nad dziećmi, zdrowie, aktywny ojciec, edukacja czy aktywne społeczeństwo. Jego zasadniczym celem jest zwiększenie dzietności w Polsce w wysokości zbliżonej do 2,1 dziecka na kobietę. Pozwoli to na zagwarantowanie zastępowalności pokoleń. Należy również zaznaczyć, że kształtowanie się zjawiska demograficznego to proces złożony i długofalowy. Zdecydowanie zgadzam się ze stanowiskiem pana premiera, że państwo dbające o przyszłość powinno stawiać na pierwszym miejscu rodzinę.

Niemal rok temu powołana została Rada Rodziny, która miała pomóc w przygotowaniu tej strategii. Jakże są wyniki pracy tego gremium?

Rada Rodziny ma charakter opiniodawczo-doradczy. To bardzo ważne ciało składające się z uznanych ekspertów, które pracuje w systemie zespołów tematycznych obejmujących sześć obszarów: promocja/wzmocnienie instytucji małżeństwa, zdrowie, edukacja, finanse, mieszkania, opieka do lat trzech/godzenie ról. Do czerwca 2020 r. zespoły te wspie-

rały pełnomocnika ds. demografii w tworzeniu wspomnianej wcześniej strategii. Kolejnym etapem prac rady jest opracowanie Strategii na rzecz Rodziny, opartej na dwóch filarach: modelu komunikacji i modelu współpracy. W ramach tych działań dążymy m.in. do zwiększenia roli wojewódzkich pełnomocników ds. rodziny.

A jaka jest oferta dla seniorów?

Seniorzy są fundamentem każdej rodziny. Pamiętam, jak istotną rolę w moim życiu odegrała babcia Cecylia. Do dnia dzisiejszego jest ona dla mnie niedoścignionym wzorem pracowitości i szacunku do drugiego człowieka. Dlatego też jestem dumna, że ministerstwo, którym mam zaszczyt kierować, ma zróżnicowaną i bogatą ofertę programów skierowanych do seniorów, mianowicie: Senior+, Program na rzecz Aktywności Społecznej Osób Starszych (ASOS) czy też Emerytura+. Wszystkie realizowane przez resort rodziny programy adresowane do seniorów mają jeden wspólny cel: zapewnienie osobom starszym możliwości aktywnego uczestnictwa w życiu społecznym poprzez wspieranie wszelkich form ich aktywności, a także zapewnienie im odpowiedniego standardu życia. Warto wspomnieć o waloryzacji świadczeń i podniesieniu minimalnej emerytury, które w bieżącym roku wzrosły do poziomu 1,2 tys. zł. W bieżącym roku, w trudnym początkowym okresie epidemii koronawirusa, do seniorów trafiła kwota 11,7 mld zł w formie 13. emerytury, która notabene od tego roku będzie stałym, corocznym świadczeniem. Przygotowaliśmy również założenia 14. emerytury, którą zaplanowaliśmy na rok 2021. Jak widać, nasze podejście do seniorów jest kompleksowe: dbamy zarówno o bezpieczeństwo finansowe, jak i aktywizację naszych babć i dziadków w różnych obszarach życia. Zależy nam na tym, aby uświadamiać społeczeństwo, jak istotną rolę w rodzinie odgrywają seniorzy i jak ważne w dzisiejszych czasach jest budowanie relacji międzypokoleniowych. Pamiętamy, że rodzina to nie tylko rodzice i dzieci, lecz także – albo w szczególności – dziadkowie.



TOKIO 2020

WIDZIMY SIĘ ZA ROK

#JESTEŚMYJEDNĄDRUŻYNĄ
#TEAMPOLSKA

#TEAMPOLSKA

PIOTR MAŁACHOWSKI

Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej Tokio 2020



Sponsor Strategiczny



Sponsor Generalny



Sponsor



Sponsor Kolekcji
Olimpijskiej



Główny Partner
Medyczny



Oficjalny
Przewoźnik

Grabowski przechodzi w galop, IPN mówi: „sprawdzam”

Wcześniej, przed 2015 r., mogli formułować dowolne tezy i żadne środowisko naukowe im się nie przeciwstawiało. Gdy jednak prof. Jan Grabowski ogłosił dwa lata temu, że Polacy wymordowali 200 tys. Żydów, szarża badaczy z Centrum Badań nad Zagładą Żydów się zatrzymała. Przyszł czas coraz mocniejszych odpowiedzi



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Aprzecież wydana wiosną 2018 r. książka „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski” okazała się sprzedażowym i opiniotwórczym sukcesem, do czego przyczynił się także tygodnik „Newsweek”, umieszczając na okładce dramatycznie wycinaną krwawym nożem Gwiazdę Dawida z podpisem: „Jak Polacy dobijali Żydów”. Praca była przedstawiana jako głos wolności w autorytarnym kraju PiS: „Książka niemal do ostatniej chwili trzymana była pod kluczem przez wydawcę ze względu na zainteresowanie rządzących, którzy chcieli poznać jej zawartość, zanim trafi do drukarni” – czytaliśmy w liberalnym tygodniku. Wkrótce po wydaniu autorzy ogłosili, że przygotowywane jest już anglojęzyczne, skrócone wydanie. Dlaczego skrócone? Dlaczego ten wydawniczy sukces nie zatrzymał prof. Grabowskiego w Centrum Badań nad Zagładą Żydów? Jak teraz wyglądają opowieści naukowca o Polsce, które wygłasza poza krajem?

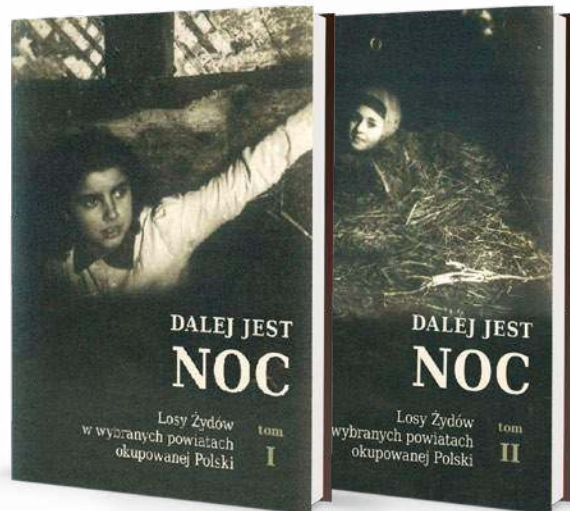
Prof. Grabowski się rozpędza – liczba Żydów, których rzekomo wymordowali Polacy, urosła z 200 tys. (2018 r.) do „setek tysięcy” (2020 r.). Już to pierwsze

stwierdzenie zostało skutecznie zakwestionowane przez IPN w oświadczeniu z 23 lutego 2018 r., w którym czytamy, że „nigdy, w żadnej z prac, Szymon Datner [a na niego powoływał się Grabowski] nie wymienił liczby 200 tys. Żydów pomordowanych poza gettami”. Grabowski nie odpowiedział, bo nie mógł – przytaczane przez niego dane nie pochodzą ze źródeł. O setkach tysięcy żydowskich ofiar Polaków autor wspominał we wstępie ostatniej książki: „Na posterunku. Udział polskiej policji granatowej i kryminalnej w zagładzie Żydów”. Po raz kolejny podkreślając, że Polakom chodzi tylko o wybielanie własnej historii, stwierdził: „Żał tylko, że w sporze o polską niewinność mało kto pamięta o niepoliczonych dziesiątkach, setkach [!!! – przyp. red.] tysięcy żydowskich ofiar granatowej policji”. Setki tysięcy to, zdaje się, już więcej niż dwieście – może czterysta, może pół miliona? Z fragmentu wynika, że chodzi o ofiary tylko granatowej policji, więc – zdaje się – prof. Grabowski dopiero się w oskarżeniach rozkręca.

PIERWSZA WERYFIKACJA

Mimo wielokrotnego podtrzymywania tej tezy w publicznych wystąpieniach pozostali badacze z Centrum nie dali się pokroić za tezę o „setkach tysięcy ofiar”. Zwłaszcza że polscy historycy przystąpili do weryfikowania – także na łamach tygodnika „Sieci” – faktów, źródeł i wniosków naukowców z PAN. Dr Piotr

Gontarczyk opisywał przekłamania badaczy z Centrum wielokrotnie – w recenzjach naukowych oraz popularnonaukowych, a wkrótce ma się ukazać jego praca, w której dziesiątki fragmentów książki „Dalej jest noc...” będą zestawione z oryginalnymi źródłami. – Oni potrafią nawet zmieniać słowa z dokumentów czy wspomnień i tak wychodzi im, że strażacy, którzy gasili pożar w getcie, w publikacji są podpalczami getta – mówi tygodnikowi „Sieci” historyk. – Często zmieniają sens źródeł historycznych – stwierdza badacz. Choć zazwyczaj „prawilni” badacze Holokaustu potrafią przemilczeć krytykę swoich tekstów, to w przypadku artykułu Gontarczyka z marca 2019 r. nie dało się tego zrobić, pewnie dlatego, że był to temat numeru z okładką jasno mówiącą o autorach z Centrum, że zostali „przylapani na kłamstwie”. Choć za trybunę do odpowiedzi posłużył portal OKO.press związany z „Gazetą Wyborczą”, to jednak





nikt nie zaprosił dr. Gontarczyka do rozmowy. – Oni się muszą liczyć z polskimi realiami, bo tu, na miejscu, zwłaszcza w Instytucie Pamięci Narodowej, mamy chęć i możliwość weryfikacji źródeł – dodaje historyk.

OSKARŻENIA I GROŹBY ZAMIAST POLEMIKI

Innym utrapieniem – choć niepozornym – jest nauczyciel z liceum w Węgrowie – miasteczka, gdzie Grabowski ulokował bestialskie zachowania Polaków wobec Żydów. Radosław Józwiak od lat zajmuje się historią swojej miejscowości, zwłaszcza z okresu niemieckiej okupacji. Kiedy na początku lat 90. usłyszał o książce „Ostatni Żyd w Węgrowie” Fajwela Bielawskiego, nie mógł przypuszczać, że zajmie się losami węgrowskich Żydów, odkrywając później, jak te historie przeinaczają historycy Holocaustu. Tak się złożyło bowiem, że wspomnienia Bielawskiego stały się głównym źródłem rozdziału Grabowskiego w książce „Dalej jest noc...”.

Józwiak przez lata badał każdy wątek wspomnień węgrowskiego Żyda, demaskując w nich kolejne nadużycia i przekłamania, a nawet odkrywając po 70 latach kryjówkę, w której ukrywał się Bielawski.

Zresztą z Józwiakiem współpracuje także dr Gontarczyk. – To kopalnia wiedzy na temat Węgrowa – komentuje. Takiego stwierdzenia autorzy spod stempla „Wyborczej” nie mogliby

wygłosić publicznie – najpierw przez dwa miesiące milczano na temat broszury Józwiaka wydanej przez IPN, by po dwóch miesiącach Grabowski w związanym z Czerską serwisie OKO.press próbował zrobić z Józwiaka – a jakże! – antysemitę.

Grabowski twierdzi, że kwestionować wiarygodność autora wspomnień można tylko ze złej woli. „Dlaczego ocalały z Zagłady Żyd miałby kłamać i fabrykować historię w taki sposób, aby odmalować Polaków w jak najczarniejszych barwach?” – pytał retorycznie Grabowski, po czym sam sobie odpowiedział: „Dla przeciętnego antysemita odpowiedź jest jasna: to na pewno »żydowska niewdzięczność«, być może nienawiść do Polaków”. Józwiak nigdy czegoś takiego nawet półgębkiem nie zasugerował – ale merytoryczna dyskusja nie jest ulubionym zajęciem Grabowskiego.

Badacze z Centrum organizowali co prawda debaty na temat Holocaustu, ale nie zapraszali na nie historyków, którzy nie zgadzali się z ich ustaleniami. Choć Gontarczyk potrafił ich prace nazwać w Radiu Wnet „masową mistyfikacją”, a dr Tomasz Domański, który zrecenzował „Dalej jest noc...”, wskazać na kolejne przekłamania, to autorzy z PAN wolą rozmawiać z potakiwaczami. Zdumiewająca była rozmowa – z racji pandemii przeprowadzona online – Grabowskiego z poznańskim profesorem politologii Piotrem Foreckim, w której obaj uczeni licytowali się, w ile polska kultura jest antysemita. Dla Foreckiego przed wojną antysemityzm był tak powszechny, że granatowi policjanci musieliby być „odseparowani od powietrza, którym oddychają w Polsce”, aby nie zostać antysemitami. Grabowski twierdzi, że Polacy w czasie okupacji realizowali to, o czym wcześniej jedynie myśleli, a dla obu panów między wychowaniem patriotycznym a antysemityzmem „nie ma żadnej sprzeczności”, wręcz „doskonale idą w parze”.

Stosunek Grabowskiego do wychowania patriotycznego zakrawa na coś

więcej niż zwykłe uprzedzenie. Osobliwy wykład w sierpniu tego roku historyk wygłosił w Muzeum Bojowników Getta w Izraelu. Jego tytuł brzmiał „Zniekształcanie Holocaustu i bitwa o pamięć”. Wystąpienie pokazało Polskę jako kraj nieomal totalitarny, opierający swoją rzekomą ideologię na niewinności narodu polskiego. Grabowski nazywa IPN „fenomenem na światową skalę”, który dysponuje „setkami profesjonalnych historyków” (a więc jest, paradoksalnie, pochwałą dla IPN!), „realizujących cele państwa i partii rządzącej” polegające na budowaniu mitów narodowych. Dostaje się też Instytutowi Pileckiego, Muzeum Polaków Ratujących Żydów w czasie II Wojny Światowej w Markowej, tygodnikowi „Sieci” i pamięci o Żołnierzach Wyklętych. Pod ostrzałem jest też... moneta okolicznościowa z 2012 r., upamiętniająca rodzinę Ulmów, bo jest na niej wizerunek Żyda, ale mniejszy od wizerunku Polki, a w dodatku przedstawiony „stereotypowo” (z brodą i w kapeluszu).

Narracja badaczy z Centrum oraz zaprzyjaźnionych z nimi publicystów próbuje pozycjonować swoich przeciwników jako twórców mitu o polskiej niewinności. To nieprawda. Zarówno Instytut Pamięci Narodowej, jak i badacze innych państwowych instytucji wielokrotnie pisali także o ciemnych kartach polskich postaw w czasie okupacji – różnica polega przede wszystkim na skali zjawiska. Gdy np. prof. Bogdan Musiał w książce „Kto dopomoże Żydowi” opisuje konkretne przypadki, ulubieni badacze OKO.press, „Wyborczej” i „Newsweeka” piszą o dziesiątkach i setkach tysięcy ofiar – nie mając na te liczby żadnych dowodów.

WYMIANA RECENZJI

Na aktywność medialną i historyczną recenzentów pracy „Dalej jest noc...” Instytut Filozofii i Socjologii PAN zareagował w zdumiewający sposób – nie zorganizowaniem dyskusji czy zaproszeniem krytyków na łamy swojego pisma, ale... groźbą. „Mamy nadzieję, że jest świadomy odpowiedzialności prawnej za swoje słowa” – pisała Natalia Skipietrow o aktywności

dr. Gontarczyka, specjalistka ds. PR w Instytucie i w imieniu PAN wzywała go do „zaprzeczenia medialnej kampanii oszczerstw wobec zespołu autorów publikacji »Dalej jest noc«”.

Z recenzją naukową autorstwa dr. Tomasza Domańskiego badacze też nie poradzi sobie w naukowym stylu. Swojego adwersarza potraktowali dość rutynowymi argumentami – że korzysta z „antysemickich klisz” (Grabowski), że się „czepia” (Tomasz Frydel), że jego praca przypomina „osławione paski w TVP Info” (Dariusz Libionka), że IPN jest tendencyjny i przypomina „słusznie minione czasy” (Anna Zapalec). Grabowski stwierdził nawet, że „tekst ten powinien się znaleźć wśród materiałów dowodowych przemawiających za likwidacją tej instytucji”.

Jednak wymiana uwag nie zakończyła się na złośliwościach – oto 14 września IPN publikuje bowiem „Korekty obrazu ciąg dalszy”, w którym padają kolejne mocne zarzuty wobec autorów z Centrum. Jak dowodzi Domański na s. 27–29, prof. Grabowski potrafił tak skrócić źródła (raport AK), by ominąć bezkompromisowe wobec Niemców postawy Polaków. Po lekturze „Dalej jest noc...”, a następnie obu „Korekt obrazu” wydanych przez IPN trudno się oprzeć wrażeniu, że autorzy z Centrum Badań pisali pod konkretną tezę – udowodnić rzekomo powszechny, immanentny, polski antysemityzm. Domański boleśnie punktuje kolejnego autora monumentalnej pracy, Tomasza Frydla z Uniwersytetu w Toronto:

„Według Frydla w istocie przyczyną wydawania Żydów tkwiła w polskim antysemityzmie [...] i wykluczeniu Żydów »z uniwersum zobowiązań moralnych narodu polskiego«. Żydowskie życie, przekonuje Frydel, interesowało polskich sąsiadów o tyle, »o ile [uciekierzy] byli źródłem pieniędzy i kosztowności« („Dalej jest noc...”, t. 2, s. 477). Łatwo szermuje takim oskarżeniem. Czy jest do tak uogólniającego stwierdzenia uprawniony”. Okazuje się, że autorzy potrafili więc źródła traktować wybiórczo, zmieniać w nich słowa, podawać niepoparte niczym liczby, a na koniec – gdy nie starcza i tak wątpliwych dowodów i przykładów – sprowadzać wszystko do polskiej nienawiści.

CZAS INSTYTUCJI

Włączenie się w spór na temat relacji polsko-niemiecko-żydowskich wymaga dziś odwagi cywilnej. Tygodnik „Sieci” dowiedział się, że byli i tacy historycy, którzy pierwotnie zamierzali zrecenzować „Dalej jest noc...”, ale stanąwszy przed dylematem – czy narażać się autorom, czy zachwalać niezbyt przekonujące dzieło – porzucili myśl o wskazaniu błędów czy manipulacji w publikacji i nie ustosunkowali się do pracy w żaden oficjalny sposób. Presja środowiska naukowego i chęć nienarazania się jest często silniejsza niż dążenie do prawdy. To pokazuje jednocześnie, jak bardzo uniwersytety w Polsce unikają faktycznych sporów naukowych, jak wolą się trzymać na uboczu.

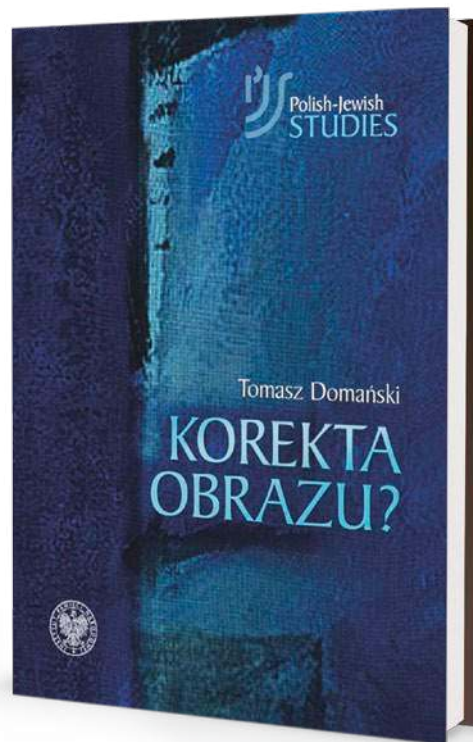
Na antypodach tej postawy jest Instytut Pamięci Narodowej, którego działania można różnie oceniać, ale który jako jedyny stwarza kompleksowe warunki do prowadzenia szeroko zakrojonych badań. Dysponuje zarówno archiwami, oddziałami terenowymi, ułatwiającymi kwerendy lokalne, kadrami profesjonalnych historyków (co przyznał nawet Grabowski) i odpowiednio sformułowanymi w ustawie zadaniami.

Nie ludźmy się jednak, że druga strona sporu dysponuje mniejszymi zasobami – oprócz oczekiwań społeczno-politycznych w grę wchodzi także potężne fundusze i wsparcie zagranicznych instytucji. Praca „Dalej jest noc...” została wydana przy wydatnej pomocy nie tylko polskiego ministerstwa, lecz także Conference on Jewish Material Claims Against Germany oraz Social Sciences and Humanities Research Council of Canada.

Gdy prof. Grabowski porzucił Centrum Badań nad Zagładą Żydów, szybko się znalazł na liście stypendystów niemieckiego Institut für Zeitgeschichte, zajmującego się m.in. Holocaustem. ▶

Recenzje pracy „Dalej jest noc...” można znaleźć na stronie IPN:

P. Gontarczyk, „Między nauką a mityfikacją, czyli o naturze piśmiennictwa prof. Jana Grabowskiego na podstawie casusu wsi Wrotnów i Międzyzyles powiatu węgrowskiego”; „Glaukopis” nr 36, s. 313–323;



T. Roguski, „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski”, red. Barbara Engelking i Jan Grabowski, „Glaukopis” nr 36, s. 335–356;

R. Gieroń, „Próby przetrwania zagłady w powiecie bocheńskim. Refleksje po lekturze artykułu Dagmary Swaltek-Niewińskiej”, „Zeszyty Historyczne WiN-u” nr 47/2018, s. 95–108;

D. Golić, „Nowatorska noc. Kilka uwag na marginesie artykułu Karoliny Panz”, „Zeszyty Historyczne WiN-u” nr 47/2018, s. 109–134;

T. Domański, „Korekta obrazu? Refleksje źródłoznawcze wokół książki Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski, t. 1–2, red. Barbara Engelking, Jan Grabowski, Warszawa 2018;

T. Domański, „Korekty obrazu ciąg dalszy. Odpowiedź redaktorom i współautorom książki Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski, t. 1–2, red. Barbara Engelking, Jan Grabowski, Warszawa 2018”, Warszawa 2019.

Obwiniam za to NFZ

Wiem, że za ścianą mam nowoczesne urządzenie, które pozwoli wyleczyć chorego, a muszę go wysłać na radioterapię gdzieś, gdzie nie mam pojęcia, czy tamtejsze urządzenie będzie działało tak, jak bym chciał, bo np. jest stare i zaniedbane

Z dr. n. med. Marcinem Wolskim, zastępcą dyrektora Wielospecjalistycznego Szpitala SP ZOZ, ordynatorem onkologii w Zgorzelcu, rozmawia Aleksandra Jakubowska

Powiat zgorzelecki to jest taka oaza szczęśliwości, w której ludzie nie chorują na raka?

Marcin Wolski: Gdy zostawałem szefem onkologii w szpitalu w Zgorzelcu, zrobiłem analizę epidemiologiczną opartą na ogólnie dostępnych danych z Instytutu Onkologii, Zakładu Epidemiologii i różnych instytucji, które zajmują się statystykami onkologicznymi, i okazało się, że powiat zgorzelecki to „biała plama onkologiczna” – bardzo zaniedbany medycznie obszar. Starzejące się społeczeństwo, które wiele lat żyło w nieprzyjawnym dla siebie gospodarczym otoczeniu. Energetyka, huty szkła, kopalnie i wiele innych gałęzi przemysłu lekkiego i ciężkiego miały bezpośredni wpływ na zdrowie tych ludzi. Okazało się, że zachorowalność na raka szyjki macicy, piersi i płuc przewyższa o kilka punktów procentowych średnie na Dolnym Śląsku, a nawet w Polsce.



GOŚĆ

JAKUBOWSKIEJ

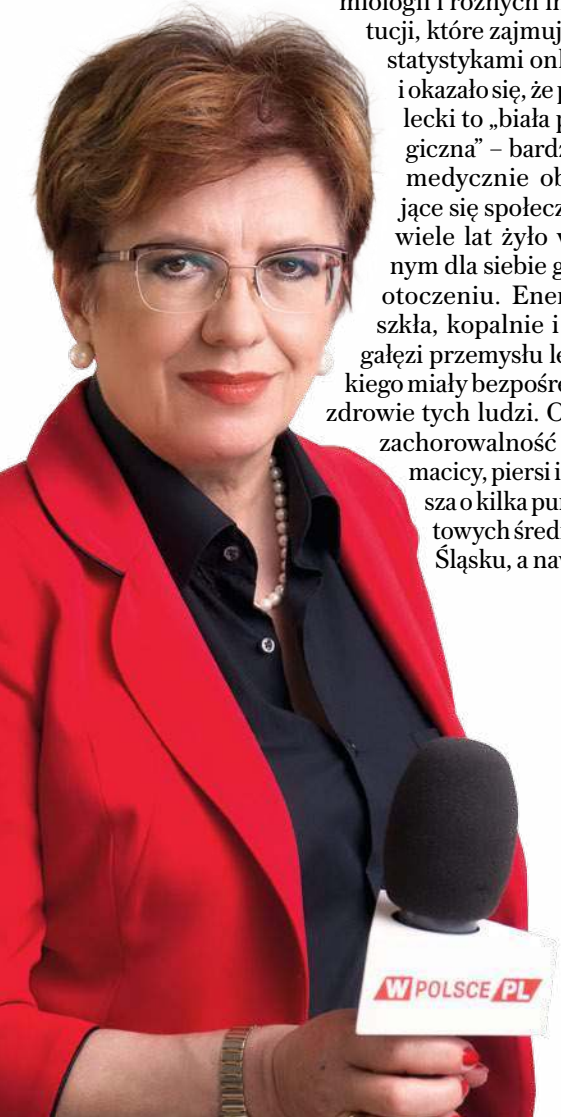
Zapytałam o tę „oazę szczęśliwości” bez chorób nowotworowych, bo od ponad dwóch lat nie można uruchomić najnowocześniejszego ośrodka radioterapii w Polsce przy szpitalu w Zgorzelcu. Powiedział pan w jednym z wywiadów, że w opinii wojewódzkiego konsultanta ds. onkologii prof. Adama

Maciejczaka, dyrektora Dolnośląskiego Centrum Onkologii, Zgorzelcowi radioterapia jest niepotrzebna, bo „tam ludzie nie chorują na raka”.

Nasz szpital jest największym szpitalem powiatowym w Polsce. Zatrudniamy prawie 1,4 tys. pracowników. W rejonie naszego działania mieszka około 450 tys. ludzi. Mamy 29 specjalistycznych oddziałów, m.in. onkologii klinicznej, chemioterapii, urologii, ginekologii, chirurgii onkologicznej. Utworzenie tych oddziałów to była nasza odpowiedź na narodowy program walki z chorobami nowotworowymi. Musieliśmy stać się konkurencyjni, komplementarni i samowystarczalni. I tylko brakowało naszym chorym radioterapii.

Brakowało, ale w końcu powstała. Inwestycja pochłonęła 60 mln zł, z czego 40 mln to wartość najnowocześniejszego sprzętu, którego nie ma w żadnym innym polskim szpitalu. Ośrodek radioterapii był już gotowy dwa i pół roku temu, ale nie otworzył swoich podwoi dla pacjentów, a drogocenny sprzęt nie służy ich leczeniu.

Proces inwestycyjny trochę się przedłużył, informowaliśmy NFZ, że możemy uruchomić ośrodek w kwietniu 2018 r., ale nasze pisma nie zostały wzięte pod uwagę, ogłoszono konkurs na radioterapię w regionie w grudniu 2017 r. i został on rozstrzygnięty bez naszego udziału. Niezaprzeczalny jest udział pana prof. Maciejczaka w opiniowaniu spraw związanych z onkologią na terenie naszego województwa, ale bym go nie przeceniał. Nie wierzę, że jeden człowiek mógłby nam aż tak mocno przeszkadzać. To jest absurd, głupota i niezrozumienie. Nie chciałbym nikogo wskazywać, obwiniam tylko NFZ, bo to on ma możliwość i narzędzia, żeby nie pytając się nikogo, biorąc pod uwagę adekwatne wykorzystanie środków i zapewnienie najlepszego dostępu do leczenia, bo taki jest jego statutowy obowiązek, podejmować decyzje. I powinien wybrać nasz



ośrodek, z najlepszym sprzętem i najlepszymi świadczeniami w porównaniu z innymi ośrodkami. A także wziąć pod uwagę tych naszych pacjentów, którzy nie podejmują radioterapii, bo nie mają możliwości, siły ani pieniędzy, by dojechać do innych ośrodków.

Ktoś z NFZ był w szpitalu, widział, jaki tam jest sprzęt?

Był ówczesny prezes centrali NFZ Andrzej Jacyna.

I był zachwycony standardem, jaki mogliby państwo zaoferować pacjentom?

Oczywiście. Także organizacją pracy w naszym szpitalu i jej jakością. Jesteśmy jedynym szpitalem w województwie, który nie korzysta z outsourcingu, czyli zewnętrznych usług. Mamy własną kuchnię, restaurację, sprząatanie, utylizację odpadów, własną energię elektryczną, ogrzewamy we własnym zakresie wodę.

Rozumiem, że ta wizyta niczego nie rozwiązała i oddział dalej stał zamknięty. Jak nie wiadomo, o co chodzi, to może chodzi o pieniądze?

Nic z tego nie rozumiem, bo to są naprawdę minimalne kwoty.

Jaki kontrakt musiałby podpisać ze szpitalem NFZ, żeby oddział radioterapii ruszył?

Zapewnić finansowanie w wysokości od 3,5 do 6 mln zł rocznie.

Laik by sądził, że radioterapia to w leczeniu nowotworów, zapobieganiu przerzutom, wznowieniu choroby metoda przestarzała. Ciągłe słyszymy o nowych, innowacyjnych lekach onkologicznych.

Tak naprawdę onkologia opiera się na podejściu indywidualnym do każdego chorego, aby umożliwić mu w odpowiednim czasie i zakresie dostęp do najnowocześniejszych terapii w znaczeniu skojarzonym i kompleksowym. Każdemu choremu zależy na tym, aby pozbyć się nowotworu albo na tyle złagodzić jego objawy, żeby móc z nim żyć jak z chorobą przewlekłą. Mamy wiele narzędzi do walki z tą trudną chorobą. Podstawową metodą jest chirurgia on-



kologiczna, czyli wycięcie zmiany nowotworowej i zastanowienie się co dalej. Kolejnym narzędziem jest radioterapia, która umożliwia dojście do obszarów, gdzie nie może sięgnąć chirurgia. Może także uzupełniać chirurgię, bo czasami nie da się wyciąć wszystkiego, a to, czego się nie da, trzeba naświetlić. W każdej dziedzinie medycyny są coraz nowocześniejsze i innowacyjne metody, ale radioterapia jeszcze przynajmniej przez najbliższe 15 lat będzie podstawową metodą w leczeniu skojarzonym i paliatywnym nowotworów, wraz z chirurgią i chemioterapią. Wykorzystujemy wszystkie metody leczenia.

Radioterapii jak na razie nie wykorzystujecie. A co potrafią te najnowocześniejsze urządzenia, które stoją bezużytecznie?

Te akceleratory, które posiadamy, sprawiają, że wiązka promieniowania, która ma trafić do guza, jest w stanie dojść do niego z wielu stron i w technologii 3D, a nawet 4D, odzwierciedlić w przestrzeni tego guza i precyzyjnie go uszkodzić, „wyparować”. Ta metoda chroni przed uszkodzeniem zdrowe tkanki.

Większość polskich ośrodków radioterapii dysponuje sprzętem sprzed 20, 10 lat. On nie zapewnia takiej precyzji?

Precyzja napromieniowania w przypadku naszego sprzętu jest nieoceniona, praktycznie nie ma ryzyka błędu, który spowodowałby uszkodzenie zdrowych tkanek. Porównując sprzęt, jakim dysponuje nasz ośrodek z dostępnym gdzie indziej, to różnica jest taka jak między mercedesem a škodą. Gdyby, odpu-

ścić, doszło do wypadku, zderzenia, to którym samochodem wolałaby pani jechać? Ponad stu pacjentom z regionu naszego powiatu jednak udało się skorzystać z tych urządzeń dzięki sfinansowaniu ze środków samorządowych, co zawdzięczamy pani Urszuli Ciupak, kiedy była starostą.

Czyli już te urządzenia stojące w nieczynnym oddziale zostały przetestowane?

Tak, odnieśliśmy spektakularny sukces, jesteśmy bardzo zadowoleni z rezultatów. Pacjenci także.

Oddział stoi nieczynny ponad dwa lata, a pan swoich pacjentów musi kierować... Właśnie, gdzie?

Wydajemy ok. 500 skierowań rocznie, robię to tylko wtedy, gdy muszę, mam czasami dylemat, czy wysłać pacjenta na radioterapię, której sam się boję. Wiem, że za ścianą mam urządzenie, które pozwoli wyleczyć chorego, a muszę go wysłać gdzieś, gdzie nie mam pojęcia, czy tamtejsze urządzenie będzie działało tak, jak bym chciał, bo np. jest stare i zaniedbane.

A tym, którym pan nie daje tego skierowania, co proponuje w zamian?

Chirurgia onkologiczna, chemioterapia, leczenie biologiczne celowane. Czasami w leczeniu paliatywnym radioterapia nie jest leczeniem z wyboru, tylko leczeniem wspomagającym, możemy naświetlić np. przerzut do kości, aby zmniejszyć ból, ale możemy też dać kroplówkę.

Jeżeli ktoś się zdecyduje na radioterapię w innym ośrodku, jak daleko musi jechać?

Jelenia Góra – półtorej godziny jazdy, Zielona Góra – dwie godziny, do Wrocławia czas dojazdu trudno określić, bo to A4.

Jak długo trwa taka kuracja, jak często pacjent musi być naświetlany?

Radioterapia uzupełniająca inną metodę leczenia, czyli ta najważniejsza, lecząca, trwa od czterech do sześciu tygodni, codziennie pacjent musi być na 15–30-minutowym seansie, z przerwą weekendową.

Czyli praktycznie pacjent musi tam na ten okres zostać, przecież co-dziennie nie będzie dojeżdżał kilka godzin?

Powinien przyjechać w niedzielę wieczorem, zostać do piątku i tak kilka tygodni.

A gdzie tam będzie mieszkał?

Najczęściej pacjenci mieszkają w hostelach, bo NFZ wymyślił, że hostele są tańsze niż hospitalizacja. Wynajęte są budynki w okolicach ośrodków radioterapii – doba kosztuje ok. 160 zł. Jeden taki hostel jest w okolicy Jeleniej Góry, gdzie w salach nawet 10-osobowych przebywają ludzie w różnym wieku i o różnych chorobach, bez wyżywienia, w prowiant muszą się zaopatrywać na własną rękę, jedna łazienka na korytarzu, praktycznie bez opieki medycznej oczekują, co da im los.

Kto prowadzi takie hostele?

NFZ albo szpital, który ma już kontrakt radioterapeutyczny, organizuje przetarg na takie świadczenie i jakaś prywatna firma wygrywa.

Gdyby przy szpitalu w Zgorzelcu zaczął działać oddział radioterapii, hostele byłyby wam niepotrzebne?

Dojazd pacjentów z naszego regionu do szpitala jest bezproblemowy, maksymalnie 30 min, do tego mamy własne pogotowie ratunkowe i własny transport międzyszpitalny dla tych, którzy samodzielnie nie są w stanie dojechać. Teraz też dowozimy naszych pacjentów do Jeleniej Góry, Wałbrzycha.

Następny konkurs na radioterapię dopiero w 2021 r. Prywatny inwestor, który wyłożył środki na budynek i sprzęt, wytrzyma kolejne lata?

Dostaliśmy prezent, bo tu stopa zwrotu jest długoletnia, inwestor posiada sieć radioterapii w całej Europie i pewnie chciał mieć tu, w Polsce, przyczółek, który będzie początkiem takiej sieci w naszym regionie. Tu nie chodzi o pieniądze, bo słyszeliśmy, że są skłonni nawet to wszystko zburzyć. Tracą cierpliwość.

Gdyby nie ten prywatny inwestor, nie byłoby państwa stać na budowę i wyposażenie takiego oddziału?

Nie, zrobiliśmy wszystko w ramach narodowej strategii onkologicznej, aby być na bieżąco i dać naszym pacjentom dostępność do wszystkich metod leczenia onkologicznego. Na radioterapię nie było nas stać. Budżet szpitala wynosi 170 mln zł rocznie, a 60 mln nie jesteśmy w stanie po prostu zarobić. Nie mogliśmy także

Precyzja napromieniowania w przypadku naszego sprzętu jest nieoceniona, praktycznie nie ma ryzyka błędu, który spowodowałby uszkodzenie zdrowych tkanek

liczyć na wsparcie naszego organu założycielskiego, czyli samorządu, który budżet ma jeszcze mniejszy od nas, bo wynosi on 100 mln zł. Jesteśmy szpitalem, który się bilansuje. Półrocze tego roku zamknęliśmy jako jedyny szpital na Dolnym Śląsku z dodatnim bilansem 30 tys. zł.

Czyli nie jesteście zadłużeni jak wiele szpitali samorządowych w Polsce. Porozmawiajmy jeszcze o zachorowalności na nowotwory w Polsce. Z danych wynika, że rocznie zapada na choroby onkologiczne około 160 tys. osób. Ile z nich wymaga radioterapii?

Do 60 proc. Dostępność radioterapii w Polsce kształtuje się na poziomie 40 proc. Na Dolnym Śląsku choruje 14,5 tys., z czego przynajmniej 1,7–3,2 tys. osób jest niewłaściwie leczonych przez ograniczoną dostępność do radioterapii.

Wspomniał pan o istniejących ośrodkach radioterapii w Jeleniej Górze, Zielonej Górze, Wrocławiu...

Tak, one przeważnie znajdują się w dawnych miastach wojewódzkich.

Ale przecież narodowa strategia onkologiczna zakłada właśnie rozproszenie po kraju takich ośrodków, żeby zwiększyć ich dostępność.

Oczywiście, zakłada decentralizację radioterapii i chemioterapii, a centralizację chirurgii, tak żeby te duże, trudne, ciężkie zabiegi chirurgiczne były wykonywane w dobrych ośrodkach, bo trzeba wykonać setki takich operacji, żeby dojść do perfekcji. W chemio- i radioterapii trzeba długo i żmudnie prowadzić leczenie, czyli jest koniecznością, żeby te ośrodki były blisko zamieszkania pacjenta.

Były minister zdrowia Łukasz Szumowski w czerwcu publicznie obiecał, że sprawę uruchomienia ośrodka radioterapii w Zgorzelcu rozpatrzy. Ale do tej pory nic się nie dzieje, wysłano list otwarty w tej sprawie do nowego ministra i co?

Byłem już wszędzie. Rozmawiałem z każdym. Zrobiłem biznesplan, pokazałem wszystkie przychody i straty wynikające dla NFZ z racji dojazdów pacjentów z naszego powiatu do innych ośrodków, dałem to do ręki prezesowi dolnośląskiego NFZ i było tylko milczenie. Prosiłem, by zamiast przeznaczać pieniądze na przejazdy i hostele, dać je na leczenie ludzi.

I co pan wyliczył w tym biznesplanie?

Ile kosztował NFZ dojazd i pobyt w hostelach naszych pacjentów w innych ośrodkach. 3,5 mln zł rocznie.

Tyle, ile minimum potrzebujecie, żeby uruchomić radioterapię przy szpitalu w Zgorzelcu. I powiedział pan: dajcie nam te pieniądze, zamiast płacić za te przejazdy i hostele, a my naszym pacjentom damy komfort korzystania ze sprzętu, jakiego nigdzie indziej nie ma, i to w pobliżu domu i rodziny. I co pan usłyszał?

Nic. Cisza. Ani słowa. I wtedy zrozumiałem, że tu chyba nie o pieniądze chodzi.

Testowanie innej Jałty

Na Białorusi Kreml dąży do realizacji jednocześnie trzech celów – pogłębienia integracji, może nawet polknięcia zbuntowanego państwa, pozbycia się Łukaszenki i wygrania wielkiej strategicznej rozgrywki z Zachodem. Ale ma problem. Bo jeśli Rosja miała za wszystko płacić, to w warunkach postcovidowego kryzysu Białoruś mogłaby się okazać dla niej zbyt twardym orzeszkiem. Dlatego wysyła kompromisowe sygnały do Berlina i Paryża



MAREK BUDZISZ

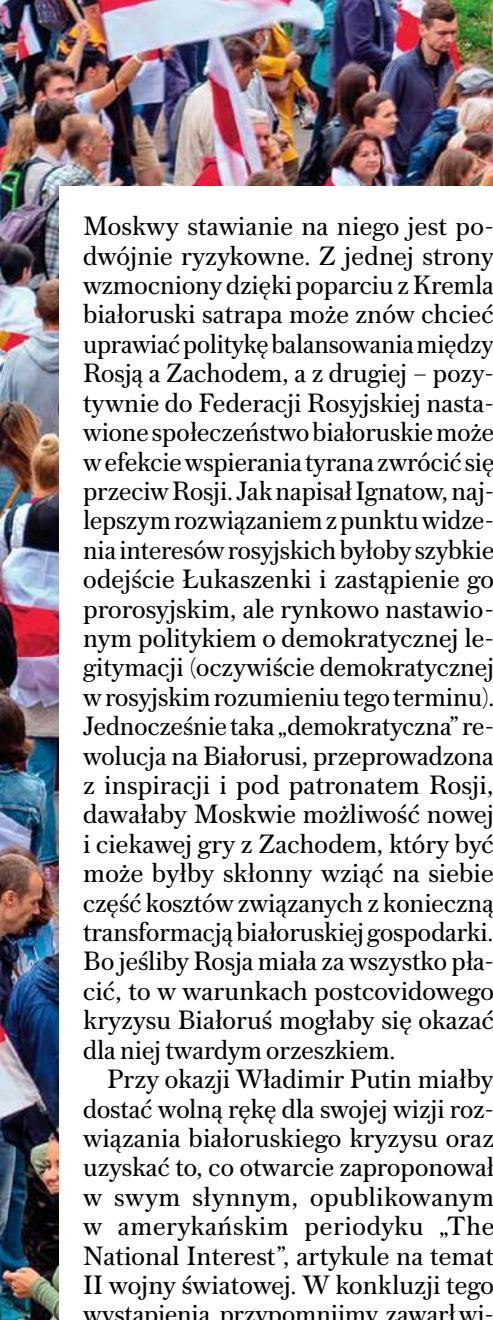
Arsen Siwicki, dyrektor białoruskiego Center for Strategic and Foreign Policy Studies, półniezależnego think tanku, mającego liczne powiązania z władzami, przedstawił intrygującą teorię na temat gry, która właśnie się toczy. Jej celem ma być przyszłość Białorusi, a może nawet całego kontynentu europejskiego.

Otóż, jego zdaniem niedawna wizyta w Moskwie Stephena E. Bieguna, zastępcy szefa Departamentu Stanu,

który – przypomnijmy – zanim przybył do rosyjskiej stolicy, spotkał się w Wilnie ze Swiatłaną Cichanouską, utorował jej drogę do wystąpienia w Radzie Bezpieczeństwa, a w istocie doprowadził do amerykańsko-rosyjskiego kompromisu w sprawie Białorusi, jest tego najlepszym przykładem. Choć oficjalnie Kreml przestrzega Zachód przed mieszaniami się w jego wewnętrzne sprawy, to nieoficjalnie jednak szuka politycznego rozwiązania sytuacji. Przede wszystkim z tego względu, że – jak uważa Siwicki – dla Moskwy głównym źródłem politycznego kryzysu, w jakim znalazła się Białoruś, nie są protesty społeczne, bo jak Putin powiedział publicznie, „ludzie z jakiegoś powodu decydują się wyjść na ulice”, ale Aleksander Łukaszenka.

ŁUKASZENKA MUSI ODEJŚĆ

Już 10 dni po sfalszowanych wyborach na Białorusi z „10 tezami na temat białoruskiego kryzysu” wystąpił Oleg Ignatow, rosyjski politolog młodego pokolenia. Co najciekawsze, analiza ta została umieszczona na oficjalnej stronie Centrum Politycznych Konjunktur, półprywatnego rosyjskiego think tanku kierowanego przez Aleksieja Czesnakowa, prywatnie przyjaciela Władysława Surkowa, do niedawna doradcy Putina, odpowiadającego za politykę Kremla wobec Donbasu, Abchazji i innych kontrolowanych przez Moskwę tworów quasi-państwowych. Diagnoza Ignatowa jest dość prosta. Nie uda się ustabilizować sytuacji na Białorusi tak długo, jak rządził nią będzie Łukaszenka, a z punktu widzenia



Moskwy stawianie na niego jest podwójnie ryzykowne. Z jednej strony wzmocniony dzięki poparciu z Kremla białoruski satrapa może znów chcieć uprawiać politykę balansowania między Rosją a Zachodem, a z drugiej – pozytywnie do Federacji Rosyjskiej nastawione społeczeństwo białoruskie może w efekcie wspierania tyrana zwrócić się przeciw Rosji. Jak napisał Ignatow, najlepszym rozwiązaniem z punktu widzenia interesów rosyjskich byłoby szybkie odejście Łukaszenki i zastąpienie go prorosyjskim, ale rynkowo nastawionym politykiem o demokratycznej legitymacji (oczywiście demokratycznej w rosyjskim rozumieniu tego terminu). Jednocześnie taka „demokratyczna” rewolucja na Białorusi, przeprowadzona z inspiracji i pod patronatem Rosji, dawałaby Moskwie możliwość nowej i ciekawej gry z Zachodem, który być może byłby skłonny wziąć na siebie część kosztów związanych z konieczną transformacją białoruskiej gospodarki. Bo jeśli Rosja miała za wszystko płacić, to w warunkach postcovidowego kryzysu Białoruś mogłaby się okazać dla niej twardym orzeszkiem.

Przy okazji Władimir Putin miałby dostać wolną rękę dla swojej wizji rozwiązania białoruskiego kryzysu oraz uzyskać to, co otwarcie zaproponował w swym słynnym, opublikowanym w amerykańskim periodyku „The National Interest”, artykule na temat II wojny światowej. W konkluzji tego wystąpienia, przypomnijmy, zawarł wizję odnowionego koncertu mocarstw, które nie tylko mają swoje sfery uprzywilejowanych interesów, lecz również wspólnie, właśnie w Radzie Bezpieczeństwa, dyskutują i rozwiązują pojawiające się problemy w państwach będących pod ich kuratelą.

PIĘĆ SCENARIUSZY

Dlaczego Kreml mógłby pójść na tego rodzaju rozwiązanie, napisał otwarcie Siergiej Markow, prokremlowski politolog, często piszący to, o czym debatuje się w administracji rosyjskiego prezydenta. Otóż, jego zdaniem w przypadku Białorusi Rosja ma przed sobą pięć możliwych scenariuszy rozwoju wydarzeń. Przy czym Markow mniej

interesuje się losami rewolucji w kraju naszego sąsiada, a bardziej ocenia geost strategiczne, długofalowe, skutki tego, co się dzieje w Mińsku i innych miastach. Pierwszy określa on mianem „polskiego zwycięstwa w Europie”, nie skrywając, że z perspektywy Moskwy jest to scenariusz koszmar, scenariusz klęska. Na czym miałby on polegać? Białoruska opozycja, pozostająca pod wpływem Warszawy, odnosi sukces i zdobywa władzę w Mińsku. Francja i Niemcy wywierają skuteczną presję na Moskwę, aby ta nie interweniowała zbrojnie. W efekcie na Białorusi, jak prognozuje Markow, może powstać marionetkowy rząd kontrolowany z Warszawy, a to w praktyce oznacza, że wielki plan odbudowy I Rzeczypospolitej realizuje się w praktyce pod nazwą Sojuszu Lubelskiego. Wchodzi doń, prócz Białorusi, również Ukraina i państwa bałtyckie, kieruje nim Polska, która – mocno wzmocniona – zaczyna odgrywać w Europie znacznie większą niżli dotychczas rolę, a zdaniem Markowa staje się państwem na wielu polach „dyktującym przyszłość Europy”. Taki rozwój wydarzeń stanowi nie tylko rozczarowanie dla Rosjan, lecz przyczynia się do ekspresowej degradacji ratingu władzy, co w połączeniu z trudną, kryzysową sytuacją gospodarczą prowadzi do kolejnej rosyjskiej smuty.

Drugi wariant to sukces Łukaszenki, który utrzymuje władzę, korzystając ze wsparcia, choć niebezpośredniego, Moskwy. W efekcie zarówno Białoruś, jak i Rosja obłożone zostają sankcjami, choć wewnętrzneuropejskie podziały na państwa, które opowiadają się za twardą bądź miękką polityką, nie nikną. Wszystko to prowadzi zarówno do gospodarczej izolacji Rosji i Białorusi, jak i podziałów, które osłabiają Unię Europejską. W obliczu zwycięstwa Łukaszenki koncyliacyjna linia wobec Moskwy, którą prezentują Paryż i Berlin, traci rację bytu, co skutkuje zamrożeniem niekorzystnej z rosyjskiego punktu widzenia sytuacji i braku nadziei na współpracę w przyszłości.

Odmianą tego scenariusza jest trzecia analizowana przez Markowa opcja, polegająca na tym, że Łukaszenka nie daje rady i Moskwa musi zaangażować się wojskowo na Białorusi. Ale to prowadzi

do powtórzenia rozwiązań ukraińskich, za cenę jednak znacznie głębszej niżli w przeszłości ekonomicznej i politycznej izolacji Rosji, której za swe zdobycze przyjdzie płacić drogą, kolejnymi dziesięcioleciaми braku rozwoju, a nawet braku perspektyw na wyjście z trudnej sytuacji.

Wreszcie kolejny, czwarty, scenariusz opisywany przez Markowa zakłada kompromis. Francja i Niemcy odzyskują w Europie inicjatywę, presja wymusza na Warszawie zablokowanie wsparcia dla białoruskiej opozycji, a z kolei Putin skłania władzę w Mińsku do bardziej kompromisowego stanowiska. Zaczynają się rozmowy między tamtejszą władzą a „stroną społeczną”, którym patronuje z jednej strony Rosja, a z drugiej tandem niemiecko-francuski. Białoruś pozostaje geost strategicznym partnerem Moskwy, ale przekształca się w republikę parlamentarną z reprezentacją opozycji w ciałach przedstawicielskich. Zaczyna modernizować swoją gospodarkę, czym zainteresowana jest zarówno Moskwa, jak i Unia Europejska, sankcje wobec Rosji słabną, a UE, kierowana przez Berlin i Paryż, wybija się na geostrategiczną niepodległość, co oznacza osłabienie więzi atlantyckiej i amerykańskich wpływów na Starym Kontynencie.

I wreszcie piąty wariant, kiedy do głosu dochodzi Waszyngton dyktujący swoje warunki rozwiązania białoruskiego kryzysu. Działając w swoim stylu, przypominającym zdaniem Markowa zachowanie słonia w sklepie z porcelaną, doprowadza do chaosu na Białorusi, na czym traci zarówno Rosja, jak i Europa.

PROCES FERMENTACJI

Niezależnie od wyraźnej polonofobii rosyjskiego politologa warto zwrócić uwagę na to, że scenariusz kompromisowy jest z punktu widzenia Moskwy potencjalnie rozwiązaniem najlepszym. Obserwatorzy, również rosyjscy, zwracają przy tym uwagę na dostrzegalne i znaczące różnice narracji między przedstawicielami rosyjskiej i białoruskiej elity władzy. Są widoczne, bo mamy do czynienia z prawdziwym festiwalem dyplomatycznych relacji

przedstawicieli obu państw. Nie tylko Putin i Łukaszenka regularnie rozmawiają telefonicznie, lecz i białoruski minister spraw zagranicznych Władimir Makiej był w Moskwie, gdzie rozmawiał ze swoim odpowiednikiem Ławrowem. Dwa dni później do Mińska przyleciał „z połową rządu”, jak napisał komentator dziennika „Kommiersant”, premier Miszustin, a po kolejnych dwóch dniach do Moskwy udał się szef białoruskich sił zbrojnych generał major Wiktar Chrenin, którego wizyta poprzedzona była rozmową szefów sztabów generalnych obydwu państw.

W czasie konferencji prasowej po rozmowach szefów dyplomacji obydwu krajów (oczywiście prócz rutynowych przestróg formułowanych przez Siergieja Ławrowa o niedopuszczalności mieszania się państw trzecich w sytuację wewnętrzną Białorusi oraz szkoleniu przez Ukrainę radykalnych bojowników, których celem jest destabilizacja sytuacji wewnętrznej w sąsiednim państwie, co zresztą szybko się spotkało z ostrą ripostą Dmytra Kuleby, ukraińskiego ministra spraw zagranicznych, który nazwał tezy Ławrowa „bredniami”) uwagę obserwatorów przykuły wyraźne różnice w wypowiedziach Makieja i Ławrowa. O ile ten ostatni mówił o konieczności szybkiego rozpoczęcia reformy konstytucyjnej i uruchomienia w związku z tym „politycznego dialogu” władzy i społeczeństwa, co mogłoby się przyczynić do uspokojenia sytuacji, o tyle pierwszy informował, że prawidłowe przygotowanie reformy konstytucyjnej wymagało będzie nawet dwuletnich przygotowań. Podobne wątki co w wystąpieniu Ławrowa znalazły się również w wywiadzie, jakiego Putin udzielił telewizji Rossija-1.

Wszystko to skłania wielu obserwatorów do tezy, że Rosja zaczyna szukać personalnej alternatywy dla Łukaszenki i będzie chciała w najbliższym czasie, choć raczej liczoną w miesiącach, a nie dniach, doprowadzić do jego wymiany na kogoś będącego w stanie choćby częściowo odbudować zaufanie społeczeństwa wobec władzy.

Arsen Siwicki powiedział mi, że jego zdaniem niedawna, dość niespodziewana, decyzja Marii Kolesnikowej i Maksyma Znaka, kierujących sztabem wyborczym siedzącego w areszcie Wiktara Babaryki i współtworzących Radę Koordynacyjną o powołaniu ruchu politycznego Razem, którego głównym celem miałyby być doprowadzenie do reformy konstytucyjnej na Białorusi, może być uznana za element rosyjskiego planu przygotowania „strony społecznej” do tego rodzaju dialogu. Ciekawa jest też wypowiedź tej dwójki, która w wywiadzie, jakiego udzieliła specjalnemu wysłannikowi „Kommiersanta”, powiedziała, że „z oburzeniem” przyjęła propozycję Unii Europejskiej stworzenia specjalnego funduszu wsparcia dla

Dla Moskwy głównym źródłem politycznego kryzysu, w jakim znalazła się Białoruś, nie są protesty społeczne, ale Aleksander Łukaszenka. Z punktu widzenia interesów Kremla najlepsze byłoby zastąpienie go prorosyjskim, ale rynkowo nastawionym politykiem o demokratycznej legitymacji (oczywiście demokratycznej w rosyjskim rozumieniu tego terminu)

protestujących na Białorusi. W świetle unijnej propozycji rozdziałem środków wśród ofiar represji mieliby się zająć przedstawiciele Rady Koordynacyjnej, jednak zdaniem Marii Kolesnikowej tego rodzaju fundusz byłby świadectwem „niedopuszczalnej interwencji Unii w wewnętrzne sprawy Białorusi”.

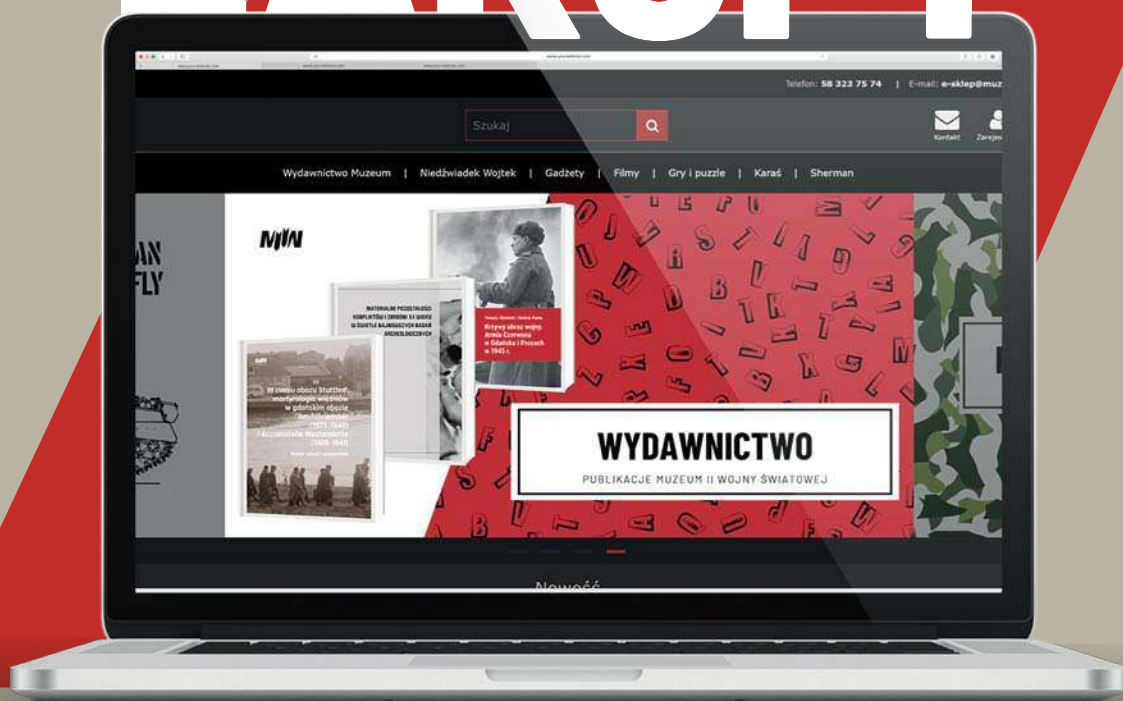
Represje wobec Kolesnikowej i Znaka, które nastąpiły kilka dni po wywiadzie,

mogą też świadczyć o rosnącej nerwowości ekipy Łukaszenki i rysujących się wewnętrznych, choć publicznie niewidocznych, podziałach. Seria zmian w białoruskich resortach siłowych, jaka ostatnio się dokonała, też sprawia wrażenie nerwowych i nie do końca przemyślanych. Jak powiedział portalowi Naviny.by Walery Karbalewicz, ekspert analitycznego centrum Strategia, „w warunkach ostrego politycznego kryzysu nie zmienia się kierownictwa struktur siłowych. Oznacza to, że w otoczeniu Łukaszenki zachodzi proces fermentacji”.

W Rosji pojawiły się też pogłoski, że zdaniem Siergieja Szojgu, ministra obrony, najlepszym następcą Łukaszenki byłby Wiktar Chrenin, obecny szef białoruskiego resortu obrony, wywodzący się z wojskowej rodziny, który „całą młodość spędził w rosyjskich garnizonach na Syberii” i jest człowiekiem, dla którego rosyjski mir nie jest pustym dźwiękiem. Co ciekawe, w powiązanim z Szojgu „Moskiewskim Komsomolcu” ukazał się niedawno artykuł Andrieja Kamakina, w którym ten dziennikarz i politolog zastanawia się, czy Łukaszenca, jeśliby zbyt uporczywie trzymał się władzy, nie grozi aby los Hafizulaha Amina, zamordowanego przez Rosjan na początku ich interwencji w Afganistanie w 1979 r.

Wszystkie te rozlegające się w Rosji głosy, sugestie, kreślone scenariusze i analizy sprowadzają się w gruncie rzeczy do jednego. W Moskwie nie wyobrażają sobie sytuacji, aby „wszystko było tak jak niegdyś”. Kreml będzie dążył jednocześnie do realizacji trzech celów – pogłębienia integracji, może nawet polknięcia Białorusi, pozbycia się Łukaszenki, który dzisiaj jest bardziej problemem niżli atutem i wygrania wielkiej strategicznej rozgrywki z Zachodem. Nie chcąc zbyt wiele ryzykować, może, choć nie otwarcie i wprost, zgodzić się na przedłożoną Moskwie przez Carla Bildta, byłego premiera i ministra spraw zagranicznych Szwecji, propozycję pozostawienia Białorusi w rosyjskiej strefie wpływów pod warunkiem demokratyzacji systemu rządów, kompromisu władzy i społeczeństwa oraz reformy gospodarki.

ZRÓB ZAKUPY



muzeum1939.pl



W SKLEPIE INTERNETOWYM
MUZEUM II WOJNY ŚWIATOWEJ
W GDAŃSKU



Bezużyteczny model ormiański

Białoruski kryzys powoli zmierza ku końcowi, choć ostateczna pacyfikacja protestów może jeszcze obfitować w momenty dramatyczne albo i krwawe



JAN ROKITA

Nagła odmiana kierunku i dynamiki zdarzeń na Białorusi mogłaby już tylko nastąpić za sprawą jakiegoś gwałtownego zwrotu w polityce Kremla, na którą – na razie – bardzo niewiele wskazuje. Prezydent Putin zdecydował o utrzymaniu przy władzy Łukaszenki, jako mniejszego dla Rosji zła niżli niepewna przyszłość Białorusi pod jakąś nową władzą.

W KREMLOWSKICH WNYKACH

Nie ma już co do tego większych wątpliwości, po tym jak w pierwszych dniach września na rozmowy do Mińska przyjechał rosyjski premier Miszustin wraz z dwoma wicepremierami oraz ministrami finansów, energetyki, przemysłu, zdrowia, kultury i sportu, a w tym samym czasie białoruski minister obrony udał się na negocjacje do Moskwy (co zro-

zumiałe, gdyż sprawy obrony w Rosji wykraczają poza kompetencje rządu). W trakcie tych rozmów Moskwa zagwarantowała daleko idącą pomoc dla Mińska, zawieszając (zapewne na długo albo i na zawsze) wszystkie swoje wcześniejsze plany zmuszenia Łukaszenki do zgody na ustanowienie bardziej rynkowych relacji gospodarczych między oboma krajami. Paradoksalnie ludowy bunt pomógł Łukaszence wygrać ów ciągnący się spór z Kremlm o rosyjskie przywileje gospodarcze dla jego kraju. Oczywiście ceną, jaką miński tyran będzie musiał za to zapłacić, będą jakieś koncesje, gdy idzie o integrację obu państw.

Przypuszczalnie Moskwa nie będzie jednak teraz naciskać na rezygnację z monetarnej czy podatkowej suwerenności Białorusi, tak jak jeszcze niedawno postulował to były rosyjski premier Miedwiediew. Po pierwsze dlatego, że takie spektakularne ubez-własnowolnienie kraju utrudniłoby bowiem tylko pacyfikację ludowej rewolty albo nawet groziło nabraniem przez nią otwarcie antyrosyjskich akcentów, których dotąd nie było. Po drugie, osłabiony przez rewoltę Łukaszenka, na dodatek ostatecznie pozbawiony pola gry z Zachodem, i tak jest już skazany na los

moskiewskiego wasala. I mimo dużego sprytu, jaki w tej sztuce dotąd wykazywał, już chyba nie uda mu się wysłiznąć z kremlofskich wnyków, które tym razem zacisnęły się wokół jego szyi. Represje na długi czas zantagonizowały mu Europę, z którą uwielbiał prowadzić gry ku irytacji Putina, a sąsiedzi, tacy jak Litwa i Polska, którzy w tych grach chętnie uczestniczyli, przeobrazili się właśnie w jego zaciekle wrogów. Teraz, po przeszło miesiącu starań, Baćka dostał w końcu wymarzoną audiencję na Kremlu i – jak można przypuszczać – polityczne ramy nowego paktu podyktowanego przez Putina zostaną w tych dniach przyklepane. Gruntownie mylił się zatem Aleksander Kwaśniewski, mówiąc niedawno: „Znam Łukaszenkę i wiem, że jest w nim realizm polityczny, on w jakimś momencie dojdzie do wniosku, że jest koniec jego rządów”.

ILUZJA ZACHODU

Tym samym ostatecznie w łeb biorą wszystkie tak modne ostatnio na Zachodzie spekulacje o tzw. ormiańskim modelu politycznych zmian na Białorusi. Najpełniej logikę i argumenty na rzecz owego modelu wyłożył były szwedzki

liberalny premier Carl Bildt w artykule opublikowanym 18 sierpnia przez wpływowy międzynarodowy Project Syndicate. Bildt nawiązywał do ludowej rewolty w Armenii z roku 2018, której bez rosyjskiej interwencji udało się obalić skorumpowany tamtejszy reżim, wynosząc do władzy populistycznego przywódcę Nikoła Paszinię. A owa zmiana władzy nie zmieniła tego, iż tak jak wcześniej Armenia pozostała wiernym politycznym klientem Moskwy. Podobnie jak Bildt w swoim tekście, będącym w istocie formułą unijnej oferty wobec Kremla, wielu urzędujących polityków zachodnich podkreślało w ostatnich tygodniach, iż ani Ameryka, ani Europa nie są zainteresowane rozciąganiem własnych wpływów tudzież politycznych wartości na Białoruś. A zatem Kreml tak czy owak ma w Mińsku wolną rękę. Jednak skoro ją ma, to niech wymieni Baćkę na jakiegos innego swojego klienta, który przynajmniej nie będzie stosował represji wobec narodu.

Bildt nigdy nie miał dobrego rozeznania, gdy idzie o Białoruś. I na przykład już w 2011 r. podczas spotkania z białoruskimi opozycjonistami w Sztokholmie (jeszcze jako szef szwedzkiego MSZ) wieszczył, iż „Białoruś jest o krok od załamania, a Łukaszenka będzie chciał zbiec do Rosji, gdyż tacy jak on pierwsi opuszczają statek”. Wszystko, co Szwed prognozował niemal dekadę temu, okazało się iluzją. I tak samo jest teraz, gdy zachodnie kancelarie dyplomatyczne dały się przekonać do forsowania w Moskwie „modelu ormiańskiego”. „Ormiańskiej” iluzji ulegli nawet Niemcy i Amerykanie, zazwyczaj względnie trzeźwo patrzący na sytuację na Wschodzie. Tymczasem w samej owej ofercie tkwiła sprzeczność, zapewne oczywista z perspektywy Kremla. Skoro Zachód zarzeka się bowiem, że nie chce mieć nic wspólnego z Białorusią, a Moskwa i tak ma tam wolną rękę, to dlaczego miałby się domagać zmiany władzy w obszarze, który sam uznał za strefę rosyjskich wpływów? Jaka w tym polityczna logika? I dlaczego Kreml, mając takie gwarancje respektu dla swych roszczeń geopolitycznych, miałby teraz sam przesądzać o politycznym sukcesie białoruskiej „kolorowej rewolucji”?

Oczywisty brak interesu Moskwy dla takiego rozwiązania zauważył publicznie litewski szef dyplomacji Linas Linkevičius, skądinąd osobiście zaangażowany w plan obalenia Łukaszenki, ale poprzez presję, sankcje oraz wsparcie rewolty, a nie gwarantowanie wolnej ręki Putinowi. „W oczach Kremla – mówił Linkevičius dla portalu Politico – gdyby Łukaszenka podporządkował się woli narodu, byłby to objaw słabości, który mógłby wysłać zły sygnał rosyjskiemu społeczeństwu obywatelskiemu, zainspirowanemu protestami na Białorusi”.

Dlatego zatem „ormiańskiej” oferty Zachodu Kreml nie może przyjąć? Bo zwycięstwo ludu w Mińsku byłoby niemal jak polityczne zaproszenie do podjęcia podobnej próby przez coraz bardziej znudzony Putinem lud moskiewski. I nawet jeśli w Moskwie taka próba nie mogłaby być efektywna, to w każdym razie władcy Kremla przysporzyłaby niebotycznych kłopotów. Zresztą nie od dziś wiadomo, że wizja tzw. kolorowych rewolucji, które nie stosując przemocy, obalają jednak rządy na obszarze postsowieckim, była, jest i będzie czarnym snem rosyjskiego prezydenta, jego swoistą obsesją, o której wielokrotnie, nie pytany wcale o to, mówił publicznie, jako o wielkim złu i groźnym niebezpieczeństwie. Europejski Mińsk, położony tak blisko Wilna i Warszawy, graniczący z Unią Europejską i powiązany ze zbuntowanym wobec Rosji Kijowem, to nie odległy zakaukaski Erywań, który tylko dzięki ścisłemu związkowi z Moskwą może w ogóle politycznie istnieć, bo jest skonfliktowany z wrogiem i sąsiadującym światem muzułmańskim. To porównanie od początku nie było trafione, albowiem wciśnięta między Litwę, Polskę i Ukrainę Białoruś jest najbardziej naturalnym kandydatem do wyślizgnięcia się przy jakiejś okazji spod rosyjskiej dominacji. Unijny komisarz Thierry Breton zasłynął w tych dniach dość absurdalnym oświadczeniem, iż „Białoruś to nie Europa”. Lecz francuski komisarz pomylił się nie tylko w sensie geograficznym. Białoruś to właśnie jest Europa i dlatego w Moskwie tak się boją, iż pewnego dnia ów kraj zechce się odwrócić

w stronę Zachodu. Dlaczego zatem mieliby czynić coś, co niesie ryzyko takiego właśnie scenariusza?

POLSKIE INTERESY

Z polskiej perspektywy ów „ormiański” model (gdyby jakimś cudem mógł się okazać realny) byłby politycznym rozwiązaniem najgorszym z możliwych. Jednak – inaczej niż litewska – polska dyplomacja, pod mało chyba pewnie czującym się nowym ministrem Rauem, zachowuje się defensywnie, nie zajmując jasnego stanowiska co do sposobu przezwyciężenia białoruskiego kryzysu. (Nawiasem mówiąc, pomysł zmiany szefa MSZ w epicentrum wschodniego kryzysu nie świadczy o powadze polskiej polityki).

W Polsce zarówno rząd, jak i opozycja tudzież różne instytucje obywatelskie mnożą głównie uczuciowe oznaki sympatii dla białoruskiego ruchu wolnościowego, czego trudno nie doceniać, ale co nie tworzy jeszcze państwowej polityki. Tymczasem plan „ormiański” można z polskiego punktu widzenia uznać za względnie nieszkodliwy tylko dlatego, że od początku był omal z pewnością bezużyteczny. Nie zmienia to faktu, że żadna próba stabilizacji rosyjskiej dominacji na Białorusi, dokonywana z inicjatywy albo z pomocą Zachodu, nie leży w polskim państwowym interesie. A już tym bardziej nie leży w nim pomysł na takie „upudrowanie” wasalnej wobec Kremla pozycji Białorusi, aby nie wyglądała ona tak nieprzyjemnie jak dziś i nie miała brzydkiej twarzy obecnego mińskiego tyrana.

Perspektywiczny polski interes polega na tym, aby na czas pokoju, a tym bardziej na czas zawsze możliwej wojny, nie być na Wschodzie państwem frontowym. Analogiczną potrzebę doskonale rozumieli Niemcy, napierając swego czasu na akces Polski do zachodniego sojuszu. Ów dalekosieźny cel Polska osiągnęła już na Ukrainie, co w ostatnich dniach spektakularnie mogła nam uzmysłowić głośna „wycieczka” amerykańskich bombowców strategicznych B52 przez całą Ukrainę aż po Morze Azowskie. Nam, Polakom, historia dała teraz trochę czasu, więc nie musimy w pośpiechu osiągać naraz wszystkich polskich celów.



Jak nad Wisłą Putina wybielano

Aleksiej Nawalny został otruty. Władze Rosji są skłonne do wszystkiego. Nie można im w najmniejszym stopniu zaufać. Pod tymi zdaniem podpisze się niemal każdy zachodni przywódca. Podobnie było po próbie otrucia Siergieja Skripala, po zabójstwie Aleksandra Litwinienki, po aneksji Krymu, po zestrzeleniu MH-17. Ale jest jedno wydarzenie, przy którym nie wchodzi w grę stawianie zarzutów Kremlowi. To katastrofa smoleńska z 2010 r. Dlaczego?



MAREK PYZA

Angela Merkel tym razem nie przebiera w słowach: „Jest pewne, że Aleksiej Nawalny padł ofiarą przestępstwa. Miał zostać uciśniony i potępian to w najsilniejszy

możliwy sposób. Była to próba zabójstwa przez otrucie jednego z czołowych rosyjskich opozycjonistów”. Donald Trump deklaruje poparcie wstrzymywania budowy Nord Stream 2 po otruciu Rosjanina (oczywiście nie tylko z tego powodu). Cały świat zachodni nie ma wątpliwości, że imperium Putina to barbaria, która z zimną krwią likwiduje swoich przeciwników.

A jak było z katastrofą w Smoleńsku? Dokładnie odwrotnie. Takie założenie było niedopuszczalne. Można było rozważać każdą z przyczyn tragedii, lecz nie

winę Rosji. Dlaczego? Kto jest odpowiedzialny za taki obrót spraw? Kto awansem ułaskawił Moskwę w sprawie 10/04?

ROSJA POMOCNA I WZRUSZAJĄCA

W 2010 r. niewielu wskazywało, że trzeba rzucić snop światła na rolę Rosji. Polski obóz patriotyczny, niekiedy izraelskie czy rumuńskie media, rosyjscy dysydenci, emerytowani oficerowie amerykańskich służb specjalnych, gruziński prezydent. Wśród przywódców międzynarodowej

wspólnoty panowała zgodność – patrzono w kierunku Warszawy i powielano stanowisko najbardziej zainteresowanych, czyli polskiego rządu. A to brzmiało tak: wnikliwie badamy, doskonale współpracujemy z Rosjanami, nie potrzebujemy wsparcia z Zachodu (wszystkie trzy deklaracje nie były prawdziwe).

Od pierwszych godzin po katastrofie Polacy byli epatowani żałobą i współczuciem Rosjan, rzekomą empatią Putina i Miedwiediewa. Przedstawiciele rosyjskich władz na każdym kroku zapewniali o otwartości i gotowości do pomocy Polakom. A nasze władze z zupełnie niejasnych powodów to podtrzymywały. Do historii przeszła wypowiedź Ewy Kopacz, która nie mając pojęcia, co się dzieje w moskiewskim zakładzie medycyny sądowej, zarzekała się, że odbywają się tam czynności na poziomie światowym, a przy sekcjach z rosyjskimi medykami Polacy pracują „ramię w ramię”.

Premier Donald Tusk, jego ministrowie, ale też wiele polskich mediów włączyło się – nie zawsze świadomie, ale też nie zawsze nieświadomie – w operację wizerunkowego ocieplenia Rosji.

TVN24 masowo produkował fake newsy (zmyślane „jak nie wyląduję, to mnie zabiją”, zmyślona klótnia gen. Błasika z kpt. Protasiukiem przed odlotem), a „Gazeta Wyborcza” wyczuła moment na krzewienie w swoich czytelnikach rusofilii. Cztery dni po katastrofie w tym dzienniku ukazał się tekst zatytułowany „Rosji spasiła!”, w którym czytaliśmy o „odzwie z drugiej strony”, „bardzo żywym i uczuciowym”. Mirosław Czech zachęcał do podpisania apelu „Tygodnika Powszechnego” i Onetu w sprawie pojednania z Rosjanami. „Jesteśmy pod wrażeniem pomocy i solidarności, jakich doświadczamy od państwa rosyjskiego” – słyszeliśmy w owym apelu, odczytywanym przez Daniela Olbrychskiego.

Polacy mieli przyjąć, że Rosjanie nie tylko modelowo współpracują z nami przy wyjaśnianiu katastrofy, lecz są też pogrążeni w żałobie po śmierci prezydenta. O ile w społeczeństwie rosyjskim rzeczywiście znajdowaliśmy wówczas wiele współczucia, nie sposób doszukiwać się go u stojących na szczytach moskiewskiej władzy dawnych kagebistów. Lecz nawet ich ubierano w anielskie szaty. Pierwszy krok w tym

teatrze wykonał sam rosyjski premier, obejmując Donalda Tuska na miejscu katastrofy. Szef polskiego rządu chętnie skrył się w czułych objęciach przejętego plk. Putina. Następnego dnia dyżurny komentator TVN24, były ambasador w Moskwie, stary komunista Stanisław Ciosek wzruszał się: „Wczoraj zobaczyłem Putina jako człowieka. Poruszyło mnie, jak pomógł Tuskowi wstać z kolan. To mnie przekonało”.

Rosja zyskała nową twarz – już nie neoimperialną, skorumpowaną, agresywną, obryzganą krwią ofiar w Czeczenii, Gruzji czy na moskiewskich ulicach, lecz troskliwą, przyjazną, przyjacielską. Na ołtarzu tej kreacji położono informacje o niedopuszczaniu polskich śledczych do oblotu lotniska czy zignorowaniu przez Moskwę trzech wniosków polskiej prokuratury o dostęp do analizy zapisów rejestratorów – wysłanych 10, 16 i 20 kwietnia (dopiero miesiąc później przyznał to rzecznik WPO). Takich drobniejszych i poważniejszych kłamstw, przemilczeń, ostentacyjnie rzucanych Polakom pod nogi kłód, a wręcz oznak mataczenia w śledztwie było na pęczki. Napisano o nich wiele książek, dziesiątki artykułów, w tym niżej podpisane go.

ODZNACZENIA I PRZEPROSINY

Co z tego, że dziś można do tej wiedzy sięgać? Wszystko poniewczasie. Gdybyśmy w kwietniu 2010 r. byli uczciwie informowani o tym, co się dzieje w śledztwie, nawet zagorzali przeciwnicy Prawa i Sprawiedliwości domagaliby się rzetelnego zbadania hipotezy o „udziale osób trzecich” i zweryfikowania oczywistych podejrzeń wobec Moskwy.

Jest 23 kwietnia 2010 r. Michał Boni, szef doradców premiera: „Nie tworzymy klimatu napięcia”. Rzecznik rządu Paweł Graś pytany o przejęcie śledztwa od Rosjan: „Każda ingerencja rządu w proces badania przyczyn katastrofy pod Smoleńskiem byłaby bardzo źle odebrana”. Kto by ją źle odebrał? Wyłącznie Moskwa.

Nie dziwi więc, że gdy dwa tygodnie później Sejm głosował nad rezolucją PiS wzywającą do przejęcia śledztwa, rządowa większość PO-PSL projekt odrzuciła. Nikt im się nie rzucił do gardel, bo skutecznie zarządzali posiadaną wiedzą. Publikowano niepełne, zmanipulo-

wane zapisy czarnej skrzynki, oskarżano gen. Błasika o naciski, ale trzymano w szufladzie nagrania z wieży kontrolnej obciążające Rosjan. Dowiedzieliśmy się o nich dopiero po roku.

Jakby mało było tych propagandowych zabiegów, 8 maja pełniący obowiązki prezydenta marszałek Sejmu Bronisław Komorowski odznaczył 20 Rosjan, którzy brali udział w akcji po katastrofie – m.in. lekarzy, laborantów, wojskowych, pilotów, strażaków i ekspertów medycyny sądowej.

Jaki był efekt tych wszystkich zabiegów? Według sondażu OBOP z maja 2010 r. aż 58 proc. Polaków uważało, że Rosjanom należy na wyjaśnieniu katastrofy. Ziarno wydało plon, choć mocno kontrastujący z równoczesnym poczuciem połowy badanych, że to Rosja jest krajem, którego Polska powinna się najbardziej obawiać.

Minał kolejny miesiąc. Okazało się, że na miejscu katastrofy ukradziono karty kredytowe szefa Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzeja Przewoźnika. Graś powiedział, że dopuścili się tego funkcjonariusze rosyjskiej jednostki specjalnej OMON. Gdy w odpowiedzi Rosja zabrzmiiała, że to „błędniacze” i „cyniczne” oskarżenie, rzecznik rządu posypał głowę popiołem i pokornie, po rosyjsku, przeprosił omonowców (złodziejami okazali się „zwykli” rosyjscy żołnierze) i podziękował: „Za to, co zrobiliście w czasie tragedii na smoleńskim lotnisku”. „Iżwinitie, eto była prosta oszybka”.

Naiwnością byłoby sądzić, że ci wszyscy ludzie nie zdawali sobie sprawy, do czego prowadzi ta gra. Że przykładają rękę do odsunięcia podejrzeń wobec Rosjan. To wbrew obowiązkom polskim? Oczywiście. Ale wówczas nie dla wszystkich były one najważniejsze.

Nasze władze i sprzężone z nimi media wybieliły Moskwę nie tylko w oczach Polaków, lecz i całego świata. Zachodni sojusznicy kompletnie tego nie rozumieli. Ze zdumieniem przyjmowali odmowę polskiego rządu pomocy w śledztwie. Nie mogli jednak publicznie wątpić w czyste ręce Rosjan, skoro nawet Polacy nie posądzali Putina.

Tu dochodzimy do haniebnego próby obarczenia winą za katastrofę prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Ta operacja

rozpoczęła się od esemesowego „przekazu dnia” (ujawnionego później przez gen. Sławomira Petelickiego): „Katastrofę spowodowali piloci, którzy zeszli we mgłę poniżej 100 metrów. Do ustalenia pozostaje, kto ich do tego skłonił”, oraz rozmowy Radosława Sikorskiego z Jarosławem Kaczyńskim, w której szef MSZ informował brata prezydenta o tragedii i nie mając żadnych danych, przekonywał o błędzie załogi.

Zakłamywanie, że współpraca z Moskwą układa się znakomicie, trwało w najlepsze aż do stycznia 2011 r., gdy ukazał się raport MAK. Ale nawet wtedy rząd Donalda Tuska nie chciał skorzystać z korzystnych dlań przepisów międzynarodowych. Nie zażądał – na podstawie zapisów konwencji chicagowskiej – zwrotu wraku, nie przeniósł polskiego badania na poziom międzynarodowy. Czy powodem było zniewolenie strachem przed odkryciem przez Rosję, jak przygotowywano wizyty w Katyniu, jak grano przeciw prezydentowi, jak zrezygnowano z polskiej podmiotowości w śledztwie?

KREML SPLAMIONY KRWIĄ

Udało się. Warto było mówić o przelocie, pojednaniu, palić znicze na cmentarzach radzieckich żołnierzy, wyśmiewać stawianie oczywistych pytań i wyzywać podważających rzekomą „dobrą współpracę” od sekciarzy. Polacy ciepłej spojrzeli na Rosję i Rosjan. A świat nie mógł tego sprostować.

I już pewnie nikt skutecznie tego nie wyprostuje. Wciąż będą się pukać w czoło rozmaici pseudoeksperci wyśmiewający stawianie pytań o rosyjską odpowiedzialność. Zupełnie jak w 2010 r. gdy z ekranów telewizorów nie zniknęło oburzenie: jak można tak pomyśleć? Nawet Putin by sobie na to nie pozwolił! Takich rzeczy się po prostu nie robi!

A czy strzela się z wyrzutni rakiet do pasażerskiego samolotu na terenie obcego państwa? Najeżdża się na to państwo siłami wojskowymi przebranymi za „zielone ludziki”? Kradnie mu się część terytorium? Truje się na terenie państwa trzeciego byłego wysokiego oficera własnych służb (Aleksandra Litwinienkę), tak aby umierając w mę-

czarniach na oczach świata, pokazać, co spotyka ludzi zdradzających bandyckie metody stosowane przez te służby wobec własnych obywateli? A do kolejnego (Siergieja Skripala), do tego samego kraju, po kilkunastu latach wysła się siepaczy z GRU, by otruli go nową substancją wyprodukowaną w wojskowych laboratoriach? Rozstrzeliwuje się lidera opozycji (Borys Niemcow) przed siedzibą prezydenta, a za kilka lat kolejnego się truje (Aleksiej Nawalny)? Wysadza się bloki mieszkalne i morduje własnych obywateli, by mieć powód do najechnia na próbujące wybić się na niepodległość państwo (Czeczenia)?

Czy morduje się dziennikarzy piszących krytycznie o władzy? Tu nie mamy do czynienia z jednym zabójstwem – jak

Nasze władze i sprzężone z nimi media wybieliły Moskwę nie tylko w oczach Polaków, lecz i całego świata. Zachodni sojusznicy tego nie rozumieli. Ze zdumieniem przyjmowali odmowę polskiego rządu pomocy w śledztwie

w przypadku Jána Kuciaka na Słowacji – ale dziesiątkami morderstw. W zasadzie ta liczba przekroczyła już 200, lecz nie o wszystkich można powiedzieć, że były zlecone czy też inspirowane przez władze. Zabójstwo Anny Politkowskiej na 54. urodziny Władimira Putina jest tylko jednym z wielu, choć chyba najbardziej znaczącym i symbolicznym.

To wszystko mają za pazurami rosyjskie władze. Również w 2010 r. cały świat doskonale wiedział, do czego są one zdolne, że nie wahają się ani chwili przed mordem w imię swoich interesów.

Wręcz z automatu wypadało wtedy rozpatrzyć wszystkie racjonalne hipotezy, na czele z tą o zamachu. Być może w przypadku innego państwa należałoby

ostrożniej stawiać podejrzenia. Ale nie wtedy, gdy mamy do czynienia z Putinem. Jeśli Aleksiej Nawalny wróci do sił, raz jeszcze to światu uświadomi. W 2010 r. alarmował o tym Micheil Saakaszwili. To dla wolności jego rodaków Lech Kaczyński w 2008 r. zorganizował bohaterską wyprawę pięciu przywódców państw naszego regionu, wykrzyczał światu prawdę o Putinie i zatrzymał rosyjskie czołgi. Kreml mu tego nigdy nie zapomni. Podobnie jak oporu, który stawiał wobec niekorzystnych dla Polski negocjacji w sprawie umowy gazowej. Być może gdyby nie Smoleńsk, w październiku 2010 r. nie doszłoby do podpisania wymarzonego przez Moskwę kontraktu.

Przed dekadą Rosji ubył konsekwentnie pilnujący interesów swojego kraju prezydent, umiejący zmobilizować sąsiednie państwa do odważnej reakcji na neoimperialne zapędy Moskwy i przeszkadzający w energetycznej wojnie. Ubyła też duża część polskiej elity patriotycznej. Zniknęli dowódcy wszystkich rodzajów wojsk sporego kraju NATO (w ich miejsce wrócili generałowie wyedukowani w Moskwie). To jeszcze lepszy prezent niż głowa Anny Politkowskiej.

MOTYW BYŁ

Czy Rosja jest bez winy w sprawie Smoleńska? Na pewno nie, ale dziś wciąż trudno jednoznacznie wskazać zakres tej odpowiedzialności (o tym, na jakim etapie są polskie postępowania, będziemy pisać w kolejnych numerach tygodnika „Sieci”). Wybielanie systemu Putina wypadło nad wyraz efektywnie, pozwoliło wyrządzić nieodwracalne szkody w śledztwie. Gdy później próbowano choćby w cząstkowy sposób błędy naprawić, stawiając zarzuty rosyjskim kontrolerom lotów, władze w Moskwie po prostu się na to nie zgodziły. To najlepsze podsumowanie „współpracy” z Rosją.

Próba zabójstwa Aleksieja Nawalnego po raz kolejny dobitnie uświadamia, że żadne „nowe” oblicze Putina nie istnieje. Nigdy nie istniało. Tylko pewien polski rząd chciał to wmówić całemu światu.

K

ULTURY

Za sprawą filmu „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy”, który wchodzi właśnie do kin, Piotr Trojan trafił do więzienia, przeżył życiową traumę i dostał główną festiwalową nagrodę. Reżyser Jan Holoubek, oceniając postać, z którą aktor musiał się zmierzyć, stwierdził: „Piotrek Trojan jest w tej roli porażający”

Złość i bezradność

Fot. Podlewski/KPA



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Reżyserski debiut Jana Holoubka – podczas wyjątkowej, 39. edycji Koszalińskiego Festiwalu Debiutów Filmowych „Młodzi i Film” – zdobył w pierwszym tygodniu września aż pięć statuetek.

Odwołując się do bulwersujących faktów filmową historię chłopaka niesłusznie skazanego za zbrodnię, której nie popełnił, uznała za najlepszy tytuł publiczność festiwalu, a profesjonalne jury przyznało jej nagrody za reżyserię (Jan Holoubek), scenariusz (Andrzej Gołda), zdjęcia (Bartłomiej Kaczmarek) oraz główną rolę (Piotr Trojan).

Dla urodzonego 6 czerwca 1986 r. aktora film „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy” to zawodowy i życiowy przełom.

AKCEPTACJA MATKI TOMASZA

Tomasz Komenda miał 23 lata, gdy oskarżono go o morderstwo. Trafił do więzienia, gdzie był bity, zastraszany, upokarzany. Przez 18 lat. Do czasu, gdy nowe śledztwo ujawniło brak dowodów na jego skazanie. Batalia o uwolnienie Komendy stała się głośną medialną sprawą.

Piotr Trojan miał 33 lata, gdy otrzymał propozycję zagrania głównej kinowej postaci. Dziesięć lat po aktorskim dyplomie w łódzkiej Filmówce i po wielu castingach, które kończyły się – w najlepszym razie – drugoplanowymi rolami (choćby nawet sierżanta Sobczyka w obu sezonach serialu „Znaki”) czy epizodami, które nie popychały zawodowej kariery, nawet gdy był to plan głośnego filmu „Chce się żyć”. I choć jego nazwisko może się kojarzyć z infekującym system oprogramowaniem, swoją rolę, jeśli coś rozsadził, to jedynie w szlachetnym celu i z pozytywnym skutkiem.

Aktor był ponoć zaskoczony, że tym razem udało mu się wejść do pierwszego planu, ale czy do końca był świadomy,



przed jakim zadaniem staje? Wspomina, że lektura scenariusza w pierwszym momencie wywołała w nim ogromną złość (dlaczego nikt nic nie zrobił; dlaczego w ogóle to wszystko się wydarzyło?) i bezradność, a potem zaczęła się praca nad rolą. I było to tak mocne, że „zapadł się w siebie”, pojawiały się lzy.

Już przed castingami, gdy oglądał materiały dotyczące Tomasza Komendy, „bardzo żywo wyobrażał sobie tamte wydarzenia”. Scenariusz te odczucia jeszcze spotęgował, ale najważniejsze okazało się spotkanie z pierwowzorem postaci. Dostał do niego tuż po urodzinowym przyjęciu na cześć Komendy. W rozluźnionej atmosferze, w obecności jego braci i matki (w filmie grają Agata Kulesza). – Zobaczyłem normalnego gościa, który jest równocześnie silny i wrażliwy – wspomina aktor. – Żadne przygotowania nie dały mi tyle, co jedno spojrzenie w jego oczy, podanie dłoni. Zdałem sobie sprawę z tego, że to nie jest fikcja.

Traumatycznym przeżyciem, zwłaszcza dla kogoś, kto unika ciasnych pomieszczeń, okazały się zdjęcia w prawdziwych celach. Te miejsca opresji przytłaczały aktora psychicznie i fizycznie, nawet gdy ich niewielką przestrzeń wypełniali statuiści, a nie prawdziwi więźniowie.

Bardzo wiele dała mu akceptacja matki Tomasza, ale i poznanie jego braci. Piotr Trojan również ma braci – starszego Ka-

rola i młodszego Andrzeja. Mówi o nich: „Jesteśmy tak samo różni, jak podobni”. Oni wybrali normalną pracę, założyli rodziny. On od małego – i wbrew wszystkiemu – marzył, by zostać aktorem.

WBREW WSZYSTKIEMU

„Mały sepleniący grubasek”, jak siebie wspomina, któremu nie dawano szansy na poprawę wymowy, jako 15-latek postanowił wrócić do gabinetu logopedy i, choćby w towarzystwie o połowę młodszych dzieci, powalczyć o zminimalizowanie wady.

Później już tylko musiał popracować nad ukryciem śląskiego akcentu i odna-

leżeniem się w dużym mieście, wśród supersprawnych, pewnych siebie kolegów ze szkoły filmowej. Ale chłopak z Tarnowskich Gór miał w bagażu wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa. Spędzonego w bloku i w nie zawsze akceptującym gronie szkolnych kolegów, ale w dającej oparcie rodzinie.

Poza tym w łódzkiej Filmówce spotkał rewelacyjnych pedagogów. – Na początku myślałem, że wyrzucą mnie ze szkoły, a ukończyłem ją, zdobywając pierwszą nagrodę aktorską na festiwalu szkół teatralnych – mówi z dumą.

Potem, gdy z roku na rok nie trafiał na swoje pięć minut, spróbował spojrzeć na swój zawód z innej perspektywy. Zaczął pisać scenariusze. Dwa lata temu ukończył Studio Prób w warszawskiej Szkole Wajdy. Dostał ze Studia Munka dotację na reżyserski debiut filmowy i... trafił na plan filmu „25 lat niewinności...”

Gdy słyszy, że rola Tomka Komendy jest dla niego zawodową szansą, odpowiada: – Większość ról daje taką możliwość. Pytanie tylko, jak tę szansę wykorzystasz.

Reżyser Jan Holoubek, oceniając postać, z którą aktor musiał się zmierzyć (zarówno fizycznie – schudł kilkanaście kilogramów, jak i psychicznie – w filmie jest wiele scen przemocy), stwierdził: „Piotrek Trojan jest w tej roli porażający”.

Bajka w wojennej Warszawie

Kiedy myślę o filmie „Czarny mercedes”, odczuwam smutek. W roku 2019 wówczas 88-letni Janusz Majewski żartował, że nakręcił ten film, żeby pojechać na festiwal do Gdyni. I swój plan spełnił. Tyle że kiedy film wszedł do kin, na dzieło starego mistrza poszło ledwie kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Gorzka pigułka.

Ja w Gdyni widziałem Majewskiego, ale nie obejrzałem filmu. Ostatnio nadrobiłem zaległość – dzięki Canalowi+. Pamiętam, że Majewski to jeden z najwytrwalszych prekursorów różnych nurtów kina gatunkowego – od horroru „Lokis” po sprawny serial historyczny „Królowa Bona”. Zawsze dbał, aby kino było rozrywką. A przecież jego „Zakłęte rewiry” to arcyważna rozprawka o ludzkiej naturze.

„C.K. Dezerterzy” trochę mnie odrzucali przaśnym żołdackim humorem. Ale niejedna scenka grana tam przez największych aktorów przeszła do historii kina. „Złoto dezertorów” było sygnałem pogarszania się smaku artysty. Ale np. „Mała matura” zdradza intuicję w dokumentowaniu ważnego momentu polskiej historii.

„Czarny mercedes” to w zamyśle stylówka w realiach okupacyjnej Warszawy, opowieść niby kryminalna, bo mordują piękną mecenasową (Maria Dębska) i granatowa policja prowadzi normalne śledztwo w cieniu łapanek i tortur.

Trochę to i materiał na historię miłosną. Kogóż tu trzeba, jak nie Majewskiego? Uwielbiającego retro, lubiącego podrapać dawne epoki.

Zacznę od niesmaku po przeczytaniu recenzji. Mistrza oskarżano o seksizm i homofobię. Seksizm dlatego, bo podobno kobiety są tu głupsze od mężczyzn i interesowne, a groteskowy Hrabia podpatrywacz (Andrzej Seweryn) rozprawia o ich cipkach. Homofobię, bo jedna z postaci, złowrogi hitlerowiec, jest pederastą, co więcej ten rys jego osobowości popycha go do zbrodni.

Poprawność polityczna staje się zmorą. Nie oszczędza nikogo, agdy Majewski jest łajany jako postać z dawno minionej epoki, podwójnie przykro. On lubi poświęcić, ale tu

akurat przypisano wulgarność jednej z jego postaci jemu samemu, co jest absurdem. Także aptekarskie badanie symetrii w przedstawianiu postaci męskich i żeńskich to jakiś nowy socrealizm.

Co do rzekomej homofobii – starsi twórcy istotnie zapominają, że geja można dziś pokazać tylko dobrze albo wcale. Coś podobnego spotkało Filipa Bajona – zrugano go za postać z „Kamerdynera”, karykaturalnego syna niemieckiego hrabiego, notabene SA-mana zabitego w nocy długich noży. Ci sami krytycy nie mieli jednak nic przeciw równie przerysowanemu księżom gejom w „Klerze”. No tak, ale tam był cel nadrzędny: dołożyć Kościółowi.

Bronię Janusza Majewskiego, co nie znaczy, że padam przed jego filmem na kolana. Nie wiem, dlaczego nie podzialała na widzów magia nazwiska. Przecież cytaty z „C.K. Dezerterów” wciąż są w internecie kultowe. Prawda jest jednak taka, że film wyszedł mu zbyt zimny. To dramatyczna, właściwie melodramatyczna historia, a jednak z żadnym z bohaterów nie żyjemy się dostatecznie. Oglądamy to jako nieco abstrakcyjną bajkę o pięknych i eleganckich ludziach.



Mam jeszcze własne prywatne zastrzeżenie – à propos owego piękna i elegancji. Oczywiście bywały w wojennej Warszawie takie azyle stylu jak mieszkanie mecenasa Holcera (Artur Żmijewski). Ale generalnie ta Warszawa to był świat, w którym każdy, wychodząc rano do pracy, żegnał się z domownikami. Mógł nie wrócić – rozstrzelany lub wywieziony do obozu. I to się w meandrach kryminału zaciera. Owszem, świetni aktorzy, owszem, sugestywna

jedna czy druga scena (jest nawet wizyta w getcie). Ja wszakże wolę w przypadku tej epoki mocniejsze wycucie historycznego klimatu.

Piotr Zaremba

Tęczowo- -brunatna fala

W Kalifornii trwa batalia o prawa gwałcicieli i pedofilów. A w Unii Europejskiej od 7 sierpnia holenderscy amatorzy seksu z dziećmi mają legalną partię. Teraz demokratycznie będą walczyć o legalność pornografii dziecięcej, zoofilii i nekrofilii.

„Demokraci w Kalifornii uchwalili prawo, które pozwala przestępcy seksualnemu UNIKNAĆ rejestracji jako przestępca seksualny, o ile jest nie więcej niż 10 lat starszy od nieletniej ofiary” – napisała Emerald Robinson, jedna z najbardziej znanych amerykańskich dziennikarek, korespondentka z Białego Domu. Nie wnikając w szczegóły: uchwalona 2 września ustawa SB145 pozwala unikać odpowiedzialności homoseksualistom w przypadku stosunków seksualnych z nieletnimi. Dziś w przypadku dzieci 14-letnich, lecz dziennikarze śledczy i prawnicy alarmują, że od teraz prawo będzie słabiej chronić także dzieci 12- czy nawet 8-letnie. Pokazuje to bowiem praktyka sądownicza. Ale nawet jeśli nie będzie propedofilnych sędziowskich nadużyć, drapieżnik seksualny ma od dziś w Kalifornii łatwiej.

Natomiast w Europie niderlandzka partia PNVD (Partij voor Naastenliefde, Vrijdheit en Diversiteit) domaga się, żeby „prywatne posiadanie wszelkiej pornografii, w tym pornografii dziecięcej było dozwolone”. Wzywa również, aby „kontakty seksualne ze zwierzętami stały się ponownie legalne”, a w programie ma też „legalizację nekrofilii, jeśli zmarły wyraźnie wyraził na to pisemną zgodę”.

Nekrofilia, pedofilia, zoofilia. Co na to obrońcy zwierząt? Przez 30 lat nie widziałem ani jednego tekstu potępiającego dewiacyjne praktyki, w których to zwierzęta są ofiarami. Kornik drukarz was wzrusza, a gwałcone psy, rozerwane

kozy, upokarzane konie już nie? One nie są godne ochrony, hipokryci?

Revolucja idzie równym frontem. Polityk homoseksualista szczycący się rozebranymi zdjęciami z przystojnym młodzieńcem zmienia kalifornijskie prawo, holenderski aktywista pedofil legalnie zabiega o legalizację dewiacji, polska publicystka prawicowa broni pedofilnej zmiany prawa, obrońca zwierząt nie broni zwierząt, ekolog wzrusza ramionami na kupę serducha płynącą Wisłą do Gdańska. Oni w dupie mają karpie, w dupie mają biedne psy, wyjące i płaczące. Tak, w burdelach psy płaczą. I nikogo to nie obchodzi.

Mówmy o najważniejszym. W przypadku dzieci zamiary tęczowych puczystów widać jak na dłoni. Po pedofilii legalna będzie nekrofilia, zalegalizują też zoofilię i kazirodztwo. Profesor H. z UJ już się o to stara.

Hej, ludkowie, robota sama się nie zrobi. Plan jest, trzeba rewolucję przeprowadzić. I działają trolle, zapłaceni aktywiści, rozgrzani sędziowie, kupieni dziennikarze, politycy idioci. Wszystkie ręce na pokład. Kasy NGO-sów rozgrzane do czerwoności. Na mój wpis o kolejnym kroku do zalegalizowania pedofilii w Kalifornii na TT zareagowała zatem „Katarzyna”, która dla jakichś interpretacyjnych szczegółików nazywa mnie kłamcą i manipulantem. Mam to w szerokim uśmiechu. I pomijam też metodologię perswazyjną przekupy, zabawną u autorki tygodnika opinii. Katarzyna Sadło uczestniczy w zamachu na nasze dzieci. Jest Pani niebezpiecznym trollem, inkulturowanym w konserwatywną wspólnotę, cywilizacyjnym dywersantem udającym prawicowca.

Nie żebym był konserwatystą – po 500 latach nowożytnych rewolucji nie ma co konserwować, ale istnieje coś takiego jak wielośrodowiskowa wspól-



ROBERT TEKIELI

nota ludzi zdrowego rozsądku. W USA wybierają Trumpa, w Polsce PiS, z zaciśniętymi często zębami, na Węgrzech Orbána. Nie dlatego, żeby politycy się im jakoś szczególnie podobali, ale coraz więcej ludzi wie, że idzie potop.

Jednak niestety nie wszyscy dostrzegają, że las Birnam podchodzi pod mury miasta. Dobrzy ludzie: zło zatriumfowało już we Francji, Danii, w Niemczech i w Kanadzie. Pod Jasną Górą Matka Boska Częstochowska na ulicy w tęczowej waginie jako symbol walki o wolność – ktoś potrafił sobie to trzy lata temu wyobrazić?

Tęczowe kolumny, nad nimi sześciokolorowe flagi z brunatnym tłem. Zalewają Europę. Na czele bojówki Antify szkolone za pieniądze warszawskiego ratusza. Dziś nazizm ma tęczowe barwy. I ci, i ci to socjaliści. Neomarksowski potwór już zagląda do pokoiów naszych dzieci.

Skończył się etap milaczkowania. Czas na szturm!, obrońcom życia w mordę! Milcząca większość otumaniona kłamstwami, że chodzi nam tylko o odwiedzinę ukochanej osoby w szpitalu. Czas na adopcję małych chłopczyków przez parę homoseksualnych mężczyzn. Czas na werbunek w przedszkolach...

Basta, gnoj! Wy się nie rozmnażacie. Musicie kraść nasze dzieci. W Polsce to nie przejdzie!

W Polsce to nie przejdzie? 

W Szukajace

Po przemyśle gier komputerowych rewolucyjne zmiany w branży filmowej. Niedawno BAFTA wolnorynkowo narzuciła prywatnym producentom, że w nowotworzonych grach 10 proc. bohaterów musi mieć odchylenia seksualne. A teraz branżę filmową liberalizuje Amerykańska Akademia Filmowa. Będzie przyznawała Oscary tylko filmom, w których „przynajmniej jeden z aktorów pierwszoplanowych lub istotnych aktorów drugoplanowych reprezentuje mniejszość rasową lub etniczną (Azjaci, Latynosi, czarnoskórzy, rdzenni Amerykanie, Afrykańczycy, Arabowie i inne grupy mniejszościowe)”. Parytetem wymuszana będzie też mniejszościowa obsada kierownictwa wszystkich działów produkcji filmowej od reżyserii, przez muzykę, po charakterystykę i efekty specjalne. „Co najmniej sześć osób niższego szczebla ekipy powinno reprezentować mniejszość rasową lub etniczną”.

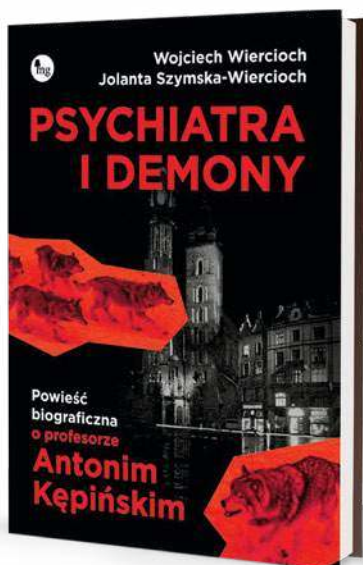
„Kobiety, mniejszości rasowe, osoby LGBTQ+, osoby z niepełnosprawnością fizyczną lub intelektualną, niedosłyszące muszą stanowić co najmniej 30 proc. całej ekipy filmowej”, zapewnia się im też najważniejsze funkcje kierownicze. Opanowana będzie ponadto reklama, dystrybucja i PR. No i wisienka na torcie: główny wątek fabularny musi być związany z mniejszościami w 30 proc. produkcji filmowych.

LGBTQ+ rządzi. Polański wie, co oznacza ten plus.

Portale branżowe uspokajają, że program Mniejszości na Swoim dotyczy jedynie Oscara za najlepszy film oraz, że przez dwa lata jeszcze nie będzie się dyskwalifikować filmów za jego nieprzepraszanie. Ale to tylko zabiegi wizerunkowe. Przemoc ideologiczna została skodyfikowana. Hollywood wzięty przez rewolucjonistów za mordę. Globalna przebudowa wyobraźni człowieka zaplanowana.

Warte

Nie wiedziałem, że Antoni Kępiński był głęboko wierzącym katolikiem. Dla młodych: w czasach komunistycznej okupacji Polski był on Robertem Lewandowskim polskiej psychologii. Uczynił z niej sztukę. Kiedyś powiedział: „O duchowym życiu człowieka więcej niż wybitny filozof, psycholog lub pedagog mogą nam powiedzieć Kohelet, Homer, Dante, Szekspir, Cervantes, Goethe i Proust”. Rozumiał, że humanistyka jest czymś zasadniczo innym niż nauki przyrodnicze, niż przyrodniczość. Naukowe abstrakcje i medyczne klasyfikacje diagno-



styczne mówią o świecie ludzkiej subiektywności o wiele mniej precyzyjnie niż narracja, czyli urefleksyjniona interpretacja pragnień i obaw, faktów i mitów. Wielkie narracje naszej kultury poruszają wyobraźnię i sumienie, odnosząc do rzeczywistości transcendentnej. I on to mówił w PRL. Kto nie poznał tej smutnej pustki i brzydoty, intelektualnej degeneracji ludzi służących bolszewikom, nie zrozumie, jak kosmiczne były to wtedy słowa. Przeczytajcie tę powieść biograficzną o profesorze Antonim Kępińskim. Jest legendą, zmienił polską psychologię. Gdyby choć połowa polskich psychologów miała horyzonty tylko dziesięciokrotnie węższe niż on, mógłbym uznać, że psychologią jest potrzebna, może nawet uznałbym ją za naukę.

„Psychiatria i demony”,

Wojciech Wiercioch, Jolanta Szyska-Wiercioch, wydawnictwo MG, Kraków 2020

I na koniec książka, która jest świadectwem byłego gangstera. Tytuł ma odrobinę mylący, ale podtytuł wyjaśnia wszystko: „Prawdziwa historia życia z nałogiem”. Paweł Cwynar, grypsujący kajdaniarz, potem zawodowy gangster, w wieku 17 lat w więzieniu miał już status recydywisty. Po nawróceniu się był bezdomny, czasami pił wodę z kałuży. Dziś jeździ po więzieniach i opowiada własną historię, spotykając tam swoich kolegów. Píše książki. Walczy o życie wieczne – tak napisałem o Pawle w opisie mojego telewizyjnego programu „Tekieli. Krótki przewodnik po duszy”. A on w książce napisał krótko: „Pierwszy łyk wziąłem, bo miało być źle, a okazało się trudniej”. Alkoholicy nie mają pojęcia, że C_2H_5OH bardzo skutecznie zatruwa mózg i dopiero po kilkunastu miesiącach abstynencji pijący zaczyna znów normalnie postrzegać rzeczywistość. Abstynencja to nie trzeźwość. A trzeźwość nie oznacza, że nie jesteś uzależniony. Jednak Bóg czasami całkowicie uzdrawia serce. Warto prosić.

„Picie w zachwycie”,

Paweł Cwynar, Wydawnictwo Franciszkanów Bratni Zew, Kraków 2020

Robert Tekieli
Polskie Radio



Oczywiście, od tego musi się zacząć każda recenzja i komentarz: co za zbieg okoliczności, co za wycucie chwili! „Debiutant” (tyt. oryginału – „Nowiczok”) ukazał się w Polsce jako pierwszy bodaj przekład na język obcy tydzień po otruciu Aleksieja Nawalnego przez, jak się powszechnie przypuszcza, rosyjskie służby specjalne. Przypadek? Z tym żartobliwym pytaniem na ustach zjawiać będą najnowsza powieść Siergieja Lebediewa telewizyjni publicyści, a idę o zakład, że znajdzie się jakiś gorliwy podporucznik, po jednej lub drugiej stronie dzisiejszej żelaznej kurtyny, który całkiem na serio założy Sprawę Rozpoznania Operacyjnego „Literat”.

Mnie jednak, chociaż pierwszy przyznam, że intryga „Debiutanta” pozwala pochłonąć go w trzy godziny, nie zajmuje aż tak zbieżność nagłówków z końca sierpnia z początkiem kolejnych rozdziałów powieści. Tak, historia o działaniu żołnierzy, agentów z licencją na zabijanie, naukowców pracujących nad stworzeniem trucizny doskonałej wciąga. Podziwiać można konstrukcję fabuły – ścigający i ścigani, filmowa zmiana planów (spośród powieści tego autora najłatwiej chyba przyjdzie zekranizować właśnie „Debiutanta”). Lebediew jakby od niechcenia osiąga mistrzostwo Le Carre’a w ukazywaniu antypatetycznej prawdy o służbach, które popkultura idealizuje i stroi w obcisły T-shirt supermena: to nieprawda, agenci o kwadratowych podbródkach spętani są jak psy rozkazem, deszczem, pechem, próchnicą.

Ale ten sam Lebediew jasno pokazuje, że thrillerowa forma jest tylko zachętą, żartem, wręcz mimikrą, tak przecież bliską sercu służb. Jeśli komuś trzeba mocnego na to dowodu, znajdzie go we wzięciu w nawias nieokreśloności postkomunistycznego kraju, w którym toczy się większość akcji. Podobny Rurytanii, Syldavii i innym

Paraliżująca prawda

Czy to realistyczne, spyta ktoś, zbić na miazgę doświadczenie rosyjskie do tych paru lat, do kombinacji kilku elementów – szkła i kamienia, mrozu, ołowiu, szpiku, spirytu, szpadla i skóry? Nie. Czy jest ono prawdą? Tak

fikcyjnym środkowoeuropejskim kra-
inom z anglosaskich powieści połowy
XX w. Nienazwane państwo wydaje się
to Węgrami, to Czechami, a może Sło-

wenią? Najbardziej przypomina Au-
strię, gdyby naturalnie tanki Armii
Czerwonej zechciały w 1945 dotrzeć
do Innsbrucka i pozostać tam przez
kolejne pół wieku. Równie niedopo-
wiedziana jest republika na obrzeżach
ZSRS, w której doskonalił się w sztuce
przesłuchań jeden z protagonistów:
to mogły być Afganistan, Czeczenia,
Dagestan. Tak naprawdę wątpliwości
nie budzi jeden kraj: źródło akcji, serce
wiru, wieczny bohater Lebediewa
– Rosja.

Rosja, która – jak widzę po kilku
jego powieściach – nie jest przezeń
opisywana, mimo tysięcznych odcieni
losów, niepowtarzalności życiorysów,
w trybie „panoramy ludzkiej”, jak to
zdarzało się tylu wielkim rosyjskim
pisarzom. Autor „Debiutanta”
stosuje skrót, zgęszcza, jakby
z całego ołówka interesował
go tylko grafit: jego Rosja,
skondensowana, sprasowana
z warstw i doświadczeń roku
1919, 1953, 1993, 2018, oka-
zuje się w swojej istocie
mieć doświadczenie za-
dawania przemocy – bez-
względnej, skrajnej i nie
tylko, gdyby uciec się do
żargonu psychoterape-
utów, „nieprzepracowa-
nej”, lecz w ogóle nigdy
nieopowiedzianej, bodaj
w pijanym monologu. Lebie-
diew jest jak anatomopatolog,

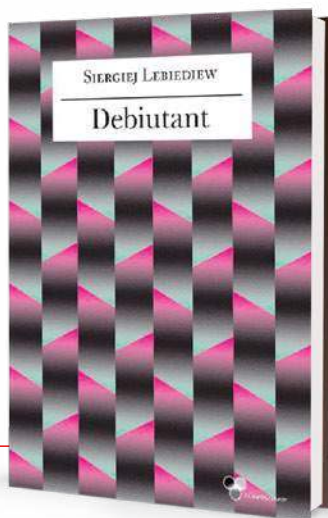


rozdzielający w głębokim wykopie sprasowane szczątki i unoszący je wysoko nad głowę. Nie ma czasu (kto wie, co jest mu sekundnikiem?) na anegdoty o sytych breżniewowskich latach, o grotesce stalinowskiego empiru i dziwności pieriestrojki, które lubimy czytać w tyłu innych powieściach. Zatapiające barki z łagiernikami, skazańcy służący jako „manekiny” do eksperymentów w laboratoriach, kontenery, w jakich na całym świecie drzemią znudzeni dozorca, cuchnące ropą i krwią przesłuchań – mówi: oto, co przemilczała Rosja, oto, jakie jest źródło jej złych snów. Czy to realistyczne, spyta ktoś, zbić na miazgę doświadczenie rosyjskie do tych paru lat, do kombinacji kilku elementów – szkła i kamienia, mrozu, ołowiu, szpiku, spirytu, szpadla i skóry? Nie. Czy jest ono prawdą? Tak.

Gdyby pisał tylko o tym, tylko to – byłby pisarzem politycznym, za jakiego ma go wielu. Tak nie jest. Popularność Lebediewa, która dopiero nadchodzi, nie ma też wiele wspólnego ze „szlachetnym anachronizmem formy” albo przekonań, który tyłu czytelników nastęrczał na przykład śp. Raspailowi. W moim głębokim przekonaniu o wyjątkowości prozy rosyjskiego pisarza decyduje, na równi z jego rozumieniem dziejów Rosji, jego nigdzie nieodeklarowany wprost, dedukowany przeze mnie z zapamiętałej lektury jego prozy, światopogląd metafizyczny: przekonanie o realności świata i możliwości dociekania w nim sensów.

Oba te przekonania należą dziś do rzadkości. Wiele się pisze o „wirtualizacji” rzeczywistości, o tym, że najcenniejszym doświadczeniem (i ostatnim trudnym do zafalszowania przez efekty cyfrowe) może się stać dotyk. Ale to nie cyfrowość tylko zawiniła. Przed tym, że „Z drzew, polnych kamieni, nawet cytryn na stole/ Uciekła materialność i widmo ich/ Okazywało się pustką, dymem na kliszy”, przestrzegał już Miłosz. Lebediew jakby doświadczył tego (pewnie doświadczył, jak my wszyscy) i jakby zażył, wzorem Miłosza, kuracji w La Combe i w Mittelbergheim.

Proszę posłuchać: „Budynek był drewniany. Można było jednak odnieść



Siergiej Lebediew, „Debiutant”, tłum. Grzegorz Szymczak, wydawnictwo Claroscuro, 2020

wrażenie, że drewno skamieniało, jak to bywa z obudową w kopalniach soli. Ciemna konstrukcja – jakby w suchych balach wciąż drzemały gorzkie, chłodne soki tej skalistej ziemi. Kilka jabłoni rosnących na wspinającym się pod górę zbocz, które zdążyły zdziczeć, utracić smak owoców i cechy właściwej odmiany”. I jeszcze: „Chłopiec szarpnął nogą i wkręty wiązania wyskoczyły z niestabilnych gniazd, bryzgając rdzawym drewnianym próchnem”. I może jeszcze tylko to: „Niczym ogień błyszczały ornamenty złotego szycia. Złotem mieniły się guziki. Złotem, szkarłatem, stalą i srebrem – wzory orderów, wykonane z krwistoczerwonej emalii odznaczenia i gwiazdy, szarostalowe sierpy i młoty, pługi i bagnety, żołnierze z karabinami, złote kłosy i liście, złote litery: LENIN”.

To nic takiego: to opis budynku w górach, kraksa na nartach starego typu, sowiecki mundur galowy. A jednak słowa, które składa Lebediew, nie mnożąc ponad potrzebę (choć i nie żałując) przymiotników, nie wznosząc ryzykownych konstrukcji, mają wagę malowania, stwarzania: nagle widzimy ściany ze stwardniałych, wygarbowanych górskim powietrzem bali, landrynkową barwność emalii, żywe próchno nart pod czerwonym lakierem. Z bardzo dawnych czasów (trochę miłoszowych, a trochę home-

ryckich) Lebediew potrafi przywołać godność poety, który nie bawi się w ćwiczenia stylistyczne, nie wypełnia fabuły modułami, wymiennymi, jakby były to elementy informatycznego kodu czy kostki lego – z trudem, jakby naprawdę belkę dźwigał, na serio odmalowuje, szczególnie po szczególe, świat, któremu w nagrodę przywrócona jest substancjalność: nagle czujemy „kamienisty chłód strumienia i zgniliznę dużych, długo obumierających bukowych liści”.

I więcej jeszcze: jest to świat pełen znaczeń, symetrii i koincydencji, które można dostrzec, które wskazują wymowę działań, własnych i wcześniejszych. Takie „znaki” w powieściach są od wielu lat w złym tonie, bo ich nadużyto: najpierw soliła je obficie powieść dydaktyczna, podsuwając pod nos powiększony, rozdęty moral, później autorów scenariuszy cieszyło wieszanie na ścianie strzelby, która w końcu wypali, wreszcie znaczące, ukryte w prologu drobiazgi, które zabrzmią echem w finale, upodobały sobie autorki harlequinów. Znaków i powtórzeń (tyle że rozumianych jako figlik, który można sprokurować z wykorzystaniem kilku luster) bronił jeden Nabokow.

Lebediew próbuje czegoś innego, trudniejszego: znak może być nieefektowny i przelotny, ot, ciąg kontenerów w długim składzie towarowym, losy duchownych z założoną teczką, naszyte na ramieniu munduru logo służb medycznych, banalna śmierć laborantki. Dla osób, które zaczęły (na szczególnie wątpić w swoją niewinność (co, przynajmniej na kartach „Debiutanta”, może się zdarzyć nawet zawodowemu likwidatorowi), znaki te są jak złote gwoździe, łączące różne miejsca i czasy, ukazujące logikę zdarzeń. „I nagle czuję, że to niemożliwe./ Że to tylko zła strona jakiegoś gobelinu/ I że za nią jest druga, wyjaśniająca wszystko” – odzywa się znów pacjent z La Combe. I bohaterowie najnowszej powieści Lebediewa trafiają na tę drugą stronę gobelinu, odkrywając zarazem, że – jak uczył klasy – „Na pytanie »kto winien« odpowiedź jest zwykle pierwsza osoba liczby pojedynczej”.

Wojciech Stanisławski

Dzień, który nigdy się nie skończył 17 września 1939 r.

We wrześniu 1939 r., w momencie ataku III Rzeszy na Polskę, rząd sowiecki zachował pozory neutralności, przeprowadzając jednak częściową mobilizację.

Działania te wynikały z planów Józefa Stalina, który zamierzał zrealizować zapisy tajnej części paktu Ribbentrop–Mołotow, podpisanego 23 sierpnia 1939 r. Zgodnie ze wstępnymi założeniami granice podziału stref wpływów na ziemiach polskich wyznaczono w oparciu o rzeki Narew, Wisłę i San

Decyzja władz sowieckich dotycząca inwazji Armii Czerwonej na Polskę została podjęta w pierwszych dniach września 1939 r., ale dzień 17 września nie był od początku planowany jako data rozpoczęcia działań. Pierwotny plan władz sowieckich zakładał bowiem wcześniejsze wkroczenie do Polski oddziałów Armii Czerwonej. Zwłoka sowiecka wynikała z trudności z przeprowadzeniem mobilizacji, zaskoczenia szybkością niemieckiego natarcia, niezakończonym konfliktem z Japonią oraz oczekiwaniem na reakcję sojuszników Polski. Dopiero otrzymane 13 września informacje o braku czynnej reakcji Wielkiej Brytanii i Francji oraz możliwość podpisania rozejmu japońsko-sowieckiego zdecydowały o podjęciu decyzji o interwencji. 16 września w godzinach wieczornych Józef Stalin spotkał się ze swoimi najbliższymi współpracownikami. W towarzystwie m.in. Wiaczesława Mołotowa, Ławrientija Berii i Klimenta Woroszyłowa podjął ostatecznie decyzje związane z nadchodzącymi wydarzeniami. Spotkanie skończyło się o godz. 21.50. Następnie już 17 września, około godz. 2.00, Stalin wraz z Mołotowem i Woroszyłowem spotkał się na Kremlu z ambasadorem III Rzeszy Friedrichem-Wernerem von der Schulenburgiem i poinformował



Sowiecki samochód pancerny przejeżdżający przez polską wieś. We wrześniu 1939 r. Armia Czerwona posiadała na uzbrojeniu największą liczbę pojazdów pancernych wśród wszystkich państw. Zbiory MIŁWS

go, że już za kilka godzin Armia Czerwona przekroczy granicę z Polską.

Do 17 września 1939 r. sytuacja militarna Polski była niekorzystna, ale nie całkowicie beznadziejna. Mimo że oddziały Wehrmachtu zajęły znaczną część kraju i rozbiły około 45 proc. sił Wojska Polskiego, to jednak wojna nie była zakończona. Tempo niemieckiego

ataku spadło, widoczny był wpływ strat i zużycia sprzętu. Kończyły się zapasy amunicji i paliwa. Wehrmachtowi nie udało się zdobyć z marszu Warszawy, trwała bitwa nad Bzurą, a oddziały WP kierowały się w stronę południowo-wschodnich rejonów kraju. Naczelnym wodzem marszałek Edward Śmigły-Rydz liczył, że zgodnie z treścią porozumień

z Francją i Wielką Brytanią 15 dni od ich mobilizacji rozpocznie się ofensywa na froncie zachodnim. Pojawienie się przedstawiciela armii francuskiej, który przekazał, że ofensywa nastąpi jednak później, nie popsuła dobrych nastrojów. Jak wspominał płk Stanisław Kopański, w Sztabie Naczelnego Wodza wieczorem 16 września panował nastrój odprężenia. Uznawano bowiem, że najgorszy, krytyczny okres walk z Niemcami właśnie minął. Oficerowie postanowili więc uczcić ten moment butelką wina. Następne godziny pokazały, jak bardzo się mylili.

Tragiczny dla Polski dzień 17 września rozpoczął się pod względem politycznym w nocy o godz. 3.00 czasu moskiewskiego, kiedy to ambasador RP w Moskwie Wacław Grzybowski został pilnie wezwany do Komisarjatu Spraw Zagranicznych ZSRS. Na miejscu został zapoznany z notą informującą o działaniach Armii Czerwonej przeciwko Polsce i jej uzasadnieniem. Mimo protestów składanych przez ambasadora i odmowę przyjęcia dokumentu Armia Czerwona, łamiąc wiążące ZSRS i Polskę umowy międzynarodowe, przystąpiła do realizacji zadań wyznaczonych przez Stalina. Po powrocie do ambasady o godz. 5.00 Grzybowski wysłał do polskiego MSZ depeszę informującą o zaistniałej sytuacji, która została jednak dostarczona do ministra spraw zagranicznych Józefa Becka dopiero późnym przedpołudniem.

17 września 1939 r. przypadała niedziela. Poranek był rześki, od przedpołudnia aż do końca dnia pogoda była bardzo dobra. W godzinach porannych, jeszcze przed wschodem słońca, jednostki Armii Czerwonej przekroczyły granicę sowiecko-polską. Oddziały sowieckie składały się z jednostek Frontu Białoruskiego oraz Frontu Ukraińskiego liczących łącznie około 600 tys. żołnierzy, 4,7 tys. czołgów i 5 tys. armat. Ich zadaniem było rozbić napotkanych oddziałów Wojska Polskiego oraz dotarcie na linię rzek: Pisy, Narwi, Wisły i Sanu. Za oddziałami Armii Czerwonej przemieszczały się oddziały NKWD mające zabezpieczyć zdobyte obszary oraz aresztować osoby,

które mogłyby prowadzić działalność antysowiecką.

W momencie sowieckiej inwazji polska granica z ZSRS była obsadzona przez uszczuplone w wyniku mobilizacji oraz tworzenia dywizji rezerwowych oddziały Korpusu Ochrony Pogranicza. Siły te liczyły łącznie około 12 tys. żołnierzy, którzy byli ulokowani wzdłuż granicy liczącej ponad 1,4 tys. km. Na terenie wschodnich województw znajdowały się także ośrodki zapasowe Wojska Polskiego oraz oddziały, które znalazły się na tych obszarach w związku z wycofywaniem się przed wojskami niemieckimi.

Część oddziałów KOP stawiała krótkotrwały opór, a inne wobec przewagi wroga poddały się, nie podejmując

Agresja sowiecka była zaskoczeniem dla polskich władz wojskowych i cywilnych. Meldunki do Sztabu Naczelnego Wodza przesyłane od godz. 4.45 były niejasne, niejednokrotnie sprzeczne i pogłębiały chaos informacyjny

walki. Dezorientację wywoływało zachowanie się części oddziałów sowieckich, które przekraczając granicę, informowały, że mają za zadanie walczyć z Niemcami. Z uwagi na tę postawę oraz brak rozkazów wielu oficerów nie wiedziało, jak zareagować, i nie podejmowało walki. Niektórym oddziałom polskim udało się zaś wycofać znad granicy i niejednokrotnie podjąć próby opóźniania natarcia Armii Czerwonej. Mimo braków organizacyjnych, chaosu w dowodzeniu, niedoborów w zaopatrzeniu, wyposażeniu i awariach sprzętu oddziały sowieckie nie mogły jednak zostać powstrzymane przez oddziały KOP czy Wojska Polskiego, mimo przypadków determinacji i od-

wagi polskich żołnierzy. Z uwagi na miażdżącą przewagę Armia Czerwona przez cały 17 września zajęła przygraniczne ziemie polskie na głębokość od kilkunastu do prawie 100 km.

Wzięci do niewoli po walce lub napotkani przez czerwonoarmistów polscy żołnierze i oficerowie byli rozbijani, przesłuchiwanii oraz poddawani selekcji. Większość została zwolniona, inni zaś podobnie jak oficerowie zostali przetransportowani do obozów. Niejednokrotnie zdarzały się także przypadki szyskan lub zabijania jeńców.

W wielu miejscach oddziały sowieckie były witane przez miejscową ludność, głównie przedstawicieli mniejszości narodowych, ujawniających wrogię nastawienie do Polski i uznających agresję ZSRS za wyzwolenie. Niejednokrotnie ludność była jednak najzwyczajniej zdeorientowana co do rzeczywistego celu działań Armii Czerwonej i gromadziła się na trasie marszu głównie po to, aby przyrzeć się maszerującym ze wschodu oddziałom. W niektórych miastach i miejscowościach, takich jak Równe czy Tarnopol, niedoinformowani miejscowi urzędnicy wraz z mieszkańcami witali oddziały sowieckie. Czerwonoarmiści swoją postawą szybko wyprowadzali ich z błędu, tak jak np. zdarzyło się w Złoczowie, gdzie burmistrz witający sowiecką kawalerię został pobity, aresztowany i rozstrzelany. Od godzin porannych 17 września, wraz z rozpo-

wszechnianiem się informacji o agresji Armii Czerwonej, na wschodnich ziemiach polskich dochodziło także do ataków dywersantów, lokalnych komunistów, kryminalistów oraz nastawionych nacjonalistycznie przedstawicieli mniejszości narodowych na urzędy, posterunki policji, dwory i wioski zamieszkałe przez Polaków. Wkroczenie oddziałów sowieckich i załamanie się systemu polskiej państwowości uwiocodocniło konflikty etniczne i społeczne, występujące na tych obszarach w okresie międzywojennym.

Agresja sowiecka była zaskoczeniem dla polskich władz wojskowych i cywilnych. Meldunki do Sztabu Naczelnego Wodza, który po ewakuacji z Warszawy

oraz czasowym pobycie w Brześciu i Młynach znajdował się w Kolumnach, przesyłane od godz. 4.45 były niejasne, niejednokrotnie sprzeczne i pogłębiały chaos informacyjny. Problemy z łącznością i niepełność posiadanych informacji skutkowały brakiem jednoznacznej reakcji władz polskich na agresję sowiecką aż do godzin popołudniowych. Mimo początkowego nastawienia wskazującego na potrzebę podjęcia walki zajęto się analizowaniem celu działań Armii Czerwonej, a ostatecznie właściwie zrezygnowano z prowadzenia realnych działań obronnych. W tym samym czasie oddziały sowieckie masowo przekraczały granicę na całej jej długości, a czerwonoarmiści niszczyli i usuwali polskie słupy graniczne. Jak wspominał w swoich pamiętnikach sowiecki oficer Andriej Jeriomienko, jeden z tych słupów, o numerze 777, znajdujący się na wysokości Nowogródka, wykopano, załadowano na samochód i zawieszono na zachód, aby ustawić go tam, gdzie zostanie ustanowiona nowa granica.

W tym samym czasie, o godz. 6.00, obudzono ministra Becka, informując go o agresji sowieckiej. Beck skontaktował się z Naczelnym Wodzem i po potwierdzeniu tej informacji sporządził depechę rozesłaną do polskich placówek dyplomatycznych informującą o działaniach ZSRS.

Na podstawie tych informacji o godz. 8.45 Polska Agencja Telegraficzna, rządowa agencja prasowa, przekazała opinii publicznej w kraju i za granicą pierwsze szkiełkowe informacje o agresji sowieckiej. W tym samym czasie mieszkańcy ZSRS nie wiedzieli o agresji. Dopiero wczesnym przedpołudniem pojawiły się wydane drogą radiową komunikaty informujące, że Armia Czerwona interweniowała w Polsce. Oficjalnie ich zadaniem była ochrona ludności ukraińskiej i białoruskiej. W ciągu dnia do Moskwy dotarli przedstawiciele polskiego przemysłu zbrojeniowego, którzy mieli negocjować z władzami sowieckimi warunki dostaw surowców. Plan ten, powstały w pierwszych dniach września z ini-



Prezentowana na wystawie głównej w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku tablica ze zniszczonego słupa granicznego, wydobytą z rzeki Zbrucz

Fot. Zbory MNiWS

cjatywy sowieckiej, był elementem gry politycznej prowadzonej przez ZSRS. 17 września misja polskich urzędników okazała się jednak całkowicie bezprzedmiotowa.

Około południa Rydz-Śmigły odbył konferencję z premierem Felicjanem Słojem Składkowskim i Beckiem, a następnie odbył naradę z prezydentem Ignacym Mościckim. Po zakończeniu rozmów, przed godz. 14.00, władze RP oficjalnie potwierdziły informacje o agresji Armii Czerwonej. O godz. 16.00 odbyła się kolejna tego dnia narada. Podjęte zostały wówczas ostateczne decyzje o opuszczeniu terytorium Polski i kontynuowaniu wojny we Francji. Za pośrednictwem radiostacji Sztabu Naczelnego Wodza nadano także dyrektywę dla oddziałów Wojska Polskiego dotyczącą stosunku wobec Armii Czerwonej, nakazującej nie prowadzić z nią walki oprócz wyjątkowych sytuacji oraz wycofywać się do Rumunii i na Węgry. Jej założenia wynikały z tragicznej sytuacji

militarnej Polski, która nie była w stanie jednocześnie walczyć na dwóch frontach przeciw III Rzeszy i ZSRS. Z uwagi jednak na kwestie polityczne i wydzwięk międzynarodowy dyrektywa była poważnym błędem, który dodatkowo pogorszył sytuację Polski i ułatwił działania oddziałom sowieckim.

W nocy z 17 na 18 września prezydent, premier wraz z Radą Ministrów, Naczelnny Wódz wraz ze swoimi kancelariami i sztabami oraz tysiące uciekinierów przekroczyli granicę polsko-rumuńską. W opinii wielu osób to właśnie wówczas na moście granicznym na rzece Czere-mosz Polska ponownie utraciła niepodległość. W tym samym czasie na Kremlu trwało spotkanie Józefa Stalina z Władysławem Mołotowem i Anastasem Mikojańem. Było to jego pierwsze tego dnia oficjalne spotkanie, podczas którego zapoznawał się zapewne z sytuacją w Polsce, czytał raporty dotyczące Armii Czerwonej oraz analizował międzynarodową reakcję na swoje decyzje.

Wkroczenie oddziałów Armii Czerwonej na terytorium Polski miało istotne znaczenie dla losów kraju, który od 1 września prowadził działania wojenne przeciw III Rzeszy. Interwencja ZSRS spowodowała ewakuację rządu RP i najwyższych władz wojskowych, uniemożliwiła reorganizację wojsk, zdeorganizowała obronę oraz ostatecznie przyczyniła się do upadku II RP. Dzień 17 września 1939 r. dla ponad połowy obszaru przedwojennej Polski oraz ponad 13 mln mieszkańców tych terenów był początkiem sowieckiej okupacji. Działania władz Związku Sowieckiego i masowy terror skutkowały trwałymi zmianami politycznymi, społeczno-gospodarczymi oraz demograficznymi. Dla wschodnich ziem polskich oraz wielu milionów polskich obywateli, a współcześnie ich potomków, w dalszym ciągu trwa 17 września 1939 r. – dzień, który nigdy się nie skończył.

Wojciech Łukaszun,
dr Dmitriy Panto
Muzeum II Wojny Światowej
w Gdańsku

Zdrajca czy święty?

Dlaczego proces beatyfikacyjny polsko-węgierskiego bohatera wzbudza dziś tak wiele emocji na Słowacji? Czy może on zostać patronem pojednania między Węgrami a Słowakami?



O. PAWEŁ CEBULA
FRANCISZKANIN

Trzy lata temu, 16 września 2017 r., w Dolnych Obdokovcach na Słowacji odbył się pochówek zmarłego 60 lat wcześniej węgierskiego hrabiego Jánosa Esterházygo. Zakończył on swe ziemskie życie 8 marca 1957 r. w ciężkim więzieniu komunistycznym w Mírovie na Morawach. Jego ciało zostało skremowane i zakopane w bezimiennej zbiorowej mogile więźniów politycznych w dzielnicy Motol w Pradze. Rodzinie nigdy nie powiedziano, gdzie je pochowano. Dopiero pół wieku później zostało odnalezione dzięki ówczesnemu szefowi czeskiej dyplomacji Karlowi Schwarzenbergowi, który nazwał Esterházygo „najuczciwszym politykiem Europy Środkowej”. 25 marca 2019 r. abp Marek Jędraszewski zainicjował w Krakowie proces beatyfikacyjny węgierskiego arystokraty. Mimo to na Słowacji jego osoba do dziś wywołuje wiele kontrowersji, a niektórzy wprost uważają go za zdrajcę. Dlaczego?

MIEDZYWOJNIE: PRZYWÓDCA WĘGRÓW W CZECHOSŁOWACJI

János Esterházy urodził się 14 marca 1901 r. w leżącej dziś na Słowacji, a wtedy w Austro-Węgrzech wiosce Nyitraújlak (Velké Zálužie). Pochodził z rodziny polsko-węgierskiej, wywodzącej się z obu stron ze znamienitych rodów szlacheckich. Jego ojciec János Mihály Esterházy był oficerem monarchii austro-węgierskiej, matka zaś, Elżbieta Tarnowska, córką Stanisława Tarnowskiego, rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wychował się w dwóch kulturach, mówiąc od dziecka biegle po polsku i po węgiersku. Na łożu śmierci (w 1905 r.) ojciec pożegnał go słowami: „Bądź zawsze dobrym Węgrem!”. Matka, choć Polka, starała się wiernie wypełnić testament męża, wychowując trójkę dzieci (Jánosa i jego siostry: Lujzę i Márię) i zaszczepiając im głęboką wiarę katolicką.



Proces beatyfikacyjny polsko-węgierskiego arystokraty zainicjował 25 marca 2019 r. abp Marek Jędraszewski

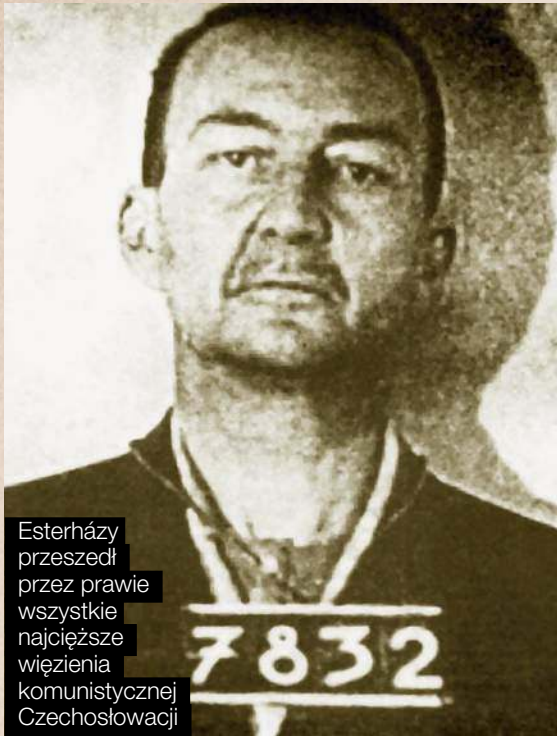
Po I wojnie światowej, w następstwie traktatu pokojowego z Trianon, majątek Esterházych, wraz z północną częścią ziem Korony św. Stefana oraz milionem Węgrów, został przyłączony do nowo powstałego państwa czeskosłowackiego. Dobra rodziny zostały upaństwowione. Na skutek reformy rolnej i konfiskaty ziem rodzina Esterházych, podobnie jak wiele innych rodów, wpadła w finansowe tarapaty. János jako niespełna 20-latek i jedyny mężczyzna został głową rodziny. Podjął decyzję, by nie przeprowadzać się do posiadłości Esterházych pozostałych na Węgrzech, lecz pozostać na ojcowiznie na terytorium Czechosłowacji. W 1924 r. poślubił hrabinę Lívíę Serényi, z którą mieli dwoje dzieci: Jánosa i żyjącą do dziś Alicę.

Już w młodym wieku rozpoczął działalność polityczną, wstępując w szeregi węgierskiej Krajowej Partii Chrześcijańsko-Socjalistycznej, założonej przez bp. Ágostona Fischer-Colbriego z Koszyc w duchu katolickiej nauki społecznej.

W 1932 r. został przewodniczącym ugrupowania. Stał się tym samym liderem madziarskiej mniejszości w Czechosłowacji. W swej mowie programowej mówił: „Bez pytania nas o zdanie włączono nas w ramy obcego państwa [...] W sposób uprawniony oczekujemy więc, by państwa sukcesorskie, tak jak same się do tego zobowiązały w traktacie pokojowym, w stu procentach wypełniły swe obietnice i dały przysługujące nam prawa”. Problem polegał na tym, że w okresie międzywojennym władze Czechosłowacji prowadziły politykę demadziaryzacyjną, ograniczając prawa obywatelskie tamtejszych Węgrów, a on przeciw temu odważnie protestował.

Esterházy, prowadząc działalność opozycyjną, czynił to w ramach obowiązującego prawa. Powołując się na prawo narodów do samostanowienia oraz na konstytucję Czechosłowacji, domagał się poszanowania prawa węgierskiej mniejszości, pełnej autonomii Słowacji i Rusi Zakarpackiej, a w kwestii narodowościowej, religijnej i kulturalnej zapewnienia środków do rozwoju. Kierował się przy tym zasadami zapisanymi w papieskich encyklikach społecznych „Rerum Novarum” Leona XIII i „Quadragesimo anno” Piusa XI. Utrzymywał dobre kontakty ze słowackimi biskupami katolickimi, konsultując z nimi wiele spraw. We wszystkim przyświecały mu dwa naczelne pryncypia: chrześcijaństwo i patriotyzm.

W 1935 r. został wybrany do parlamentu w Pradze, gdzie apelował o poszanowanie praw „dawnych mieszkańców” Słowacji (Węgrów, Słowaków, Niemców i Rusinów). Prezydent Czechosłowacji Edvard Beneš proponował mu zostanie ministrem bez teki, jednak Esterházy odrzucił tę ofertę, domagając się, by rząd w Pradze najpierw sam zasłużył sobie na zaufanie mniejszości węgierskiej przez odpowiednie jej traktowanie. W 1936 r. został przewodniczącym nowo powstałej Zjednoczonej Partii Węgierskiej (EMP), jednoczącej siły polityczne tej społeczności w Czechosłowacji.



WOJNA: POMOC POLAKOM, ŻYDOM, CZECHOM, SŁOWAKOM

Po układzie monachijskim i tzw. pierwszym arbitrażu wiedeńskim w 1938 r. Węgrom przyznano ziemie Słowacji południowej z Koszycami jako największym miastem. Władze w Budapeszcie na czele z regentem Miklősem Horthym zaproponowały wówczas Esterházyemu miejsce w węgierskim parlamencie i posadę ministra bez teki. On jednak odmówił. Ogłosił, iż pozostaje na Słowacji w geście solidarności z pozostającymi tam 70 tys. swych rodaków. Jednocześnie od rządu w Budapeszcie głośno domagał się poszanowania praw Słowaków, którzy z kolei znaleźli się na terytorium państwa węgierskiego.

W 1939 r. już w nowo powstałej Słowacji został jako jedyny Węgier wybrany do pierwszego parlamentu (notabene z listy Słowackiej Partii Ludowej, założonej przez ks. Andreja Hlinkę). Stało się to dwa tygodnie po wybuchu II wojny światowej, która spowodowała olbrzymi napływ polskich uchodźców. Esterházy zaangażował się w niesienie im pomocy. Osobiście swoim samochodem przetrząsnął na Zachód gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Uratował przed nazistami wielu czeskich i słowa-

ckich patriotów, np. zorganizował przerzut do Wielkiej Brytanii przyszłego przywódcy słowackiego powstania narodowego – gen. Rudolfa Viesta. Według świadectwa głównego rabinu Koszyc Lázára Kleimanna uratował od zagłady 300 Żydów. Często publicznie powtarzał: „Naszym symbolem jest krzyż, nie swastyka”. 15 maja 1942 r. jako jedyny poseł w parlamencie nie zagłosował za ustawą o deportacji Żydów. Wyjaśniając pisemnie swój sprzeciw, powołał się na swą katolicką wiarę, nazywając ustawę „bezbożną i niehumanitarną”.

Działania te spowodowały, że został poddany stałej obserwacji przez słowacką policję. Kilka razy jego posiadłość w Nyitraújlak przeszukiwali Niemcy. W 1943 r. na skutek oskarżenia o obrazę słowackiego państwa parlament w Bratysławie pozbawił go mandatu poselskiego i immunitetu. Sąd pierwszej instancji skazał go

na pół roku więzienia.

Gdy w marcu 1944 r. Trzecia Rzesza rozpoczęła okupację Węgier, Esterházy zaprotestował przeciw temu w memorandum dostarczonemu zachodnim aliantom. Gdy Niemcy przekazali władzę w Budapeszcie węgierskim faszystom, tzw. strzałokrzyżowcom, ci ostatni chcieli zmusić Esterházyego do współpracy. On jednak stanowczo odmówił, za co został aresztowany w grudniu 1944 r. Wypuszczony na wolność, powrócił do Bratysławy, gdzie przez kilka miesięcy ukrywał się, ponieważ szukało go Gestapo. Mógł zbiec na Zachód, jednak wybrał pozostanie na ojczystej ziemi, nie chcąc opuszczać swych rodaków.

Pod koniec wojny, po wkroczeniu armii sowieckiej, rodzinna posiadłość Esterházych w Újlak została splądrowana i upaństwowiona. Jego rodzinę ocaliła Słowaczka – sąsiadka Verona Moravčíková, która schowała wszystkich w piwnicy. W Bratysławie sowieccy żołnierze na ulicy przypadkiem aresztowali Jánoša, ale nie zdając sobie sprawy, z kim mają do czynienia, po 12 dniach go wypuścili. Pod wpływem tego zdarzenia, ale również w celu pertraktacji oraz złożenia protestu przeciw poli-

tyce czechosłowackich władz wobec tamtejszych Węgrov, Esterházy udał się na spotkanie z Gustávm Husákiem, komunistycznym pełnomocnikiem ds. wewnętrznych nowego rządu. Ten jednak natychmiast go aresztował i przekazał sowieckiemu NKWD.

PO WOJNIE: WIEZIEN POLITYCZNY, MĘCZENNIK KOMUNIZMU

W lipcu 1945 r. Esterházy wraz z innymi węgierskimi działaczami został przewieziony do Moskwy. W więzieniu na Łubiance przez rok był przesłuchiwany i torturowany. W wyniku sfigowanego procesu został skazany na 10 lat obozów pracy na Syberii. Jeden z punktów oskarżenia mówił o sianiu przez niego „kłamstwa katyńskiego” (domagał się bowiem ujawnienia prawdy, iż polskich oficerów wziętych do niewoli w 1939 r. wymordowali Sowiet). Na zesłaniu, w nieludzkich warunkach, zachorował na gruźlicę i pylicę płuc. Był to okres, gdy walczył o przeżycie.

W międzyczasie, 16 września 1947 r., Słowacki Trybunał Narodowy zaocznie skazał go na karę śmierci przez powieszenie. W akcie oskarżenia widniały fałszywe zarzuty zdrady państwa oraz „wysługiwanie się faszyzmowi”. W celu wykonania wyroku rząd Czechosłowacji wystąpił do ZSRS o dostarczenie skazańca. By przetransportować więźnia, najpierw władze Gułagu musiały go podleczyć, inaczej nie przeżyłby drogi. W kwietniu 1949 r. dotarł do Czechosłowacji. Dzięki usilnym staraniom bliskich, przyjaciół oraz osób, które uratował, władze zawiesiły wykonanie egzekucji. Później udało się uzyskać „akt łaski” prezydenta Klementa Gottwalda: zamiarę kary śmierci na dożywocie. Ułaskawienie otworzyło nowy etap życia Esterházygo, który wiódł przez prawie wszystkie najcięższe więzienia komunistycznej Czechosłowacji.

Wszelkie próby o amnestię były odrzucane. Dlaczego? „Skazany nie wykazuje oznak poprawy. Resocjalizacja nie przyniosła oczekiwanych rezultatów”. W aktach zanotowano również, że więzień nieustannie wykazuje „przy-

wiązanie do swoich dawnych, głęboko zakorzenionych poglądów”. Oprawcom chodziło zapewne o jego niezłomną wiarę katolicką. Zmarł w więzieniu o zastrzonym rygorze w Mírovie.

PO ŚMIERCI: PROCES BEATYFIKACYJNY

Dlaczego rozpoczął się proces beatyfikacyjny Jánośa Esterházygo? Wszystkie świadectwa osób, które go blisko znały, mówiły o jego niewzruszonej

W więzieniu na Łubiance przez rok był przesłuchiwany i torturowany. Jeden z punktów oskarżenia mówił o sianiu przez niego „kłamstwa katyńskiego” – domagał się bowiem ujawnienia prawdy, iż polskich oficerów wziętych do niewoli w 1939 r. wymordowali Sowiet

wierze i kierowaniu się w życiu osobistym i publicznym zasadami Ewangelii. Najbardziej przejmujące wrażenie robią wspomnienia o nim z okresu jego uwięzienia w latach 1945–1957. Wylania się z nich obraz człowieka, który przyjmuje najcięższe nawet doświadczenia ze spokojem ducha, wynikającym z poddania się woli Boga i zaufania. Ofiarował swe cierpienia w intencji wielu osób, również swych oprawców, którym przebaczał.

Wielce wymowne są słowa z jego listu do starszej siostry Lujzy, pisane po powrocie z Syberii w bratysławskiej klinice epidemiologicznej: „Pod koniec wojny, mniej więcej wtedy, gdy rozpoczęło się oblężenie Budapesztu, zacząłem się modlić, ażeby dobry Bóg pozwolił, bym za cenę cierpień i niedostatków oczyszczony stał się godnym Go naśladować. Ponieważ o to prosiłem, o to się modliłem, kiedy zabrali mnie

Rosjanie, a także później, byłem całkowicie spokojny – a gdy już czulem, iż moja sytuacja jest bardzo trudna – po prostu powiedziałem sobie, że nie wolno poddawać się zwątpieniu, lecz trzeba się cieszyć, ponieważ Pan Jezus wysłuchał mojej prośby, bym mógł Go naśladować”.

Bardzo wiele świadectw o niezłomnej postawie Esterházygo złożyli Słowacy, którzy byli jego współwięźniami. Rektor seminarium w Nitrze ks. Rudolf Bošňák wspominał: „Jego postawa była wzorem dla nas wszystkich. Wewnętrznie w sposób tak bardzo zrównoważony znosił uwięzienie, jakby był nie w więzieniu, ale gdzieś w domu. Wewnętrznie on był człowiekiem wolnym, potrafił wznosić się ponad wszystko, co go otaczało, a zawdzięczał to swej wierze, głębokiej wierze w Boga”. Z kolei redemptorysta o. Ján Mastiliák mówił: „My, którzy mogliśmy osobiście poznać Jánośa Esterházygo oraz darzyć go szcunkiem, możemy zaświadczyć, że on zakończył swoje życie i odszedł z tego świata w opinii świętości”. Do rangi symbolu urasta fakt, że Esterházy zmarł na rękach greckokatolickiego biskupa słowackiego bł. Vasilá Hopki.

W komunistycznej Czechosłowacji traktowany był jak zdrajca. Po upadku komunizmu powoli zaczyna się zmieniać nastawienie do niego, zarówno w Czechach, jak na Słowacji, choć nadal jego postać wzbudza wiele kontrowersji. Coraz częściej pozytywnie o jego postawie wypowiadają się słowaccy działacze i politycy, co jeszcze niedawno było nie do pomyślenia, np. byli liderzy chadecji František Mikloško i Ján Čarnogurský czy była ambasador przy Stolicy Apostolskiej Dagmar Babčanová. Ta zmiana nastawienia wynika z rosnącej wiedzy na temat Jánośa Esterházygo, poznawania faktów z jego życia i zrozumienia jego heroicznej postawy w świetle Ewangelii. Miejmy nadzieję, że stanie się on patronem pojednania słowacko-węgierskiego i ocalenia całej Grupy Wyszehradzkiej.

Autor jest postulatorem procesu beatyfikacyjnego Śługi Bożego Jánośa Esterházygo

Tarcze chronią bezpieczeństwo milionów rodzin

*Jakie efekty przyniosły tarcze antykryzysowe oraz jakie mamy perspektywy po pandemii – mówił **Paweł Borys**, prezes Polskiego Funduszu Rozwoju, w rozmowie z Michałem Karnowskim i Maciejem Wošką („Gazeta Bankowa”) podczas Forum Ekonomicznego w Karpaczu*

Kryzys covidowy, ale też sama pandemia wywróciły nasz świat. Czy zdaniem pana prezesa można mówić o pęknięciu w fundamentach tego świata, który znamy? Czy świat wyjdzie z tego kryzysu zupełnie inny?

Paweł Borys: Świat się zmieni. Pewne procesy podczas pandemii dramatycznie przyspieszyły i unaocznily się pewne napięcia. Widzimy wyraźnie już konfrontacje, a właściwie można powiedzieć – zimną wojnę technologiczną Chin ze Stanami Zjednoczonymi, w Europie pojawiły się wyraźnie pęknięcia – to brexit, ale też pretensje Włochów o spóźnioną reakcję nawołanie o pomoc. Świat zmierza w kierunku podziału na duże bloki, zwłaszcza wokół Chin i USA. Europa próbuje mieć samodzielną pozycję, choć wojnę technologiczną już raczej przegrała. A my w tym trudnym otoczeniu musimy szukać swoich szans rozwojowych oraz oczywiście szczególnie dbać o bezpieczeństwo gospodarcze i w ramach sojuszu NATO.

Kryzys ponadpaństwowych, między-narodowych instytucji? Włosi fizycznie odczuli opieszałość administracji unijnej. Ale może efektem lockdownu Europy i Rosji jest też sytuacja na Białorusi?

Faktycznie, administracja w Brukseli nie doceniła skali zagrożenia i reakcja była spóźniona. Ostatecznie koszt braku zdecydowanych działań spadł na państwa narodowe. A pandemia to olbrzymi koszt dla gospodarki i finansów publicznych – Włochy mają dług na gigantycznym poziomie 150 proc. PKB, co powoduje bardzo silne napięcia wewnętrzne i ryzyko dla strefy euro. Bardzo wysokie koszty poniosła też Hiszpania, gdzie już w ostatniej dekadzie mieliśmy do czy-



nienia ze straconym pokoleniem. To pokazuje, jak ważne jest szybkie i sprawne zarządzanie antykryzysowe, ponieważ jeden–dwa kwartały mogą zdecydować, czy kolejne lata to wysokie bezrobocie i poważne problemy, czy bezpieczny powrót na ścieżkę wzrostu. Polsce nie grozi obecnie stracona dekada, ponieważ rządowa tarcza antykryzysowa zapobiegła czarnym scenariuszom.

A czy sytuacja na Białorusi nie jest też częściowo skutkiem napięć po kryzysie?

Ma to na pewno wpływ. Kraje słabsze wpadły w bardzo poważne problemy. To naturalnie pogarsza nastroje społeczne w takich państwach jak Białoruś – bo nie da się już finansować „udawania”, latać wszystkiego, wychodzą fundamentalne, instytucjonalne słabości państwa. Białoruska wiosna może mieć też takie właśnie podłoże, a stabilność i bezpieczeństwo naszego sąsiada są fundamentalną sprawą dla Polski. Dlatego tak

ważne jest zaangażowanie rządu i reakcje premiera Mateusza Morawieckiego na wydarzenia na Białorusi.

Sugeruje pan, że po kryzysie bogatsi staną się jeszcze bogatsi, a biedni – biedniejsi? To ma być ta zmiana?

Niestety, obserwując historyczne dane dotyczące kryzysów, widzimy, że zwykle pracę tracą osoby o niższych kwalifikacjach, mniej zarabiające. Stąd te biedne warstwy społeczne ubożają wyraźniej. A ci, którzy mają kapitał, radzą sobie lepiej. Zatem to rozwarstwienie społeczne wzrasta. Podobnie na poziomie krajów. Kapitał w kryzysie odpływa do bezpiecznych przystani, którymi są bogatsze kraje, a wtedy tracą biedniejsze państwa.

Gdzie na tej mapie jest Polska?

Jesteśmy krajem aspirującym już do grona rozwiniętych gospodarek i wchodziliśmy w kryzys z silnymi fundamentami. Zła lub spóźniona odpowiedź na

kryzys mogła mieć olbrzymie negatywne skutki i zawrócić nas ze ścieżki stałego rozwoju. Dlatego rząd błyskawicznie stworzył tarczę antykryzysową, których głównym celem była ochrona miejsc pracy. Możemy już powiedzieć, obserwując dane o bezrobociu, że cele tarcz zostały osiągnięte. Mamy drugie najniższe bezrobocie w UE i jeden z najniższych spadków zatrudnienia. Tarcza finansowa PFR chroni obecnie zatrudnienie ponad 3,2 mln pracowników i ich rodzin. Zapewniamy bezpieczeństwo finansowe 345 tys. mikro, małym i średnim firmom. Dlatego mamy do czynienia z bardzo dynamicznym odbiciem w gospodarce, która wraca na ścieżkę wzrostu szybciej, niż wszyscy jeszcze przed chwilą prognozowali. Zakładam, że spadek PKB w 2020 r. będzie minimalny i nie przekroczy 2–3 proc. Tym samym to ryzyko rozwarstwienia społecznego oraz straconego pokolenia, jak w Hiszpanii czy Włoszech, nam nie grozi. Przypomnijmy tylko, że w Hiszpanii po kryzysie w 2009 r. bezrobocie wzrosło do 25 proc., a wśród młodych nawet do ponad 35 proc., co spowodowało, że całe pokolenie znalazło się w bardzo trudnej sytuacji. Dlatego koszty walki z kryzysem w postaci dodatkowego długu publicznego wynoszącego 5–6 proc. PKB to przede wszystkim inwestycja w bezpieczną przyszłość, która ponadto się zwróci w postaci szybszego wzrostu, co przełoży się na poprawę wpływów budżetowych w najbliższych latach.

Unikamy tych problemów w Polsce dzięki reakcji społecznej czy dzięki działaniom rządu?

To był trudny czas dla nas wszystkich. Uważam, że warto podkreślić szerszą solidarność społeczną w trakcie kryzysu. Pracodawcy w większości przypadków stanęli na wysokości zadania i nie zwalniali pracowników. Ci z kolei musieli często zaakceptować przejściowo niższe wynagrodzenia lub inny sposób pracy. W końcu państwo zadziałało sprawnie i jednocześnie zaufało przedsiębiorcom, udzielając im bezprecedensowego wsparcia w ramach tarczy antykryzysowej. Mogliśmy też pozwolić sobie na dość dużą skalę pomocy, bo dług przez ostatnie lata spadał z poziomu ponad

50 proc. PKB do 46 proc. Mimo że w tym samym czasie rząd uruchomił programy socjalne kosztujące kilkadziesiąt miliardów, była przestrzeń, by podejmować odważne i adekwatne działania. Jest to efekt uszczelnienia systemu podatkowego i szybkiego wzrostu.

Czy jednak kryzys nie zawróci nas ze ścieżki rozwoju?

Paradoksalnie wręcz odwrotnie. W kryzysie nawet zmniejszy dystans do najbardziej rozwiniętych krajów. Jestem przekonany, że recesja w Polsce będzie jedną z najpłytszych. To jest historycznie niezwykle ważny moment w budowaniu naszego dobrobytu i konkurencyjności – właśnie przekraczamy szklany sufit, bo nigdy nie byliśmy na poziomie 50 proc. dochodów dzielących nas od najbardziej zaawansowanego kraju na świecie, czyli Stanów Zjednoczonych. Czy kolejna dekada będzie dobra, będzie zależeć od tego, jak szybko dokonamy dalszej transformacji, czy wzmocnimy fundamenty rozwoju, zainwestujemy w edukację, technologie, infrastrukturę, ochronę zdrowia i bezpieczeństwo. Innymi słowy w tym roku stanęliśmy przed jednym z najpoważniejszych ryzyk dla naszego rozwoju w postaci recesji wywołanej pandemią, ale przeszliśmy przez ten okres możliwie bezpiecznie, ale teraz kluczową jest dalsza praca nad odbudową gospodarki i wzmocnieniem długoterminowych fundamentów.

Jakie znaczenie w tym procesie ma stabilność polityczna? Czy to, że Zjednoczona Prawica i prezydent Duda wygrywają w drugich wyborach, ma znaczenie?

Fundamentalne. To jest znacznie ważniejsze niż tylko narracja polityczna, że w trudnych czasach nie należy eksperymentować. Badania wykazują, że stabilność polityczna rzeczywiście buduje stabilniejsze fundamenty wzrostu. Mamy przywoływany już dziś przykład Włoch, mamy Ukrainę... Niestabilne rządy po części doprowadzają do długu na poziomie 150 proc. i utraty konkurencyjności. Oligarchia, która szczęśliwie nie wykształciła się w Polsce, powoduje, że każdy rwie sukno w swoją stronę. A 30 lat temu startowaliśmy

z Ukrainą z tego samego poziomu gospodarczego. Mieliśmy jakąś taką mądrość społeczną w Polsce już w latach 90., że postawiliśmy kilka takich priorytetów, jak choćby wejście do NATO, wstąpienie do Unii Europejskiej, co zbudowało pewien konsens społeczny, i zabrakło przyzwolenia na tworzenie oligarchicznej gospodarki. Poza tym ponad połowę polskiego PKB tworzą małe i średnie firmy. Nasza przedsiębiorcza natura, zdyspersyfikowana gospodarka, pracowitość spowodowały, że jesteśmy, jak pokazują badania SGH, liderem wzrostu w Europie Środkowej i Wschodniej. Choć oczywiście jest wiele wyzwań strukturalnych jak demografia, niski poziom kapitału długoterminowego, mało dużych, silnych firm, wymiar sprawiedliwości czy poziom zaawansowania wielu branż.

Jak już pan powiedział, dzięki tarczom antykryzysowym mamy dziś pozytywne prognozy dotyczące sytuacji gospodarczej Polski w pocovidowym ładzie gospodarczym. Czy widzi pan szansę, że przynajmniej część mechanizmów pomocowych zostanie utrzymana na dłużej, na 2021 r.? Będzie nas na to stać?

Rząd przeznaczył na akcję pomocową potężne środki. To ponad 130 mld zł, które już trafiło do sektora przedsiębiorstw, do gospodarki. Ten plan został tak policzony, żeby wystarczyło nie tylko na drugi kwartał, ale by tarcze działały w perspektywie półrocznej i dalej. Jestem przekonany, że właśnie dzięki temu gospodarka jest dobrze przygotowana nawet na trudniejsze miesiące.

Dziś potrzebujemy optymizmu inwestycyjnego wśród przedsiębiorców...

Mamy coraz więcej dobrych informacji. W trzecim kwartale odbicie gospodarcze może być znacznie silniejsze, niż się tego spodziewaliśmy jeszcze kilka miesięcy temu. Wzrost PKB kwartał do kwartału może wynieść nawet powyżej 7 proc., czyli weszliśmy w kolejny cykl ekspansji.

To pan prezes już jest optymistą.

Raczej realistą, patrząc na obecne dane. Jeśli firmy widzą wyższy popyt, stabilną sytuację, mają płynność (depozyty firm

wzrosły o ponad 50 mld zł, m.in. właśnie dzięki tarczom), to może skłaniać do odważniejszego inwestowania. Nie mijamy też złudzeń – najbliższe dwa-trzy kwartały będą jeszcze trudne i odnotujemy spadek inwestycji prywatnych, ale rząd będzie na to reagował przyspieszeniem inwestycji publicznych. Ważne, by ten spadek w sektorze prywatnym trwał jak najkrócej, żeby już od 2021 r. notować odbicie w inwestycjach.

Czyli czarna wizja rozkładu gospodarki się nie sprawdza.

Absolutnie. Aktywność gospodarcza wraca znacznie szybciej, niż się spodziewaliśmy. Jest jednak kilka sektorów gospodarki – branża lotnicza, turystyczna, hotelarska, także kultura, ok. 10 proc. PKB, które będą odczuwały skutki pandemii tak długo, jak będzie występowało zagrożenie zdrowotne. Tu potrzebne jest ewentualne działanie punktowe.

Minister finansów Tadeusz Kościński podkreśla rolę konsumpcji w powrocie do zdrowej gospodarki. Lockdown zmienił mocno nasze konsumenckie zwyczaje. Uda się odbudować też ten niezbędny w wysokim poziomie konsumpcji spokój, pewność Polaków i chęć do kupowania?

Pełna zgoda – konsumpcja to blisko 70 proc PKB. Istotna jest sytuacja na rynku pracy. Polacy wychodzą z kryzysu oddłużeni, bo spadły kredyty, a wzrosły depozyty przy stabilnym zatrudnieniu i utrzymaniu wzrostu wynagrodzeń o ponad 3 proc. Dzięki temu wydatki konsumpcyjne powinny być na dobrym poziomie. Dlatego zaczynam być umiarkowanym optymistą – konsumpcja będzie na stabilnym poziomie, inwestycje staną się ryzykiem, ale będą rekompensowane przez rząd. Mamy też całkiem dobre wyniki eksportu. Do tego dochodzi olbrzymi sukces premiera Mateusza Morawieckiego w postaci olbrzymich środków dla Polski z funduszu odbudowy i kolejnej perspektywy UE. To się składa na pozytywny obraz całej gospodarki.

Nie chcemy namawiać pana do recenzowania działań szefa, czyli pana premiera, ale czy zmiany w rządzie, zmierzające do skoncentrowania decyzji, zmniejszenia liczby ministerstw, mogą mieć wpływ na ten „pozytywny obraz gospodarki”?

Tak, to ważne z kilku powodów. Premier Morawiecki od lat – i jest w tym bardzo konsekwentny – mówi o likwidacji „silosowości”. Grupa PFR jest takim przykładem, że choć przy różnych napięciach, to się udaje. Za dużo „silosowości” powoduje wydłużenie procesów decyzyjnych – a gospodarka potrzebuje, jak widzieliśmy, szybkich, zdecydowanych działań. W Szwajcarii jest kilka ministerstw i można powiedzieć, że kraj jest dobrze zarządzany. Sprawne centrum buduje spójne działania administracji. Jasna

Ten kryzys zmniejszy nasz dystans do najbardziej rozwiniętych krajów. Jestem przekonany, że recesja w Polsce będzie jedną z najpłytszych. To jest historycznie niezwykle ważny moment w budowaniu naszego dobrobytu i konkurencyjności

jest odpowiedzialność kilku osób za najważniejsze obszary działalności państwa. Ta zmiana to także impuls do pewnej reformy administracji, którą wywołał lockdown – pewnej automatyzacji, tworzenia e-państwa, a zatem także zmiany w zadaniach urzędników. W nowej gospodarce, w administracji potrzebne są kompetencje, decyzyjność, umiejętność podejmowania ryzyka – a nie wszyscy są na to gotowi. Unowocześnienie polskiej administracji oznacza tworzenie takiego środowiska, w którym – w kilku obszarach – będą skupione priorytety działań rządu. To pozwoli odbudować gospodarkę po kryzysie, a jednocześnie dobrze wykorzystać uzyskane środki unijne.

Porównując wyniki polskiej gospodarki do kryzysu w innych krajach, da się na tym budować optymizm. Pytanie, kiedy wrócimy na ścieżkę stabilnego wzrostu?

Strategia, żeby zadziałać szybko i w znaczącej skali, pozwoli na to, że gospodarka odbije szybciej. Najpewniej już na koniec trzeciego kwartału nominalny produkt krajowy brutto będzie w dynamice rok do roku miał wynik dodatni. A to jest też baza podatkowa, która da budżetowi nieco więcej oddechu. Nie ma lepszego sposobu na ograniczenie zadłużenia i poprawę deficytu niż szybki powrót na ścieżkę wzrostu.

W kolejnych miesiącach wzrośnie znaczenie unijnego budżetu i Funduszu Odbudowy?

Te środki mogą odciążać budżet i budują taki scenariusz dla Polski, że mamy szansę w latach 2021–2024 osiągnąć bardzo dobrą dynamikę rozwoju.

Nadal bardzo optymistycznie.

Umiarkowanie... Pamiętajmy, że wciąż mamy pandemię, trudne otoczenie w Europie, słaby wzrost, przed nami trudny okres, ale możemy spokojniej, stabilniej prognozować i patrzeć na gospodarkę z umiarkowanym optymizmem. Ale cały czas dużo pracy przed nami. Jako PFR nadal pracujemy bardzo intensywnie nad wsparciem do końca roku dla dużych firm, będąc zaangażowani w pomoc wielu ważnym sektorom gospodarki.

Jakie znaczenie pana zdaniem miało wejście w kryzys „na rozgrzanych silnikach” Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, z działającymi na pełnych obrotach instytucjami – także w ramach Grupy PFR?

To może zabrzmieć nieskromnie, ale właśnie w ramach tzw. planu Morawieckiego udało się w ostatnich latach dokonać reformy instytucjonalnej polskich agend odpowiedzialnych za rozwój – instytucji rozwojowych w Grupie PFR. Zmienił się Bank Gospodarstwa Krajowego, KUKE, PARP, PAIH i sam PFR. Byliśmy instytucjonalnie gotowi w sytuacji kryzysowej wkroczyć z dnia na dzień i reagować.

**Daniel Obajtek**

Prezes PKN Orlen
został Człowiekiem Roku
Forum Ekonomicznego
2020 w Karpaczu

Zbigniew Jagiello

Prezes zarządu
PKO Banku Polskiego
został uhonorowany
Nagrodą Gospodarczą
Szkoły Głównej
Handlowej
w Warszawie
za umocnienie
pozycji Grupy
Kapitałowej
PKO BP

**Jerzy Kwieciński**

Polskie Górnictwo
Naftowe i Gazownictwo,
spółka, którą kieruje
Jerzy Kwieciński,
otrzymała tytuł Firmy
Roku Forum
Ekonomicznego

**Europa po pandemii**

Wspólnota Solidarność Wolność

*Jak pokonać kryzys COVID-19
i jak wrócić na ścieżkę rozwoju*

*– dyskutowali przedstawiciele świata biznesu,
przedsiębiorcy, organizacje
pozarządowe i politycy*

Światłana Cichanouska

Nagrodę specjalną
Forum otrzymała
białoruska
opozycjonistka



Daniel Obajtek Człowiekiem Roku

Forum Ekonomicznego

Wyjątkowe wydarzenie przygotowane i przeprowadzone w wyjątkowych okolicznościach. To najprostsza charakterystyka Forum Ekonomicznego 2020. Konferencja trwała od 8 do 10 września, odbyła się pod hasłem – „Europa po pandemii: Solidarność, Wolność, Wspólnota?”. Nie zabrakło członków Rady Ministrów, posłów, senatorów, dyplomatów, naukowców ani prezesów wielkich firm. Forum Ekonomiczne odbyło się w Karpaczu, a nie tak jak zawsze w Krynicy-Zdroju

Swiatową gospodarkę dotknął koronawirus. Odbiło się to również na Forum Ekonomicznym. Pandemia pokrzyżowała plany organizatorom i wydarzenie – po raz pierwszy w historii – odbyło się poza Małopolską, w Karpaczu. Trzy dni upłynęły pod znakiem rozmów o zmianach w gospodarce spowodowanych pandemią, ekonomii, innowacjach, technologii i energetyce.

Na forum spotkali się między innymi: Sławomir Cichanowski – liderka białoruskiej opozycji, Jadwiga Emilewicz – minister rozwoju i wiceprezes Rady Ministrów, Piotr Gliński – wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego, Jacek Sasin – minister aktywów państwowych i wiceprezes Rady Ministrów, Tadeusz Kościński – minister finansów, Jan Krzysztof Ardanowski – minister rolnictwa i rozwoju wsi, Małgorzata Jarosińska-Jedynak – szefowa resortu funduszy i polityki regionalnej, prof. dr hab. Zbigniew Rau – minister spraw zagranicznych, Marlena Maśląg – minister rodziny, pracy i polityki społecznej, Markus Mackel – były wiceprzewodniczący Zgromadzenia Parlamentarnego NATO, członek Rady Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej, Paweł Rowiński – wiceprezes Polskiej Akademii Nauk, Marek Zagórski – minister cyfryzacji oraz pełnomocnik rządu ds. cyberbezpieczeństwa, Wojciech Murdzek – minister nauki i szkolnictwa wyższego, Tadeusz Chomicki – ambasador ds. bezpieczeństwa cybernetycznego i technologicznego z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Tomasz Zdzikot – prezes Poczty Polskiej, Paweł Jan Majewski – prezes zarządu Grupy Lotos SA,

Włodzimierz Włazlak – prezes zarządu Lidl Polska.

To forum było inne niż wszystkie, ponieważ pierwszy raz po lockdownie politycy, biznesmeni, działacze samorządowi i inni liderzy opinii mogli się spotkać i dyskutować o wyzwaniach, jakie czekają kraje Europy Środkowo-Wschodniej. Główne osie tematyczne paneli stanowiły między innymi: cyberbezpieczeństwo, rozwój regionów, ochrona zdrowia, nowoczesne technologie, potencjał Polonii, biznes i inwestycje, energetyka i ekologia.

Nie zabrakło wątków związanych z wprowadzeniem tarczy antykryzysowej, o której mówili członkowie Rady Ministrów.

– Patrząc na wszystkie wskaźniki, które są obecnie pokazywane, dzisiaj czytamy, że prognozowany spadek PKB to już nie 4 proc., ale 3 proc., stopa bezrobocia 3,2 proc. – to właśnie pokazuje, jak rząd odpowiedzialnie podszedł do tematu związanego z pandemią i ze wsparciem przedsiębiorców, żeby utrzymać ich płynność i żeby można było utrzymać miejsca pracy, bo to miejsca pracy i przedsiębiorcy będą napędzać miejsca pracy po pandemii – przekonywała podczas forum minister funduszy i polityki regionalnej Małgorzata Jarosińska-Jedynak.

Forum Ekonomiczne to także okazja do przyznania prestiżowych nagród. Kandydatów do nagród w pięciu kategoriach zgłasza 45 członków Rady Programowej. W jej skład wchodzi uznani naukowcy, politycy i ekonomiści.

– Nie mam złudzeń, że jeżeli nagrodę otrzyma np. przedstawiciel opozycji, to wszyscy, którzy reprezentują obec-

ną koalicją rządzącą, będą zarzucać, że opowiedzieliśmy się po stronie opozycji. I na odwrót. Ale to jest naprawdę bardzo transparentny proces. Decyduje głosowanie – wyjaśnia Zygmunt Berdychowski, twórca Forum Ekonomicznego i przewodniczący Rady Programowej.

Laureatów w kategoriach: Człowiek Roku i Organizacja Pozarządowa Roku ogłoszono pierwszego wieczoru.

W tej pierwszej kategorii nagrodzono prezesa PKN Orlen Daniela Obajtka. Podczas jego prezesury Orlen dokonał fuzji z Lotosem oraz przejął Grupę Energa. Rozpoczęto również proces przejęcia największej polskiej gazowej spółki PGNiG. To pierwszy raz od 19 lat, kiedy ten zaszczytny tytuł trafia do kogoś spoza świata polityki.

W laudacji dziennikarz i publicysta Michał Karnowski podkreślił niebagatelne osiągnięcia Daniela Obajtka: – W tym roku nagrodę Forum Ekonomicznego Człowiek Roku po raz pierwszy otrzymał człowiek nie tylko polityki, lecz także biznesu, menedżer.

Nagrodzony mówił o osiągnięciach Orlenu i planach na najbliższe lata: – W ostatnich latach nie tylko intensywnie rozwijaliśmy nowe obszary biznesowe, lecz jesteśmy też liderem konsolidacji polskiego sektora energetyczno-paliwowego. Realizacja planowanych przez PKN Orlen przejęć pozwoli nam w pełni wykorzystać nowe możliwości, jakie niosą z sobą globalne trendy w energetyce i konsekwentnie budować wartość koncernu w długiej perspektywie. Orlen jest najlepiej przygotowaną do transformacji energetycznej firmą w Polsce.

Organizacją Pozarządową Roku został Związek Harcerstwa Rzeczypospo-



litej. W laudacji Wojciech Wróblewski opisywał rolę ZHR w Polsce: – Za misję twórczego i efektywnego łączenia tradycji z wyzwaniem współczesnego świata przez minione 30 lat wolnej Polski Rada Programowa Forum Ekonomicznego w Krynicy przyznała tytuł Organizacja Pozarządowa Roku 2019 Związkowi Harcerstwa Rzeczypospolitej.

Statuetkę odebrał harcmistrz Wiesław Turzański, sekretarz generalny ZHR. Mówił o tym, jak ważne jest utrzymanie harcerstwa w Polsce: – Myślę, że zawsze należy pamiętać, by je wspierać. Mądre wspieranie będzie przynosiło efekt. Ten projekt, pomysł przywrócenia Rzeczypospolitej – nowej, wolnej – prawdziwego harcerstwa chyba się powiodł, bo myśmy przez te 30 lat wychowali ponad 100 tys. młodych ludzi, z których spora część zasiada nie tylko w samorządach, lecz również piastuje teki ministerialne, pełni służbę w służbach mundurowych, premierowskie również. Myśmy przywykli do szarej służby, której uczył nas Stanisław Brzysłowski „Orsza” i przede wszystkim chcemy działać.

Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej powstał w 1989 r., obecnie

zrzesza około 17,5 tys. harcerzy i harcerek. Kulturuje tradycje harcerstwa polskiego i chrześcijańskie wartości. Związek modyfikuje swój program i sposoby działania, aby odpowiadać na wyzwania zmieniającej się rzeczywistości.

Po zakończeniu kolejnego dnia obrad w czasie uroczystej gali wręczono trzy nagrody.

Firmą Roku zostało Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo. Wcześniej tym tytułem mogły cieszyć się np. PKO BP, Play, Alior Bank czy Polsat. Prezesem spółki jest Jerzy Kwieciński. Nagroda została przyznana za wygraną w sporze cenowym z Gazpromem i doprowadzenie do szybkiej realizacji wyroku. PGNiG ostatnio zaktualizowało strategię średnioterminową o nowe kierunki związane z zielonym zwrotem.

Zygmunt Berdychowski wręczył nagrodę i wygłosił laudację: – Nagrodziliśmy wyjątkowego menedżera, społecznika, polityka, który dla wolnej Polski poświęcił wiele lat swojego życia.

Jerzy Kwieciński w swoim przemówieniu podkreślił, jak trudno było mierzyć się z Gazpromem: – Nie tylko sztuką było wygrać wyrok sądu

arbitrażowego w Sztokholmie, lecz także go wdrożyć, co zajęło nam trzy miesiące.

Liderka białoruskiej opozycji Swiatłana Cichanouska otrzymała nagrodę specjalną Forum Ekonomicznego. Organizatorzy docenili działania opozycjonistki w ramach ostatnich wyborów prezydenckich na Białorusi. Cichanouska podczas sesji plenarnej podkreślała, że ważne jest, aby inne kraje uszanowały suwerenność Białorusi. Nagroda ma być wyrazem wsparcia dla społeczeństwa obywatelskiego na Białorusi.

Kolejny laur – Nagrodę Gospodarczą Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie – otrzymał Zbigniew Jagiełło, prezes zarządu PKO Banku Polskiego. Pamiątkową statuetkę wręczył rektor SGH prof. Piotr Wachowiak. Do nagrody nominowani są kandydaci z wybitnymi osiągnięciami i zasługami dla rozwoju gospodarczego Polski. Rok temu nagrodę otrzymała Anna Rulkiewicz, prezes grupy Lux Med.

– Cyfryzacja i rozwój technologii w bankowości to jego specjalność. Jak najbardziej zasłużenie mawia: „Zastąpię bank papierowy, zostawię cyfrowy”. Podkreśla, że firma finansowa powinna działać według dewizy: cyfryzuj albo zgiń. Pod jego kierunkiem PKO Bank Polski nie jest już tylko tradycyjnym bankiem, ale stał się firmą technologiczną „PKO Bank Przyszłości” – mówił w laudacji prof. Piotr Wachowiak, rektor SGH.

Forum Ekonomiczne jest organizowane od 30 lat. Ma budować przyjazne środowisko do współpracy politycznej i gospodarczej pomiędzy państwami Unii Europejskiej i jej sąsiadami. Organizatorem forum jest Fundacja Instytut Studiów Wschodnich, która od początku istnienia prowadzi działalność na rzecz współpracy pomiędzy państwami europejskimi.

– Forum w tej chwili w dalszym ciągu odgrywa swoją rolę. To jest miejsce bardzo żywe, miejsce spotkań działaczy gospodarczych, przedsiębiorców, polityków, samorządowców, także ludzi kultury. Spełnia swoją funkcję, bo to też jest miejsce stymulacji gospodarki – podkreślał gość konferencji – wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński. ●



Fuzje są odpowiedzią na potrzeby rynku

„Fuzje i przejęcia jako odpowiedź na trendy związane z budową zintegrowanych łańcuchów wartości” – na panelu dyskusyjnym podczas Forum Ekonomicznego w Karpaczu rozmawiano o rynkowych wyzwaniach stojących przed multienergetycznym koncernem, który powstanie po połączeniu spółek polskiej branży energetycznej

Robert Śleszyński, dyrektor wykonawczy ds. inwestycji krajowych w PKN Orlen, zapewniał, że cel fuzji jest wyraźnie określony: – Budowa koncernu multienergetycznego umożliwi nam uwolnienie ogromnego potencjału. Jest wiele synergii, które zamierzamy w pełni wykorzystać. Pracujemy nad modelem integracyjnym, który będzie uwzględniał wszystkie obszary działalności. Zależy nam na optymalnym zarządzaniu całym portfolio, bo wtedy będziemy mogli dalej wzmacniać naszą rynkową pozycję – mówił Śleszyński.

Przedstawiciel PKN Orlen odwołał się także do przedstawianej przez prezesa Daniela Obajtka strategii zeroemisyjności: – Mamy projekty, które wpisują się w tworzenie zielonego ładu, a po realizacji wszystkich procesów akwizycyjnych ich wartość będzie jeszcze większa. Widzimy po-

tencjał nie tylko w powiększeniu portfela produktów, lecz także w poszerzeniu bazy klientów, dywersyfikacji źródeł przychodu, w których ogromny nacisk kładziemy na odnawialne źródła energii, m.in. fotowoltaikę czy energię wiatrową – podkreślał Śleszyński.

Transakcja ma się stać dla Orlenu szansą na wykorzystanie rynkowego potencjału: – Nieustannie szukamy potencjału, także poza podstawowym biznesem, w którym na co dzień funkcjonujemy. Wobec wyznań cywilizacyjnych poszukujemy nowych partnerstw i traktujemy to jako szansę, a nie zagrożenie. Oczywiście pełne korzyści z fuzji będą widoczne dopiero za kilka lat i wtedy w pełni zobaczymy biznesowe aspekty tych przejęć – mówił przedstawiciel Orlenu.

Materiał powstał przy współpracy z PKN Orlen

Komentarz eksperta – dr Marian Szolucha, Instytut Prawa Gospodarczego

Plany połączenia Orlenu i Lotosu pojawiają się w różnej formule od dawna. Pamiętam wywiad sprzed lat, jeszcze z ówczesnym prezesem Olechnowiczem, który wówczas zauważał, że wcześniej czy później te dwie firmy będą jednym organizmem gospodarczym. Pamiętam także jeszcze wcześniejsze plany dotyczące konieczności współistnienia tych firm. To była kwestia czasu, ponieważ mamy ogromne zaległości do odrobienia wobec innych państw, gdzie powstały podobne konsorcja, łączące wiele podmiotów. Przykładem takiego konsorcjum jest choćby węgierski MOL, który rywalizuje z Orlenem.

Przed nami są wielkie wyzwania cywilizacyjne związane z wyczerpywaniem się zasobów paliw kopalnych, z nowymi technologiami, z legislacją i globalnymi trendami ekologicznymi w Unii Europejskiej. To wymusza budowanie i konstruowanie całego szeregu inteligentnych specjalizacji, dywersyfikacji dochodów. Słowem, wielu spraw, które największe firmy już zaczęły budować. To procesy obliczone na wiele lat i kosztujące wiele miliardów złotych czy nawet euro. Musimy do tego peletonu dołączyć, jeśli w ogóle chcemy się liczyć w naszym regionie czy na świecie. Dzieje się tak wiele we współczesnej gospodarce, a zwłaszcza w branży energetycznej i paliwowej, że stanie w miejscu oznacza powolną agonię. Rozumieją to doskonale władze i akcjonariusze Orlenu, dlatego firma idzie w kierunku połączeń, fuzji i przejęć, a także w kierunku neutralności klimatycznej, o czym mówił m.in. prezes Obajtek w czasie Forum Ekonomicznego w Karpaczu.

Nowy multienergetyczny koncern będzie miał dużą skalę działania, a naszym firmom takiej skali bardzo często brakuje wówczas, gdy musimy konkurować z wieloma podmiotami z zagranicy. Plan działania, skala możliwości inwestycyjnych i badawczo-rozwojowych w koncernie multienergetycznym będą dużo większe. Z jednej strony dywersyfikacja przychodów, z drugiej źródeł ryzyka oznacza dużo większe bezpieczeństwo nasze ekonomiczne, jako państwa, a także narodowe, bo tak trzeba na to dziś patrzeć. Musimy mieć jednak pewność, że to nie sama zgoda Komisji Europejskiej przesądzi o powodzeniu przejęcia, ale skuteczna integracja obu podmiotów i efektywne nimi zarządzanie.

Tarcza zespołowa

Jak powstawały zręby organizacyjne i założenia polskich tarcz antykryzysowych, co dziś wydaje się najważniejsze we wspólnej pracy zespołu powołanego w pierwszych tygodniach pandemii przez premiera Mateusza Morawieckiego, opowiadali uczestnicy panelu dyskusyjnego „Tarcza finansowa jako skuteczne narzędzie wspierania polskich przedsiębiorstw” podczas Forum Ekonomicznego w Karpaczu

Wyniki gospodarcze pozwalają już na podsumowanie skutków wprowadzenia mechanizmów chroniących miejsca pracy i utrzymujących płynność finansową polskich przedsiębiorstw. To też czas na pierwsze wspomnienia marca tego roku.

– Spotkaliśmy się w zespole, który aktywnie pracował nad stworzeniem tarczy antykryzysowej i finansowej. To nie jeden fundusz, nie jedna instytucja, nie jedno ministerstwo – ale praca zespołowa, tworzenie od podstaw na bazie istniejącego prawa mechanizmów, które pozwoliły uratować miejsca pracy, a więc i sytuację polskich rodzin – mówiła minister rodziny, pracy i polityki społecznej Marlena Maląg. – Dziś Europa patrzy na nas z podziwem. Od trzech miesięcy z danych szacunkowych ministerstwa wynika, że stopa bezrobocia utrzymuje się na poziomie 6,1 proc.

NIE MUSIAŁO TAK BYĆ

Paweł Borys, prezes PFR, również podkreślał rolę pracy zespołowej w realizacji zasadniczego celu wprowadzonych wiosną tego roku tarcz antykryzysowych – by nie doszło do wzrostu bezrobocia.

– To były pionierskie, zupełnie nowe rozwiązania pomocowe. Nauczyliśmy się ich i dziś wszyscy już wiedzą, co to jest postojowe czy bezwrotna subwencja – mówił Paweł Borys. – I pracujemy cały czas. To, czego się obawialiśmy, to utrzymanie wiarygodności z perspektywy opinii publicznej. Rząd przeznaczył na pomoc ponad 130 mld zł – to ogromne środki, więc program musiał być przejrzysty, na równych zasadach, zrozumiały dla przedsiębiorców i obywateli.

W Niemczech ten program spotkał się z ogromnymi nadużyciami, w USA przerwano go po trzech tygodniach, gdy się okazało, że zabrakło pieniędzy. Wiele błędów można było popełnić. Dzięki pracy zespołowej, także informatyków, stworzyliśmy system, który okazał się możliwie szczelny, zaufaliśmy też przedsiębiorcom. Państwo uprościło procedury i zadziałało sprawnie. Mamy dobre dane z rynku pracy – ale to nie musiało tak być. Estonia, Węgry mierzą się dziś z ogromnym wzrostem bezrobocia.

Grażyna Ciurzyńska, p.o. prezes Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu, podkreślała rolę instytucji rozwojowych skupionych w Polskim Funduszu Rozwoju.

– Odpowiadamy za promocję, ale mamy też bezpośrednie relacje z biznesem. Staliśmy się takim pogotowiem, które udrażniało wiele kontraktów – zamieniliśmy bezpośrednie spotkania na spotkania i negocjacje online. To była dobra szkoła, a praca niezwykle efektywna. Rozpoczęte projekty finalizowaliśmy niezwykle szybko, a nowe były jedynie zamrażane przez inwestorów. Dzięki temu notujemy wzrost inwestycji zagranicznych rok do roku – mówiła prezes Ciurzyńska.

ARP NA FRONCIE

Na pierwszej linii frontu znalazła się też Agencja Rozwoju Przemysłu, która podjęła walkę o dostawy niezbędnego sprzętu.

– Pierwsze tygodnie covidowej rzeczywistości spowodowały, że ARP przeistoczyła się w centrum importu, zaopatrzenia kraju. Poszukiwaliśmy wszędzie potrzebnych towarów. Dziś możemy tylko opowiadać, jak kraje podkupywały sobie wyładowane sa-

moloty... – wspominał Paweł Kolczyński, prezes ARP. – Zostaliśmy włączeni w pomoc poszczególnym branżom, choćby branży transportowej. Dziś przewozy cargo, cała branża transportowa rozwija się bardzo dynamicznie. Agencja Rozwoju Przemysłu zaproponowała więc przedsiębiorstwom transportowym leasing operacyjny oraz pożyczki na wypłatę wynagrodzeń bądź odzyskanie płynności finansowej z kilkunastomiesięczną karencją w spłacie. Branża turystyczna odbija dziś dzięki naturalnemu wzrostowi zainteresowania wakacjami w kraju. Pamiętam też akcję wsparcia polskich szwalni. Wiele zakładów planowało na koniec marca grupowe zwolnienia, a udało się, m.in. dzięki działaniom ARP przetworzyć, wyprodukować i przekazać szkołom 50 mln maseczek.

Wszystkie mechanizmy tarczy zaczęły do zachowania zatrudnienia na poziomie sprzed pandemii. Ale były też elementem budowania zaufania między instytucjami państwowymi a biznesem. Wiceminister rozwoju Krzysztof Mazur wspominał niezwykle sytuację, gdy wicepremier Emilewicz, minister Maląg i prezes ZUS prof. Uścińska przyjmowały zgłoszenia na call center od ludzi, którym rozpadał się świat. To był sposób na to, by osobiście się przekonać, co jeszcze zmienić w tym systemie, czy jest on zrozumiały dla przedsiębiorców.

– W czasie kryzysu Rada Ministrów, zespół do walki z pandemią, także zespół gospodarczy – to były miejsca, w których tak podnoszona przez krytyków mentalność silosowa, egoizm instytucjonalny zeszły na dalszy plan. To kwestia odwagi głównych autorów tarczy antykryzysowej – odpowiedzialności za propozycje zgłaszane wtedy i wprowadzane rozwiązania – mówił wiceminister Mazur. ●



Tarcze antykryzysowe czy tarcze rozwojowe

Czy tarcze antykryzysowe uda się zmienić w projekty rozwojowe? – na to pytanie próbowali odpowiedzieć uczestnicy debaty zorganizowanej przez Bank Gospodarstwa Krajowego podczas Forum Ekonomicznego w Karpaczu. Prowadzący panel Maciej Wośko, redaktor naczelny „Gazety Bankowej”, zaznaczył we wstępie do dyskusji, że kryzysy mają to do siebie, że organizmom (przedsiębiorstwom, państwom, organizacjom) dają szansę na wzmocnienie i są okazją do nadprzeciętnego rozwoju. Czy wykorzystamy tę szansę, zależy od decyzji podjętych w najbliższych miesiącach. Podczas panelu omówiono możliwość powiązania mechanizmów antykryzysowych z narzędziami rozwojowymi, tak by wyjść z kryzysu z tarczą

Tomasz Robaczyński, członek zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego, skomentował zapowiedzi prezesa BGK Beaty Daszyńskiej-Muzyczka, by przynajmniej część mechanizmów pomocowych utrzymać do końca 2021 r. To produkty pobudzające eksport, dające kapitał na rozwój. BGK poza gwarancjami (notabene ze zmienionymi w czasie lockdownu zasadami i limitami) – programem znanym i cenionym na rynku – przygotował wiele propozycji dla przedsiębiorców dotkniętych kryzysem. Nowością w pakiecie pomocowym BGK jest pierwszy w Europie pro-

gram gwarancji limitów faktoringowych.

– BGK jest bankiem rozwoju, wspierającym działania i programy rządowe, współpracującym z sektorem bankowym. Co do przedłużenia akcji pomocowej – gdy mówimy o 2021 r., to sprawa dotyczy części mechanizmów wykorzystywanych właśnie przez BGK. Po okresie walki z lockdownem przychodzi czas na realną gospodarkę – mówił prezes Robaczyński. – Nie można przecieżyć w nieskończoność rozdawać tak ogromnych środków. Nikogo na to nie stać. Dlatego wydaje się, że powinny pozostać te instrumenty, które mają charakter rynkowy, ale równocześnie

wprowadzają znaczne ułatwienia dla firm dotkniętych skutkami kryzysu covidowego – preferencyjne gwarancje, pożyczki, produkty BGK dystrybuowane przez system bankowy. Tak jak mówiła prezes Daszyńska-Muzyczka, podjęliśmy starania, by otrzymać zgodę Komisji Europejskiej na przedłużenie obowiązywania nowych zasad gwarancji de minimis czy nowego produktu BGK – gwarancji faktoringowych – do końca 2021 r. Tak, żeby dać czas na rozpęd gospodarcę i przedsiębiorcom.

Gwarancje faktoringowe z programu pomocowego to pierwszy tego typu produkt w Europie. Jak powiedział prezes Robaczyński, BGK

przecierał szlaki w KE, by uzyskać niezbędne zgody. To powinien być produkt atrakcyjny, podobnie jak gwarancje de minimis, przyczyniający się do rozwoju i poprawy płynności firm. Jego zdaniem potrzebujemy tej stabilizacji do budowania odwagi inwestycyjnej przedsiębiorców.

– 50 proc. firm, które skorzystały z gwarancji de minimis, przeznaczyło też środki na inwestycje. Gwarancje zdejmują z przedsiębiorcy ciężar zajmowania się finansowaniem podstawowej działalności firmy – mówił Robaczyński.

Robaczyński podkreślał, że COVID-19 zmienił na stałe wiele elementów pracy przedsiębiorstw i administracji publicznej – od pracy zdalnej po korzystanie z podpisu elektronicznego czy e-formularzy w kontaktach z urzędami. – To jest z pewnością ten element kryzysu, który zostanie z nami na długo... – mówił członek zarządu BGK. Zmieniła się też rola państwa w gospodarce, która nie polega już jedynie na interwencjach rynkowych, ale stałej obecności rządu w grze rynkowej. O tym mówił prof. Zbigniew Krysiak, prezes Instytutu Myśli Schumana.

– Na kryzysach się zarabia. I mamy w Polsce taką szansę, bo kryzys to też potencjał do silnego rozwoju gospodarczego. Opracowałem model gospodarki narodowej quasi-odpornej na kryzysy i pandemię. Z perspektywy popytu i podaży obserwujemy, że następuje koncentracja dóbr podstawowych, a spada popyt na dobra luksusowe. Trzeba zatem spojrzeć, co jest kluczowym, podstawowym obrotem gospodarczym. Tak można budować siłę gospodarki i zjawisko, które nazwałem tarczą rozwojową 590, opartą na patriotyzmie konsumenckim. Musimy jak najwięcej eksportować, a jak najmniej importować. Zachowanie płynności tak – ale w otoczeniu wewnętrznym, w kraju.

Prof. Krysiak podkreślał, że musimy budować gospodarkę quasi-samowystarczalność w produkcji i podaży dóbr podstawowych właśnie. To może być ten zysk z przejścia przez kryzys, że tak ułożymy produkcję, by przyciągać inwestycje, które w przy-

szłości pozwolą zabezpieczyć podaż dóbr podstawowych w kryzysie.

Prezes Zakładu Ubezpieczeń Społecznych prof. Gertruda Uścińska podkreślała zmianę wizerunku ZUS wśród przedsiębiorców. Wpływ na to miało uzależnienie wypłaty środków z tarcz antykryzysowych od regularnych wpłat składek na ubezpieczenie pracowników. Zwolnienie ze składek było w czasie gospodarczego lockdownu najbardziej pożądanym rozwiązaniem, które zdaniem prezes ZUS uratowało tysiące miejsc pracy. Na profesjonalizm ZUS wpływ miało też wprowadzenie e-zwolnień, e-składek i procesy technologiczne funkcjonujące w ZUS.

– Wykorzystaliśmy w czasie pandemii te kamienie milowe, które zostały zaimplementowane już wcześniej. Współpracowaliśmy z wszystkimi instytucjami przygotowującymi zasady wsparcia w kryzysie. Kluczowe było zwolnienie z obowiązku opłacania składek, bo prawie 3 mln firm skorzystało z tej ulgi przez trzy miesiące na kwotę 12,5 mld zł. Świadczenie podstawowe – 2,5 mln wniosków na 5 mld zł – mówiła prezes Uścińska. – Przeszliśmy też przez proces uproszczenia i ułatwienia obsługi przedsiębiorców i zbudowaliśmy potężną bazę technologiczną.

Jak mówiła prezes ZUS, doświadczenia i wiedza z mechanizmów tarczowych już są wykorzystywane w kolejnych projektach realizowanych przez ZUS. To z pewnością wartość, która na długo będzie wpływała na jakość pracy i wizerunek ZUS.

Uczestnicy debaty zastanawiali się też, jak można sprawić, by pieniądze z tarczy, które trafiły do przedsiębiorców – ponad 135 mld zł – zaczęły pracować też na rozwój, mobilizując do inwestowania.

– 61 mld zł to tarcza finansowa dla małych i średnich przedsiębiorstw. To skala tej pomocy – mówił Bartosz Marczyk, wiceprezes PFR. – Chciałbym wymienić podstawowe wnioski z uruchomienia tarcz. Pierwszy to budowa e-państwa. Tarcze uzmysłowiły nam, że transformacja cyfrowa jest fundamentem sprawnie funkcjonującego państwa, ale też warto podkreślić, że

wykorzystaliśmy podwaliny budowane przynajmniej od kilku lat. Kolejny to współdziałanie – gdy dziś patrzymy, jak w tym niestandardowym czasie pracowały instytucje państwa. Udało nam się stworzyć najlepszy system pomocowy na świecie. Trzecia rzecz to zbudowanie pewnej dyscypliny płatniczej. Z pomocy korzystać mogli tylko ci, którzy regularnie płacili składki ZUS i podatki, legalnie zatrudniali pracowników. Uczciwi przedsiębiorcy uzyskali pewien benefit, a ci, którzy byli jeźdźcami na gapę, wsparcia nie otrzymali. To bardzo ważna lekcja na przyszłość. Ostatnia rzecz – myślę, że doświadczenia tarczy mogą się stać fundamentem do budowania długotrwałej relacji między administracją a przedsiębiorcami, wynikającej z tego, że państwo nie zostawi biznesu w trudnych sytuacjach.

„Estoński CIT”, ulga robotyzacyjna – to dwa projekty Ministerstwa Rozwoju, które mogą pobudzić przedsiębiorców do działania w postcovidowej gospodarce.

– Inwestycje powodują, że polska gospodarka jest rozkręcona i stabilna. Chciałbym podkreślić rolę Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, dzięki której państwo zyskało pewną odporność na kryzysy – mówił wiceminister Robert Nowicki. – To daje nam dziś dobre wyniki gospodarcze w porównaniu z otoczeniem europejskim. Zwracając uwagę na budowanie konkurencyjności Polski na europejskim rynku właśnie, chcemy budować przewagi dla przedsiębiorców. Nowe zasady CIT mają pomóc aktywnym przedsiębiorcom. Wiemy też, że będzie brakowało rąk do pracy, demograficzne zmiany są nie do uniknięcia – stąd ulga automatyzacyjna, wspierająca wykorzystanie technologii w wielu zakładach.

Panel „Tarcze antykryzysowe uda się zmienić w projekty rozwojowe” udowodnił, że paradoksalnie możemy kryzys covidowy traktować jako pewną szansę dla polskiej gospodarki. Czy ją wykorzystamy, zależy od decyzji podejmowanych w najbliższych miesiącach nie tylko przez administrację rządową, lecz i przedsiębiorców. ●

(mac)

Zielony ład szansą na rozwój

Połączenie Lotosu z Orlenem wpisane jest w politykę energetyczną Polski i jest jednym z warunków udanej transformacji energetycznej w perspektywie 2040 – mówił Paweł Jan Majewski, prezes Lotosu, w czasie jednej z debat na Forum Ekonomicznym 2020 w Karpaczu

Przejęcie Lotosu przez Orlen jest warunkiem koniecznym do tego, aby zbudować mocną politykę i strategię inwestycyjną spółki, która nie będzie się wahała odważnie wchodzić na rynki zachodnie, które otwierają zupełnie nową perspektywę inwestycyjną. Z naszego punktu widzenia tzw. zielony ład i sprawiedliwa transformacja stanowią szansę na rozwój – mówił prezes Lotosu.

Majewski zarysował także szeroką wizję przyszłości spółki:

– W perspektywie najbliższych 20 lat będziemy mieli do czynienia z takim miksem paliwowym, który będzie się w ogromnym stopniu opierał na tzw. paliwach alternatywnych. Więcej, to, co dziś nazywamy właśnie paliwami alternatywnymi, za dwie, trzy dekady przestanie być postrzegane w kategorii ciekawostki czy możliwości technologicznej, ale stanie się jednym z głównych źródeł zdywersyfikowanego miksu paliwowego – mówił szef pomorskiego giganta energetycznego.

Prezes Lotosu dodawał, że miks stanowiąc będą zarówno paliwa tradycyjne, jak i gaz ziemny oraz wodór.

– Mówię tutaj o ogromnej szansie rozwojowej. Musimy zdawać sobie sprawę z tego, że aby zostać liderem,

nie możemy się bać ani czekać, powinniśmy jako kraj prowadzić prace nad legislacyjnymi ramami wykorzystania tzw. paliw alternatywnych w jak największej skali. Z perspektywy Lotosu wierzę, że proces połączenia z Orlenem tak naprawdę nie tylko nie przeszkodzi w naszych planach rozwoju w tym obszarze, lecz wręcz wzmocni nasze możliwości. Lotos wciąż będzie się liczył w tym obszarze, pozostanie w strategicznym centrum nadmorskim, ale po przejęciu przez Orlen zyskamy większe możliwości inwestycyjne na badania i rozwój. Będziemy także bardziej odporni rynkowo, a jeśli spełnią się plany Orlenu z połączeniem z PGNiG, to możliwości synergii i wydobywania będą praktycznie nieograniczone – dodawał Majewski.

W podobnym tonie wypowiadał się w trakcie debaty minister klimatu Michał Kurtyka, który przypominał, że czekająca Polskę w najbliższych 20 latach transformacja energetyczna wygeneruje ok. 300 tys. nowych, wysokopłatnych miejsc pracy. Minister przypominał, że na wsparcie transformacji w regionach górniczych trafi ok. 60 mld zł.

– Po raz pierwszy dostępne będą tak znaczące środki na transformację – 60 mld zł, dla których pięć polskich

regionów węglowych musi znaleźć dobre, mądre, atrakcyjnie ekonomiczne projekty [...]. Konkretnie strategie sprawiedliwej transformacji w regionach powinny być gotowe na koniec tego roku, by w początkach przyszłego roku zostały zasilone wiarygodnymi projektami – mówił minister Kurtyka.

Szef resortu klimatu przypomniał, że w ostatnim czasie jego resort zakończył etap konsultacji projektu Polityki Energetycznej Polski do 2040 r. W stosunku do wcześniejszych założeń projekt – jak relacjonował minister – wzbogaciły m.in. doświadczenia z epidemii COVID-19, plany wynikające z dynamicznego rozwoju technologii oraz możliwości, jakie daje unijny plan odbudowy, przewidujący duże środki również na zadania związane z transformacją klimatyczną.

Filarem zmian w polskiej gospodarce musi być „sprawiedliwa transformacja”, w której miejsca pracy w tradycyjnej energetyce, opartej głównie na węglu, będą zastępowane miejscami pracy w innych przemysłach. Kurtyka przypominał, że znaczna część środków z unijnego Funduszu Odbudowy, służącego odbudowie europejskiej gospodarki po pandemii koronawirusa, trafi właśnie na projekty w dziedzinie energetyki, transportu czy przemysłu. ●

Lotos: Fuzja to droga, dla której nie ma alternatywy

Połączone potencjały Lotosu, Energi, Orlenu i PGNiG dają nam niemal nieograniczone możliwości rozwoju i inwestycji – zapowiedział Paweł Jan Majewski, prezes Lotosu, na Forum Ekonomicznym w Karpaczu. Szef pomorskiego giganta paliwowego dodał, że fuzja Lotosu z Orlenem stanowi odpowiedź na wyzwania rynku i polskiej transformacji energetycznej

Szef Lotosu zapewniał, że postrzega fuzję z Orlenem jako szansę.

– W nadchodzących latach będziemy mieli do czynienia z miksem w dużej mierze opartym na paliwach alternatywnych – mówił. Dodawał też, że jego firma stawia na LNG, CNG i wodór.

– Jesteśmy w czasie transformacji energetycznej, którą z jednej strony wymusza na nas nowy europejski zielony ład, z drugiej generuje np. spadający popyt na paliwa. Dziś transformacja energetyczna pokazuje, że idą zmiany, na które trzeba szukać odpowiedzi. Dlatego pracujemy w tak zaawansowany sposób nad paliwem wodorowym. Mamy w planie otwarcie stacji wodorowych oraz oczyszczanie wodoru do stanu idealnej niemal czystości. Wszystkie te działania prowadzone są po to, żeby odpowiadać na wyzwania współczesnego rynku, ale mamy świadomość, że łatwiej i efektywniej można prowadzić je w większej grupie, z większym kapitałem intelektualnym. To właśnie dlatego fuzja jest drogą, wobec której nie ma alternatywy – tłumaczył Majewski.

Prezes Lotosu dodawał, że zarządzana przez niego firma efektywnie wykorzystuje swój potencjał m.in. w kwestii wykorzystania wodoru w energetyce, ale jednocześnie potrzebuje zmian prawnych i zwiększenia możliwości finansowania prowadzonych badań.

– Zamierzamy pracować nad najbardziej efektywnym wykorzystaniem wodoru w energetyce i transporcie. Potrzebujemy jeszcze zmian w legislacji, które pozwolą na szersze wykorzystanie wodoru. Dzięki połączeniu z Orlenem, a w dłuższej perspektywie – PGNiG – zyskamy dużo większe możliwości w pozyskiwaniu pieniędzy na badania – tłumaczył Majewski.

Prezes paliwowego giganta zapewniał, że w jego ocenie przejęcie Lotosu przez Orlen nie zmieni zupełnie nic z perspektywy klienta, bo nowy, multienergetyczny koncern nadal będzie musiał konkurować i rywalizować z zagranicznymi firmami, które od lat funkcjonują na polskim rynku. Zmieni się jedynie rynkowa perspektywa, bo celem fuzji jest stworzenie „dużego gracza, konkurencyjnego w regionie, który dołączy do światowej czołówki”.

O tym, że tego typu zmiana jest koniecznością, mówił w czasie panelu dyskusyjnego na Forum Ekonomicznym także prezes Instytutu Jagiellońskiego Marcin Roszkowski: – W ostatnich latach w energetyce zmieniło się wszystko i dotyczy to każdego z sektorów w tej branży. Co więcej, oprócz gigantycznej zmiany technologicznej obserwujemy również zmianę mentalności społecznej, którą oczywiście wspierają legislacje unijne – mówił Roszkowski.

Prezes Instytutu Jagiellońskiego dodawał, że zmianom podlega także „sposób myślenia o inwestowaniu”: – Spółki paliwowe muszą przejrzeć swoje aktywa, muszą zrobić jakiś ruch, żeby odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Połączone potencjały firm pomogą rozwiązywać problemy wspólnie. Konkurencja będzie bardzo duża, ale ta zmiana jest wymuszana przez rynek. To jest ostatni moment, w którym można to zrobić – dodawał Roszkowski.

W podobnym tonie wypowiadał się także Andrzej Sadowski z Centrum im. Adama Smitha, który podkreślał, że wcześniejsze rządy w Polsce przegapiły właściwy moment na taką fuzję: – Należało to zrobić dwie dekady temu, kiedy wiadomo było, że Polska będzie częścią większej wspólnoty gospodarczej. Wówczas trzeba było stworzyć podmiot, który konkurowałby na rynku europejskim, a nie wewnątrz kraju. Dziś fuzja jest spóźniona właśnie co najmniej o dwie dekady, gdy nasz rynek jest kontrolowany przez podmioty zagraniczne, co widać choćby przez utrudnione i osłabione warunki przejęcia. Tak się nie stało i mamy to, co mamy. Teraz należy się skupić na tym, co może zrobić polski rząd, aby proces przeprowadzić.

O tym, iż pomoc polskiego rządu jest czynnikiem niezbędnym do właściwego prowadzenia procesu przejęcia Lotosu przez Orlen, wspominał także profesor Witold Modzelewski: – Żyjemy w momencie nieprawdopodobnego resetu, wszystko, co jest wokół nas, zmienia się w sposób w dużym stopniu trudny do przewidzenia. W innych realiach historycznych trudno byłoby się zgodzić na podobną fuzję, ale jedno jest pewne, bez rządu tego zrobić się nie da – mówił profesor. ●



PZU zdało wirusowy test

To był stresujący moment. 10 września Grupa PZU, jeden z największych i najważniejszych polskich podmiotów gospodarczych, miała przedstawić swoje wyniki finansowe za pierwsze półrocze 2020 r. Jak powiedział CFO Grupy Tomasz Kulik, sytuacja, z jaką zmierzyła się branża ubezpieczeniowa i finansowa wywołana przez pandemię COVID-19, ma statystycznie miejsce raz na 200 lat. Zdolność Grupy PZU do poradzenia sobie w tych okolicznościach była najlepszym stress testem jej jakości. Dziś już wiemy, że test ten został zaliczony z wynikiem bardzo dobrym

Jeszcze zanim PZU przedstawiło wyniki finansowe, należący do Grupy Medialnej Fratria portal wGospodarcze.pl postanowił zbadać we współpracy z pracownią sondażową Social Changes, jak epidemia koronawirusa wpłynęła na nastroje klientów branży ubezpieczeniowej. Interesowało nas, czy rzeczywistość, w jakiej obecnie żyjemy – wychodzenie z kryzysu spowodowanego lockdownem przy utrzymującym się zagrożeniu pandemicznym, koryguje społeczny odbiór największych firm, z których wiele aktywnie zaangażowało się w pomoc w zwalczaniu SARS-CoV-2? Uznali-

śmy, że w czasach powszechnego zagrożenia to właśnie zaufanie do podmiotów oferujących polisy zabezpieczające zdrowie i życie będzie wartościowym wykładnikiem nastrojów konsumentów skorygowanych przez wydarzenia z ostatniego półrocza.

DUŻY BUDZI ZAUFANIE

Okazało się, że w niepewnych czasach Polacy najbardziej ufają polisom oferowanym przez najbardziej rozpoznawane podmioty, o najdłuższym rynkowym stażu. Aż 47 proc. respondentów poproszonych o wskazanie na-

zwy jednej firmy (badanie typu top of mind), która przychodzi im do głowy, gdy rozważają ubezpieczenia dla siebie, swoich bliskich lub swojej firmy, wskazało PZU. Druga w tym zestawieniu Axa uzyskała jedynie 8 proc. wskazań. Z kolei gdy nie ograniczano respondentów do wskazania tylko jednego podmiotu, ale mogli wymienić dowolną liczbę firm (all of mind), PZU zostało wymienione w aż 65 proc. odpowiedzi, a na drugim miejscu znalazła się Warta z wynikiem 32 proc. PZU jest marką rozpoznawaną przez 87 proc. Polaków (tyle respondentów wskazało, że zna najstarszego polskiego ubezpieczyciela).

Jak się okazuje, zarówno ogół badanych, jak i klienci PZU poleciliby dalej usługi PZU. Ponad połowa (53 proc.) osób niebędących klientami marki poleciliby swojej rodzinie i znajomym skorzystanie z PZU, a 13 proc. poleciliby ten wybór w stopniu maksymalnym. Można to traktować jako wyobrażenie jakości obsługi.

Aktualni klienci PZU są jeszcze bardziej zadowoleni. 57 proc. z nich poleciliby PZU swojej rodzinie, a aż 1/5 aktualnych klientów marki (22 proc.) poleciliby ją w stopniu maksymalnym. To oznacza, że aktualni klienci PZU są jeszcze bardziej pozytywnie nastawieni do marki PZU niż osoby niebędące jej klientami. Czyli satysfakcja rośnie wraz z doświadczeniem klienta.

UBEZPIECZAMY ZDROWIE I ŻYCIE

Ten imponujący wskaźnik zaufania do marki PZU przełożył się na to, jak grupa przetrwała najtrudniejsze miesiące pandemii i wynikające z niej obostrzenia gospodarcze. Przedstawione w ostatnim czwartek wyniki są, co zrozumiale, gorsze niż za lata ubiegłe, ale bardzo dobrze rokują na przyszłość. Z raportu dowiedzieliśmy się, że PZU odnotowało 185 mln zł skonsolidowanego zysku netto przypisanego akcjonariuszom jednostki dominującej w II kw. 2020 r., wobec 734 mln zł zysku rok wcześniej. Zysk operacyjny wyniósł 400 mln zł, wobec 1 614 mln zł zysku rok wcześniej, natomiast składka przypisana brutto sięgnęła 5 594 mln zł w II kw. 2020 r. wobec 5 938 mln zł rok wcześniej.

W pierwszym półroczu 2020 r. Grupa PZU zebrała składki brutto o wartości 11 691 mln zł, czyli o 1,3 proc. (148 mln zł) niższe niż w analogicznym okresie 2019 r. Należy zwrócić uwagę na fakt, że wyniki pierwszego półrocza 2020 r. zostały obciążone potężnym odpisem o wartości 1 343 mln zł. Odpis ten dotyczy aktywów bankowych rozpoznanych podczas transakcji przejścia Alior Banku i Banku Pekao.

– Odpisy to wypadkowa kilku czynników, które istotnie wpłynęły na pogorszenie się warunków biznesowych dla sektora bankowego. Do najważniejszych należą skutki gospodarcze wywo-

lane pandemią koronawirusa, w tym obniżenie stóp procentowych przez RPP oraz wzrost ryzyka kredytowego i utworzenie dodatkowych rezerw z tym związanych – wyjaśnił CFO Grupy PZU Tomasz Kulik.

Jednak działalność PZU związana z tzw. core-biznesem, a więc sektorem ubezpieczeń, generowała znakomite wyniki, które pozwoliły zrekompensować odpisy związane z posiadaniem przez grupę pakietów akcji Aliora i Pekao. Szczególnie widoczne w ostatnim czasie były wzrosty w segmencie ubezpieczeń na życie. Dynamicznie rozwijał się także obszar zdrowia, gdzie przychody wzrosły o 20,6 proc. w ujęciu rocznym, do 439 mln zł. Na koniec pierwszego półrocza 2020 r. PZU Zdrowie miało podpisanych 2,7 mln umów. W ramach oferty PZU klienci mieli dostęp do 2,2 tys. współpracujących partnerów medycznych, 130 lokalizacji Grupy PZU, 48 szpitali oraz 2 200 lekarzy.

– Dzięki wysokiej sprawności działania osiągnęliśmy bardzo dobre wyniki w kluczowych obszarach biznesowych. W pierwszej połowie 2020 r. marża w ubezpieczeniach grupowych i indywidualnie kontynuowanych wzrosła do poziomu 26,1 proc., wskaźnik mieszany (COR) wyniósł 87,1 proc., a zwrot na inwestycjach był wyższy o 3,2 pkt proc. od stopy wolnej od ryzyka (RFR). Są to wyniki istotnie lepsze niż te osiągnięte rok wcześniej. Są też wyraźnie lepsze od ambicji strategicznych. W rezultacie zwrot na kapitale, z wyłączeniem odpisów, wyniósł 19,1 proc. – dodał prezes Kulik.

Warto nadmienić, że obecnie udział PZU Życie w rynku ubezpieczeń na życie w Polsce wynosi 41,8 proc. i jest najwyższy od II lat.

Ogólny wynik finansowy z działalności ubezpieczeniowej byłby z pewnością jeszcze lepszy, gdyby nie bardzo duży spadek sprzedaży samochodów w Polsce i związany z tym zastój w kanale polis zawieranych na nowe i używane pojazdy.

To, że pandemia, która zepsuła nieco wynik finansowy przez zmianę warunków dla sektora bankowego, nie zachwiała pozycją PZU, nie wynika jedynie z wewnętrznych badań i prognoz grupy, ale jest opinią pochodzącą także od niezależnych ośrodków badaw-

czych. Zdaniem analityków agencji ratingowej S&P Grupa PZU ma tak solidny fundament ubezpieczeniowy, że w przyszłości będzie się rozwijać szybciej niż jej zagraniczni konkurenci. Już na kilka dni przed opublikowaniem wyników S&P nie wahało się prognozować, że nie zepsują ich nawet odpisy, jakich musiał dokonać PZU w związku z utworzeniem rezerw związanych z pandemią COVID-19 przez banki Alior oraz Pekao SA.

Warto podkreślić także bardzo sprawne dostosowanie PZU do nowych wyzwań związanych z pandemią, wprowadzenia efektywnej pracy zdalnej i utworzenia nowych kanałów sprzedaży online.



Pierwsza połowa 2020 r. to okres, w którym otoczenie biznesowe grupy podlegało bardzo dynamicznym zmianom. Dla Grupy PZU był to test zwinności i elastyczności, w którym dążyliśmy do integracji i cyfryzacji wielu struktur korporacyjnych. Z perspektywy pierwszej połowy roku widzimy, że przyjęty model działania wykazuje dużą stabilność i odporność, pozwalając efektywnie funkcjonować nawet przy dużej zmienności rynku – zarówno po stronie oferty produktowej, jak i dopasowania się do preferencji zakupowych klientów. Jednocześnie pracujemy nad nową strategią Grupy PZU, która będzie kontynuacją, wzmocnieniem i rozszerzeniem wprowadzanych dotąd zmian. Znajdą się w niej cele i założenia mające służyć osiągnięciu ponadprzeciętnych wyników finansowych, mimo niełatwej rzeczywistości biznesowej i koniunktury gospodarczej. Dalsza inwestycja w fundamentalne wartości grupy pozwoli na jej rozwój, zwiększenie siły kapitałowej i pozycji konkurencyjnej. Liczę, że niezależnie od przyszłych zmian sytuacji gospodarczej PZU będzie w stanie nadal generować ponadprzeciętne dywidendy dla akcjonariuszy.

Beata Kozłowska-Chyła,
p.o. prezes zarządu PZU SA

Gotuję tu i tam

Miałam siedem lat, kiedy przyjechałam z rodzicami do Warszawy z Wietnamu – kraju leżącego blisko równika, w którym rośnie wiele przepysznych owoców. Słodkich, mięsistych, soczystych. To z nimi – smakowo – kojarzy mi się Wietnam. Lubiałam je jako dziecko jeść. Choćby chlebowiec, który – gdy jest niedojrzały – przypomina w smaku kurczaka. Albo pitahaja (zwana też pitają lub smoczym owocem).

Ale kuchnia Wietnamu to też np. karmelizowane mięso. Po przyjeździe do Polski często je przygotowywaliśmy w domu, by przypominało nam Wietnam. I pamiętam jeszcze z dzieciństwa smak tofu smażonego w bardzo cienkich plastrach i sprzedawanego na bazarku, na który chodziliśmy z mamą co tydzień.

Gdy zamieszkaliśmy w Warszawie, w praktyce uczyłam się łączenia wietnamskich przepisów z polskimi produktami i europejską techniką przygotowywania dań.

Gotowaniem zajmowałam się od dziecka. To był mój obowiązek, ale też coraz większa przyjemność. Szybko się przekonałam, jak w wietnamskich przepisach

sprawdza się np. polski boczek czy wieprzowina (tłuszcz w mięsie to nośnik smaku). Z powodzeniem można też wykorzystywać dostępne warzywa, a orientalny smak uzyskać za pomocą sosu rybnego czy sojowego, które są dziś powszechnie dostępne.

Dużo rzeczy mi w Polsce smakuje. Jestem m.in. fanką smalcu – oczywiście z cebulką i skwarkami, chlebem na zakwasie i kiszonym ogórkiem. Bardzo dobre są suszone wędliny, szczególnie kabanosy, które cieszą się wielkim wzięciem w Wietnamie. To idealna przekąska dla Azjatów. Trafia w ich gusta – zwarta, lekko gumista struktura mięsa pozwala, w czasie żucia, na powolne wydobywanie smaku.

Chętnie sięgam też po

owoce, zwłaszcza jabłka... mogłabym długo wymieniać. A ostatnio często robię zupy. Teraz chodzi za mną ogórkowa.

Gotowanie stało się moją pasją i wpłynęło na moją karierę, choć jeszcze w warszawskim liceum równie mocno, jak przygotowywanie potraw, pociągała mnie ekonomia. W maju tego roku obroniłam pracę licencjacką w SGH – kierunek: finanse i rachunkowość.

To, co teraz robię, wiąże się też z inną moją pasją – podróżowaniem. W programie „Smaki świata po polsku” [który od 6 września, co niedzielę, o godz. 11.15 można oglądać w TVP2 – przyp. red.] razem z Robertem El Gendim odwiedzamy przedstawicieli różnych narodów, którzy osiedlili się w Polsce. Poznajemy ich historię, powody, dla których przyjechali do Polski, i słuchamy, jak im się dziś żyje. Oczywiście kosztujemy też potraw, których przepisy z sobą przywieźli i odkrywamy, jak je „spolszczyli”.

W programie trafiliśmy do przybyszów m.in. z Afryki Północnej, ale też Brazylii, USA, Indii, Japonii, krajów Europy Środkowej; dotarliśmy również do Ormian, jednak pierwszy odcinek był o Wietnamie. Nie tylko dlatego, by widzowie Dwójki mogli mnie poznać, ale też, by pokazać jedną z najliczniejszych mniejszości narodowych żyjących dziś w Polsce.

Nie wyjeżdżając bardzo daleko, udało nam się poznać najróżniejsze zakątki globu. Na dodatek, spotykaliśmy czasem naszych bohaterów w miejscach, w których byśmy się zupełnie tego nie spodziewali. To była fantastyczna przygoda. Pełna również kulinarnych odkryć. Serdecznie zapraszam na spróbowanie z nami „Smaków świata po polsku” (wyemitowane już odcinki można znaleźć na VOD). A dziś jeden z prostych przepisów na pyszne danie:) z mojego profilu na FB.

Jolanta Gajda-Zadworna

Ciepły ryż z masłem palonym i...

Wykonanie: Ciepły ryż mieszam z masłem palonym (na średnim ogniu podgrzewam masło, aż staje się lekko brązowe), majonezem sri-racha, szczyptą garam masala oraz czarnego pieprzu, do tego kawałki słodkiewki pomidora i #DUŻO świeżej bazylii. Skraplam sosem rybnym i sokiem z cytryny. I #bum #mamy #Proste i #szybkie #ComfortFood. O jejciu, jakie to #pyszne No niech ktoś spróbuje zrobić.



**SŁODKO-SŁONY**

Kolory soli

ANNA MONICKA

Czy można się zakochać w soli? Może zabrzmieć to głupio i infantylnie, ale tak. W cukrze nie. Cukier uzależnia jak narkotyki i jest prawdziwą białą śmiercią. Bez soli natomiast nie ma życia. Chociaż w nadmiarze szkodzi. Jak wszystko.

Wydawałoby się, że jest po prostu słona. Nic bardziej mylnego. Mam w domu kilkanaście rodzajów soli: białą kłodawską, kolorowe – zabarwione dzięki różnym minerałom, wędzone i smakowe – z ziołami, skórkami cytrusów.

Przez całe lata największym odkryciem była sycylijska sól cytrynowa, barwiona na złotożółty kolor sokiem z cytrusów. Pyszna, delikatna, świetna do jogurtów, sałatek, mięsa. Gdy zaczęłam nią przyprawiać jedzenie, znajomi zwrócili natychmiast uwagę na ciekawy nowy posmak wielu dań, zwłaszcza tych, dla których podstawą był ryż. Kolejne odkrycie – sól cytrynowo-miętowa. Idealna do delikatnych kurczaków, indyków czy polędwiczek wieprzowych.

Kilka lat temu koleżanka pojechała do Włoch na targi żywności ekologicznej i przywoziła stamtąd kolejne odkrycie – sale di Cervia, ze starożytnych włoskich warzelní położonych na wybrzeżu Adriatyku, mniej więcej w połowie drogi między Równiną a Rimini. Rozciągające się na kilkaset hektarów warzelní można zwiedzać podobnie jak malownicze saliny we francuskim Camargue. Rytuał zbierania soli trwa od czerwca do września i gromadzi mnóstwo turystów. Sama sól jest niezwykła, lekko wilgotna, słdkawa. Dzięki niej surowe i pieczone warzywa smakowały wybitnie, podobnie jak ryby i owoce morza, które od wieków są nią w Cervi przyprawiane.

Sól wędzoną dostałam w prezencie od znajomej, która wróciła z Portugalii. Jest idealna do paelli, duszonego drobiu. Wegetarianie sięgają po nią, gdy chcą potrawom nadać charakterystyczny smak wędzonki.

Ostatnim odkryciem jest kala namak, niezwykle aromatyczna sól, która tradycyjnie wytwarzana jest w Indiach. Himalajską sól kamienną praży się z dodatkiem węgla drzewnego, kory, suszonych owoców; potem jest mielona. Pachnie... hm, taki zapach pamiętam z ośrodka rehabilitacji, do którego chodziłam na zdrowotne kąpiele. Albo z pociągu, kiedy współpasażerowie wyciągali kanapki z jajami na twardo. Siarkowodór. Mniemam. Żarty jednak na bok, ta sól może uzależnić. Wszelkiego rodzaju sałaty, surówki, twarogi – wydobywa i wzmacnia naturalne smaki, dodając do nich bardzo ciekawą siarkową nutkę. Przyprawione nią jajecznicza, szakszuka czy jajka faszerowane smakują po prostu bosko.

Co ciekawe, kala namak można pić rozpuszczoną w wodzie. Przypomina naszego zuberka. I podobnie działa: leczy wrzody żołądka, dwunastnicy, nadkwasotę.

**WILCZYM OKIEM**

Linneusz w kawiarni

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Systematyka to próba opisaní, uporządkowania otaczającego nas świata przyrody, aby stał się bardziej zrozumiały, łatwiejszy do ogarnięcia umysłem. To wciąż żywa, fascynująca nauka z pogranicza przyrody i filozofii; zagłębiając się w rozmaite systemy klasyfikacyjne, z jednej strony poznajemy świat organizmów żywych w jego wielkiej różnorodności, z drugiej zaś nie mniej interesujący sposób, w jaki od zarania dziejów człowiek dąży do poznania.

Jeden z pierwszych systemów porządkujących zróżnicowanie flory zawdzięczamy Teofrastowi, który około 300 r. p.n.e. opisał 500 gatunków roślin (w tym jako pierwszy pochodzącą z Nowej Gwinei trzcinę cukrową i palmę kokosową).

Około 60 r. n.e. Pliniusz Starszy umieścił w swoim spisie już 1 tys. gatunków roślin.

Prawdziwym przełomem, z którego owoców korzystamy do dziś, były XVIII-wieczne prace Linneusza. Szwedzki przyrodnik nie tylko opisał około 7,7 tys. gatunków roślin i sporo ponad 4 tys. gatunków zwierząt (ogarnięcie takiej różnorodności to fenomen), lecz także rozpowszechnił podwójne nazewnictwo, pozwalające na precyzyjne określanie gatunków. Stosuje się go do dziś, ponieważ pomysł jest genialny: z jednej strony prosty, z drugiej zaś jak dotąd najlepiej nadaje się do opisywania i klasyfikowania tego, co z natury wydaje się zbyt różnorodne do ogarnięcia systemem. Do dziś też przy bardzo wielu gatunkach pojawia się literka L., świadcząca o tym, że gatunek ten został przyporządkowany do rodzaju i opisany jeszcze przez Linneusza i pomimo upływu wieków nikt nie podważył jego rozstrzygnięcia.

W 1783 r. powstał Ogród Botaniczny Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, najstarszy w Polsce, instytucja niezwykle zasłużona w poznaniu i zrozumieniu świata roślin (z ogrodem związany był Józef Warszewicz, słynny podróżnik i botanik, zajmujący się odkrywaniem i opisywaniem nowych gatunków).

Niemal 250 lat po powstaniu ogrodu botanicznego i prawie 300 lat po Linneuszu w kawiarni ogrodu przekonałem się, że skłonność do tworzenia systemów klasyfikacyjnych nie wygasła i jest nieodmienną cechą natury ludzkiej; od czasów pierwszych filozofów przyrody nieodmiennie też inspirujące jest oparcie systemu klasyfikacji na świecie przyrody, o czym się przekonałem, czytając kartę napojów: napoje z ziaren, napoje z owoców, napoje z liści i napoje z szyszek.



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Niemowlę przed ekranem

Długi marsz lewicy przez instytucje trwa już kolejną dekadę. Lewicowe spojrzenie na świat, kulturę i naukę zdominowało także przekaz mass mediów. Zachodnie kino i kultura dawno wyrzuciły ze swoich scenariuszy aksjologię Dekalogu. To świat na wskroś ateistyczny, żyjący tak, jakby Boga nie było. Polska, która wydaje się jeszcze enklawą wartości chrześcijańskiej Europy i tego, co jeszcze nie tak dawno nazywaliśmy normalnością, znajduje się obecnie pod wyjątkowym naporem ludzi, agendy i korporacji inwestujących miliardy dolarów w ateizację całych kontynentów. Presja na polski Kościół, duchownych, wiernych Kościoła katolickiego odbywa się równolegle w kilku kierunkach. Trudno powiedzieć, jak skończy się to starcie. Laicyzacja, choć niewidoczna, stale postępuje. Ateistyczna kultura masowa, która zdominowała obszar niemal całej mediosfery, miesza w głowach naszemu młodemu pokoleniu, które jest organicznie zespolone z najnowocześniejszymi technologiami i nie potrafi bez nich egzystować. To są fakty. I nie ma co im zaprzeczać.

Jednak dziś wcale nie na to chciałabym zwrócić uwagę moich uważnych czytelników. Te zagrożenia już znamy, niemal każdego dnia o nich słyszymy

i lepiej lub gorzej zdajemy sobie sprawę ze skutków tego, co nas czeka, gdy zamienimy się w ludzkie zombie. Gdy utracimy świat naszych wartości, zatracimy swoją tożsamość, zagubimy duszę i własne człowieczeństwo.

Jest jednak jeszcze obszar inny. Niewidoczny, jakby niezauważany, a dotyczący także mediów. I ten zależy od nas. Mamy na niego wpływ od początku do końca. Chodzi o wychowanie dzieci i ich edukację medialną. A dokładniej o obcowanie dziecka ze światem mediów, gdy jeszcze nie potrafi odróżnić świata realnego od tego, co widzi na elektronicznych obrazach. Jest to bardzo ważny moment, kształtujący dziecięcą osobowość niemal na całe późniejsze, dorosłe życie. Decydujący o tym, czy nie stanie się pół-autystycznym, niewrażliwym egoistą, redukującym swój żywot do procesów konsumpcji i wydalania. Bo trzeba pamiętać, że kiedy dziecko trafia do przedszkola czy szkoły, często ma już za sobą długi żywot w towarzystwie elektronicznych obrazów płynących z telewizora czy komputera. I o ten etap jego życia chodzi.

EKRAN JAK RZECZYWISTOŚĆ

Medioznawcy i psychologowie zgodnie twierdzą, że dziecko do trzeciego roku życia nie rozumie tego, co widzi na ekranie

nie monitora czy smartfona. Ale mimo to, przyswaja obrazy i zachowania eksponowane tam, przede wszystkim te związane z przemocą. A później właśnie one, głęboko zakodowane, mogą wpływać na jego już w pełni świadome życie. Włoski badacz mediów Giovanni Sartori przychyliła się do opinii o wielkim wpływie mediosfery na całą ludzką egzystencję i mówi o jej znaczeniu w całym procesie wychowania dziecka. Opisuje wideodziecko, czyli osobnika wychowanego przez wideowidzenie. Głównym problemem jest to, że obrazy medialne trafiają do tych, którzy już nie czytają, są gnuśni umysłowo, bo wcześniej zostali „rozmiękczeni” przez bierne patrzenie, wybrali (zostali skazani) rzeczywistości gier komputerowych i gotowych informacji.

Zamieszkanie w świecie elektronicznych obrazów sprzyja ucieczce z realnego świata. Giuseppe Sartori powiada, że dorosły człowiek, wychowany przez elektroniczne obrazy, wyraża się w języku zawiesinie i żyje w stanie umysłowej mętności. Może być tak, że nigdy nie dorośnie, gdyż życiowo został przeznaczony przez skłonność ku zabawie. Włoski badacz podkreśla: dziecko wychowane przez telewizję w pierwszym pokoleniu to postać z mózgiem w stanie logicznego i racjonalnego obumarcia, a multimedialne wideodziecko jutra

objawi się jako osobnik z osobowością zdeintegrowaną z „zdekonstruowanym ja, które zaludni kliniki psychiatryczne”. „Jeśli damy posłuch fałszywym prorokom, którzy bombardują nas swoimi multiprzekazami, znajdziemy się znienacka w wirtualnym świecie, który obróci się w realną katastrofę” – ostrzega Sartori.

ELEKTRONICZNA NIANIA

Mediosfera skutecznie zastępuje dziś instytucję „baby sitter”, gdyż pierwszą czynnością współczesnej niani jest uruchomienie w obecności dziecka telewizora albo komputera, co skutkuje tym, że dziecko bez względu na wiek zaczyna oglądać różnego rodzaju obrazy przeznaczone dla dorosłych. Wiedzą o tym właściciele wielkich koncernów medialnych. W USA w 2006 r. uruchomiono kanał BabyFirst TV. Jest to specjalna oferta telewizyjna dla niemowląt i dzieci od sześciu miesięcy do lat trzech, dostępna w Wielkiej Brytanii, ale także w sieci telewizji kablowych w Polsce. Miesięczny abonament kosztuje 10 dol., a stacja jest dostępna przez 24 godziny na dobę. W swojej ramówce ma ponad 38 różnych audycji. Direct TV – stacja, na której antenie pojawiła się BabyFirst TV – przytacza wyniki badań, które wskazują, że aż 68 proc. dzieci w USA poniżej drugiego roku życia ogląda telewizję.

„Archives of Pediatrics & Adolescent Medicine” opublikowało wyniki badań przeprowadzonych w formie ankiety telefonicznej na reprezentatywnej próbie amerykańskich rodzin mających dziecko w wieku od dwóch miesięcy do dwóch lat, z których wynika, że dzieci stają się regularnymi „odbiorcami” telewizji przeważnie od dziewiątego miesiąca życia. Średni czas przebywania przed telewizorem dziewięciomiesięcznych niemowląt w USA wynosi 40 min dziennie, dzieci rocznych – około godziny, a dwulatków – już ponad półtorej godziny dziennie. Podobnie przedstawia się sytuacja w krajach Europy.

Badania potwierdzają tezę, iż oglądanie telewizji przyczynia się do opóźnienia nauki języka i mowy dziecka.

Dzieci oglądające telewizję przed ukończeniem trzech lat nie wypadają dobrze w testach oceniających ich umiejętności w wieku sześciu oraz siedmiu lat. Uwzględnienie zewnętrznych czynników, takich jak rodzicielskie preferencje, zdolności oraz inwestowanie w rozwój poznawczy dziecka, sugeruje, że mogą one również stanowić bezpośrednie lub pośrednie przyczyny zaobserwowanych wyników.

Zajmująca się sprawami rodziny fundacja Kaiser Family Foundation opublikowała raport, z którego wynika, że dzieci poniżej drugiego roku życia nie wynoszą żadnych edukacyjnych korzyści z programów przeznaczonych dla swojej grupy wiekowej. Z badań dr. Dimitriego A. Christakisa,

Dziecko obciążone przekazami i informacjami naśladuje swoich idoli, ale także przyswojone sytuacje i zachowania brutalne. Imituje obrazy, w których jego bohaterowie sięgają po niktynę, alkohol, narkotyki

pediatry i psychologa dziecięcego, dyrektora Child Health Institute na Uniwersytecie w Waszyngtonie, wynika, że oglądanie telewizji przez dzieci poniżej trzeciego roku życia jest szkodliwe dla ich rozwoju umysłowego. Takie dzieci radzą sobie gorzej od innych w testach ze znajomości liter i cyfr, które wykonują na początku pierwszej klasy szkoły podstawowej. Każda dodatkowa godzina dziennie, którą dziecko poniżej trzeciego roku życia spędza przed telewizorem, obniża jego zdolność koncentracji w wieku 10 lat o 7 proc. Według przeprowadzonych na Uniwersytecie Pensylwanii badań oglądanie chociażby „Ulicy Sezamkowej” przez dzieci poniżej trzeciego roku życia wywierało negatywny wpływ na ich zdolności językowe.

TELETAPETA

W USA „wystawianie” niemowląt i małych dzieci przed ekran telewizora uznano za jeden z najważniejszych problemów zdrowia publicznego kraju. Naukowcy z University of Washington oraz Seattle Children's Hospital Research Institute zbadali, że w USA regularnie „ogląda” programy telewizyjne oraz filmy DVD 40 proc. trzymiesięcznych niemowląt. Wśród dwulatków odsetek stałych widzów wynosi 90 proc.

Psychologowie są zdania, że niemowlętom szkodzi nie tylko nieme wpatrywanie się w ekran. Negatywny wpływ ma na nie nawet przebywanie w pomieszczeniu, w którym włączony jest telewizor. „Telewizja w tle”, tak zwana teletapeta, jak określa to zjawisko Marie Evans Schmidt, nieustannie rozprasza bawiące się w tym samym pomieszczeniu dzieci, które – zamiast skupić się na wykonywanych właśnie czynnościach i rozwijać w ten sposób nowe umiejętności – regularnie zerkają na ekran lub wsłuchują się w reklamowy jazgot. W efekcie mają one duże problemy z koncentracją, potrzebną do wykonania najprostszych czynności życiowych. Dla stymulacji rozwoju mózgu zdecydowanie korzystniejsze jest nawiązywanie kontaktów z dzieckiem, np. przez rozmawianie z nim lub czytanie, a także bezpośredni kontakt fizyczny. Regularne oglądanie telewizji przed ukończeniem trzeciego roku życia ma zaś związek – jak sądzi wielu pediatrów – z późniejszymi problemami z koncentracją, z zachowaniami agresywnymi oraz ze słabszym rozwojem poznawczym.

Dziecko obciążone przekazami i informacjami ulega tendencjom eskapistycznym lub poszukuje imitacji oglądanych przekazów. W efekcie naśladuje swoich idoli, ale także przyswojone sytuacje i zachowania brutalne. Imituje obrazy, w których jego bohaterowie sięgają po niktynę, alkohol, narkotyki. Niewykształcona tożsamość seksualna dziecka ulega zachwianiu, gdy okazuje się, że wielbiony przez nie gwiazdor filmowy czy wokalista wykazuje zachowania homoseksualne. Ale o tym już następnym razem.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

RZECZY POSPOLITE

Oscarzyce 2024

Widziałem już czarnoskórego Lancelota. I czarnoskórego Achillesa. Ale to mało. Teraz dopiero się zacznie. Amerykańska Akademia Filmowa ogłosiła nowe zasady dotyczące Oscarów, które mają obowiązywać od 2024 r. Według nich tylko te filmy, w których jeden z głównych aktorów gra osobę dyskryminowaną (jest nią) lub najważniejszy wątek dotyczy spraw osób dyskryminowanych, będą brane pod uwagę jako możliwi kandydaci do nagród. Osoby dyskryminowane to np. geje, a właściwie całość LGBTQ i jak tam dalej sobie jeszcze można dodać literkę, Azjaci, Murzyni, Hawajczycy, ludzie z Bliskiego Wschodu, osoby niepełnosprawne czy... kobiety (jakby do tej pory kobiety były jakoś przez kino poszkodowane w sensie ról, które grają, nagród itp.). Są oczywiście inne sposoby, by móc się załapać. Wystarczy, że 30 proc. mniej istotnych ról to będą właśnie geje, Murzyni czy niepełnosprawni.

Uważam, że to rewelacyjne rozwiązanie. Mam nawet pomysły, co powinniśmy nakręcić w Polsce, by uzyskać całą furę Oscarów. Powinna być to kinowa wersja „Stawki większej niż życie”, w której rolę wszystkich Niemców, oj, przepraszam, „nazistów”, oczywiście zagrają osoby czarnoskóre i geje.



**Tomasz
Łysiak**

W końcu geje lubią się przebierać w takie quasi-faszystowskie ciuchy, do twarzy im będzie. Kloss zresztą będzie Azjatą, niepełnosprawnym bliźniakiem lesbijki z Hawajów. Ale przede wszystkim obsada nazistowska będzie kluczem do sukcesu. Jakiś Murzyn zagrałby samego Hitlera (Morgan Freeman, jakby mu dokleić wąsika, by się nadał). W końcu dlaczego nie? Jak może być Achilles i Lancelot, to czemu nie Hitler?

Nie? Już słyszę głosy oburzenia, że to skandal i nie wolno. A zaraz, chwileczkę – czyli równouprawnienie ma obowiązywać na ekranie, ale tylko w stosunku do bohaterów pozytywnych? A jeśli chodzi o czarne charaktery to mają je grać jedynie biali heteroseksualni mężczyźni? I to jest równe i sprawiedliwe?

A zatem, jak mówiłem, kwatera główna Hitlera. Sami Murzyni w bunkrze. Wchodzi Göring – chory na otyłość brzuszna transwestyta niebinarny. Planują atak na Hollywood. I wtedy wkracza Kloss. Płacze. Mówi: „J-23 znowu się nie nadaje”. Ma problemy z tożsamością. Brunner wyznaje mu miłość. Oscarzyca murowana (czemu ma być Oscar w rodzaju męskim właściwie?).

Duchowi podpalacze

Francjo, najstarsza córko Kościoła, co zrobiłaś ze swoim chrztem? – pytał papież Jan Paweł II dokładnie 35 lat temu. Od tego czasu wiele wody w Sekwanie upłynęło. Jak ma się dziś ta najstarsza córka, przedstawił niemiecki dziennik „Die Welt”: co roku burzy się kilkadziesiąt kościołów, ocalałe są bezczeszczone i rozkradane, ataków o antychrześcijańskim podłożu z podpaleniami świątyń włącznie jest dwa razy więcej niż antysemitkich i dziesięć razy więcej niż powodowanych islamofobią, równocześnie co dwa tygodnie powstaje we Francji nowy meczet...

Niemcy, naród pragmatyczny, mają to za sobą, o czym „Die Welt” nie napomyka. Za Odrą kościołów nikt nie podpalał, są przydatne inaczej. Jak w Willingen, gdzie w byłym domu bożym zaczęto serwować piwo z konfesjonu, czy w Trewirze, gdzie świątynię przerobiono na halę sportową dla młodzieży, czy w Waldfischbach, gdzie kościół przekształcono na salon piękności, czy w Ottersbach, gdzie po wyniesieniu tabernakulum i ław wstawiono motocykle itd. Niemcy to również naród postępowy i awangardowy. To duchowny prekursor Hans Möllter już ćwierć wieku temu pierwszy udzielił w kościele w Kolonii ślubu parze gejów.

Co prawda szef chadeków w Bundestagu Volker Kauder potępił pogłębiającą się dechrystianizację republiki, że „jako chrześcijanie powinniśmy więcej mówić o naszej religii,

a mniej o islamie”, ale chyba tylko pro forma, bo wkrótce rozpocznie się proces pastora Olafa Letzela za... „podżeganie do nienawiści”. Jak podżegał? Przypomniawszy ex cathedra pierwsze przykazanie dekalogu: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną”, czyli... okazał wrogość wyznawcom islamu i innym, a poza tym odsądza od czci i wiary „diabelskie homolobby” za szerzenie „genderowego łajna”. Póki prawili o „grzechu homoseksualizmu” w kręgu małej grupki, póty mu uchodziło, ale że liczba słuchaczy jego kazań i obserwatorów w internecie wręcz eksplodowała, to się doigrał.

„Brema jest wielobarwna”, a Letzel to „duchowy podpalacz” i „kaznodzieja nienawiści, mieszaniny chrześcijańskiego fundamentalizmu z faszyzmem”, który uczynił z Biblii „broń uderzeniową” i „nurza ludzi w brunatnej bryi”, huknęli lewicowcy. Całowanie się gejów w ramach protestu przed jego kościołem i podczas mszy, rozebrane aktywistki LGBT z tęczą na piersiach, bazgroły na świątyni i domu pastora, włamanie na jego internetowy profil i zatopienie w fali pornografii, wreszcie – groźby śmierci..., że spytam: kto właściwie jest tym duchowym podpalaczem?



**Piotr
Cywiński**

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

w **SIECI**
HISTORII



Fot. Shutterstock

W PREZENCIE KOLEKCJA NUMIZMATÓW W OZDOBNYM BLISTRZE



ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:

tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORIA** za 280 zł,
a kolekcję numizmatów Wielcy Polacy otrzymasz **GRATIS!**

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłaty za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Charbel z Libanu

Dostałam kiedyś niezwykłą książkę od operatora filmowego Huberta Waliszewskiego „Święty Charbel mnich cudotwórca” Patryzji Cattaneo. Wówczas postać tego maronickiego pustelnika, największego cudotwórcy w historii Kościoła, była w Polsce prawie zupełnie nieznaną. Znając fachowość, pasję i osobowość pana Huberta, wiedziałam, że książka na pewno jest wartościowa.

Już we wstępie okazało się, jak wielkie znaczenie w całej tej historii odegrała fotografia. Po wstąpieniu Charbela do klasztoru nikt nie zrobił mu żadnego zdjęcia, zawsze opuszczony na oczu kapturem i całkowite wycofanie się ze świata zasłaniały jego tajemniczą twarz. 8 maja 1950 r., w dzień jego urodzin, czterech misjonarzy maronici przybyli do grobu i zrobili sobie zdjęcie razem z miejscowym stróżem tego grobu. Podczas wywoływania fotografii zauważono w jej centrum szóstą tajemniczą postać – mnicha z białą brodą z kapturem na głowie i opuszczonymi oczami. Starsi zakonnicy rozpoznali w nim ojca Charbela, eksperci wykluczyli fotomontaż. We wszystkich publikacjach, filmach, dokumentach, łącznie z wizerunkiem na placu Świętego Piotra w Rzymie podczas jego kanonizacji 9 października 1977 r., widnieje twarz świętego Charbela, która w tajemniczy, cudowny sposób znalazła się na owym pamiątkowym zdjęciu.

Po przeczytaniu tej książki kupowałam kolejne wydawnictwa na temat tego niezwykłego świętego, jego kraju – Libanu, ludzi tam żyjących, ich historii, życia codziennego, charakteru i wierności zasadom. Stali mi się bardzo bliscy i teraz każdego dnia śledzę sytuację w Libanie po niedawnej wielkiej tragedii. 4 sierpnia późnym popołudniem potężny wybuch wstrząsnął Bejrutem, stolicą tego małego kraju. W wyniku eksplozji zginęło ponad 200 osób, tysiące zostało rannych, wiele poszukiwano pod gruzami, niektórzy zostali wrzuceni silnym podmuchem do morza. Zniszczenia są olbrzymie. Jako przyczynę tragedii władze libańskie podają wybuch składowanych w porcie 2750 ton saletry amonowej (azotanu amonu), wcześniej przez nie skonfiskowanej. Do wybuchu doszło podobno podczas spawania otworu w magazynie, co miało zapobiec kradzieży. Eksperci zgodnie oceniają, że zawiniła ludzka bezmyślność, bo niedopuszczalne jest, aby tak wielki ładunek saletry amonowej znajdował się w magazynie od sześciu lat bez podjęcia odpowiednich środków zabezpieczających!

Rzeczywistość, w której żyjemy, niezależnie od szerokości geograficznej jest dziełem ludzi walczących o władzę, pieniądze, przywileje, bez troski i zważania na los zwykłych ludzi. Trudno nawet sobie wyobrazić, jak wielkie dramaty kryją się za pięknymi obrazkami współczesnego świata. Ludzie dobrze ubrani, w luksusowych samochodach, bogatych wnętrzach, ci z okładek kolorowych pism i telewizyjnych reklam nie mają nic wspólnego z autentycznym stanem du-



**Alina
Czerniakowska**

cha społeczeństw, narodów i jednostek, które noszą w sobie wiele rozpaczy i smutku, często nawet nie mając świadomości przyczyn swojego stanu.

Wracając do świętego Charbela i do Libanu jego czasów. Przeczytałam właśnie zbiór reportaży opublikowanych w grubej księdze pt. „Cedr Libanu” autorstwa Salvatore Garofala. Jest to niezwykła opowieść o ojczyźnie i życiu jednego z najbardziej niepojętych, arcyciekawych duchownych, który jeszcze przed śmiercią zyskał opinię świętego, coraz bardziej znanego również w Polsce. Modlitwa i praca wyznaczały codzienny rytm życia miejscowej ludności i żyjącego wśród nich Charbela, który jako młody chłopak wyruszył nocą, bez pożegnania z rodzicami, do klasztoru w Annaju, wykutym w skałach, na stromych skalistych zboczach wśród cedrowych lasów. Libańczycy dumni są z obecności na ich ziemi „Syna Bożego, który stał się człowiekiem, i Maryi Matki Jego”, obecności potwierdzonej w Ewangeliach. Zachwycający jest opis, jak wznoszono tu marmurową statuę Matki Bożej, królowej Libanu, na wysokości 600 metrów na wprost wybrzeża, by była widoczna dla Maryi z rodzinnej Nazaretu. Pachnące drzewa cedrowe, symbol i duma ziemi libańskiej, uważane są za niezniszczalne, bo „chwałę Oblubienicy Boga śpiewają”.

Autor opisuje zwyczaje i codzienne modlitwy ludu libańskiego, niezliczone pieśni, malownicze uroczystości religijne, setki sanktuariów, kościołów, kaplic, klasztorów na szczytach gór i wąwozów wśród „boskich cedrów, osiągających 25 metrów wysokości i do 12 metrów szerokości pnia. Stąd też Liban i jego mieszkańcy w przenośni i dosłownie znajdują się zawsze w cieniu cedrów Boga”. Kiedy czytamy o życiu pełnym naturalnego uwielbienia Stwórcy, wzajemnej serdeczności, a także pokory i siły w znoszeniu wszelkich trudów, rodzi się w nas tęsknota za pięknem i ciszą. Jednocześnie bliski staje się nam święty Charbel, którego życie jest tak niepojęte jak obraz Boga.

Papież Paweł VI, ogłaszając w 1977 r. świętym Charbela Makhoulfa, libańskiego eremity, powiedział: „Aby zbawić świat, aby zdobyć go duchowo, koniecznym jest, jak chce Chrystus, być w świecie, ale nie przynależać do tego wszystkiego, co świat oddala od Boga, służyć światu z miłości, nie będąc jego niewolnikiem. Samotność Charbela powinna wzbudzić w nas potrzebę bycia, trwania w Bogu, odnalezienia siebie w ciszy, w samotności duszy oczyszczonej, aby usłyszeć głos Ducha”. Dzisiaj każdy z nas nosi w sobie tęsknotę za ciszą tak bardzo potrzebną naszej skolataną duszy, człowiek tęskni, nie zawsze mając tego świadomość, „za prawdziwą głębią poznania i wolności, do której wyzwolił nas Chrystus”, o czym tak pięknie pisze Jana Paweł II w swojej książce „Dar i Tajemnica”.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Eksperyment

W 1968 r. dr John Calhoun przeprowadził ciekawy eksperyment – „Mouse utopia”. W dużym skrócie: cztery pary myszy otrzymały idealne warunki do życia w siedlisku obliczonym docelowo na 3840 osobników. Nieograniczony dostęp do wody, pożywienia, materiału do budowy gniazd, a także brak naturalnych wrogów i ograniczenie chorób zakaźnych zaowocował istną eksplozją demograficzną. Gdy liczebność gryzoni w mysim „raju” przekroczyła 2000, u samców zanikła umiejętność obrony własnego terytorium, pojawiły się też zachowania homoseksualne. Samice stały się agresywne i porzucały swe potomstwo. Stado, skupione na jedzeniu, spaniu i igraszkach wyglądało wyjątkowo pięknie. Ale też okazało się wyjątkowo głupie. Po czterech latach eksperyment zakończył się samoistnie: wymarły stare osobniki i nie pojawiło się nowe pokolenie myszy. Powtarzany potem kilkakrotnie na innych gryzoniach „test dobrobytu” dawał ten sam wynik: nieograniczony dostęp do pokarmu i brak zewnętrznych zagrożeń prowadziły (w dłuższej perspektywie) do wyrugowania wypracowanych, przekazywanych latami więzi społecznych, zaniku instynktu przetrwania i infantylizacji całego stada. I to właśnie stało się bezpośrednim powodem wymarcia danej populacji.



**Lech
Makowiecki**

Dlaczego akurat teraz przypominam o tym zapomnianym eksperymencie? Bo testy na zwierzętach służą zwykle rozwiązywaniu ludzkich problemów. W latach 70. nic nie zapowiadało katastrofy cywilizacji, wciąż jeszcze żyła i dominowała generacja Europejczyków pamiętająca wojenne zagrożenia i rozumiejąca swoją tu misję. Dziś, gdy sens życia zamożnych społeczeństw ogranicza się wyłącznie do wyścigu w egoistycznej, rozpasanej konsumpcji i przesuwaniu do absurdu granic idiotycznych „wolności”, nasz kres będzie znacznie szybszy. W warunkach laboratoryjnych nie istniało zagrożenie ze strony drapieżników i pandemii.

PS „Koniec świata! Ludziom poprzewracało się w d...ach” – to słowa mojego śp. Dziadka. Nie był naukowcem...



Z życia

Kościół

relacjonuje
**Agnieszka
Ponikiewska**

1. Odchodzą kapłani rówieśnicy św. Jana Pawła II. Zmarły 5 września kard. Marian Jaworski, metropolita lwowski, został pochowany w bliskim jemu i Karolowi Wojtyśle sanktuarium w Kalwarii Zebrzydowskiej. Kard. Jaworski stał się symbolem odrodzenia Kościoła katolickiego na Ukrainie. W złaicyzowanym i zniszczonym przez komunizm kraju głosił Chrystusa. To dzięki niemu na Ukrainie otworzyła się droga dla posługi kapłanów i wspólnot zakonnych z Polski.

✂ ✂ ✂

2. W czasach gdy potrzeba jednoznaczności Kościoła i mocnego stania po stronie prawdy, mamy zamęt. Ks. prof. Alfred Wierzbicki, teolog i etyk z KUL, wygłasza w mediach poglądy dalekie od nauki Kościoła, a ostatnio poręczył za aktywistę LGBT Margot. KUL wprawdzie odcina się od wypowiedzi ks. prof. Wierzbickiego, ale z lakonicznego komunikatu niewiele wynika.

✂ ✂ ✂

3. Kryzys męskości, brak ojca w rodzinie i odchodzenie od tradycyjnego modelu wychowania jest zagrożeniem dla społeczeństw. Dlatego niezwykle cenna jest inicjatywa pielgrzymki mężczyzn do Matki Bożej Częstochowskiej. Tegoroczna odbędzie się 26 września pod hasłem „Oblężenie Jasnej Góry”. Będzie czas na modlitwę i warsztaty. Mężowie i ojcowie dowiedzą się chociażby tego, jak nie bać się odpowiedzialności i być liderem w rodzinie.

✂ ✂ ✂

4. Pomysł zająć wychowania seksualnego dzieci wraca z początkiem kolejnego roku szkolnego. O. Leon Knabitz, znany z trzeźwej oceny rzeczywistości, przypomina: „Rodzice powinni wiedzieć, czego uczy się ich dzieci. Jeśli w takich wykładach obraża się naszą wiarę i moralność, mamy obowiązek nie zgodzić się na to. Będzie to też sprawdzian z naszej dojrzałości chrześcijańskiej”. Krótko i na temat.

✂ ✂ ✂

5. Pokuta, nawrócenie, trzeźwość i modlitwa różańcowa – do tego wzywała Matka Boża, objawiając się w Gietrzwałdzie. Za nami 143. rocznica tych objawień i uroczystości odpustowe. Przesłanie Maryi jest nadal niezwykle aktualne. Wciąż potrzeba nam przemiany wedle klucza Ewangelii, modlitwy za i o świętych kapłanów oraz przywiązania do sakramentów.



JAN POSPESZALSKI

Ujawnienie po latach działań pedofila ks. Stanisława P. jest kolejnym potwierdzeniem, że obecność homoseksualnych klik w łonie polskiego Kościoła ma charakter systemowy. Skargi na ks. Stanisława P. docierały do tarnowskiej kurii właśnie w tych latach, gdy hierarchowie po skandalach w plockim seminarium zajęci byli oczyszczaniem diecezji na Mazowszu.

Dokładnie pamiętam przeżywany przez nas szok, ponieważ właśnie redakcje „Warto rozmawiać” i „Rzeczpospolitej” Pawła Lisickiego ujawniły nadużycia homoseksualnej subkultury w plockiej kurii (m.in. w wydziale katechetycznym i w seminarium). Ksiądz prof. Andrzej Kobyliński (jeden z niewielu, którzy podjęli walkę z deprawatorami kleryków) sformułował tezę o lawendowej mafii, która jak pasożyt niszczy Kościół nie tylko w Płocku, lecz w Polsce. Brzmiało to wtedy tak niewiarygodnie, że uznałem to za osobisty uraz po szykanach, jakich doświadczał jako wykładowca seminarium.

Upłynęło kilkanaście lat, a ponura teza ks. Kobylińskiego się potwierdza. Wybuchające co jakiś czas afery obyczajowe (abp Józef Wesolowski, ks. prałat Charamsa, ks. Kachnowicz), jak i odkrywanie szokujących faktów z przeszłości (kard. Gulbinowicz) już nie bulwersują jak dawniej. Wygląda

Odwaga kapłanów wobec homoherezji

Potrzebna odwaga i publiczny głos innych kapłanów. Jest ich wielu, mają ogromną wiedzę i mogą pomóc w neutralizacji lawendowej mafii

na to, że wstrząs za każdym razem jest mniejszy, tak jakby katolicka opinia oswajała się z problemem. Nie widać też adekwatnej reakcji hierarchii. Można odnieść wrażenie, że sprawy traktowane są za każdym razem jako wydarzenie jednostkowe, lokalne. Są, owszem, przykrym, wizerunkowym problemem, który trzeba szybko wyciszyć i o którym należy zapomnieć. Jeżeli afery nie uda się zdusić w zarodku (bo np. znający kulisy ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski nie da się zastraszyć), następuje przerzucanie się odpowiedzialnością. Wymiana ciosów między diecezjami dotycząca ks. Stanisława P. odbywała się również na głównej antenie Polskiego Radia. Niestety, słuchacze nie otrzymali potem przeprosin ani wyrazów skruchy, ani wyjaśnienia ze strony biskupów. W planie duchowym nie było też wezwania do modlitwy czy zadośćuczynienia. To tak, jakby sprawa grzechu w Kościele była złamaniem prawa, a nie obrazą Pana Boga i cierpieniem wiernych.

Inną postawę przyjął biskup diecezji Madison ks. Robert C. Morlino. Po wybuchu sprawy McCarricka napisał do wiernych list. Biskup przyznaje: „Zbyt długo pomniejszaliśmy rzeczywistość grzechu – nie nazywaliśmy grzechu grzechem – i usprawiedliwialiśmy grzech w imię błędnego pojmowania miłosierdzia. Starając się być otwarci na świat, zbyt chętnie porzucaliśmy Drogę, Prawdę i Życie”. Amerykański hierarcha uważa, że kryzys nie ogranicza się do sprawy McCarricka. Głębszym kryzysem, któ-

rym należy się zająć, jest przyzwolenie na grzech w poszczególnych osobach, na każdym poziomie Kościoła. „Módlcie się za naszych seminarzystów – kończy list biskup Madison. – Módlcie się za siebie i za swoje rodziny”.

Ks. prof. Robert Skrzypczak homoseksualizm duchowieństwa nazywa herezją niszczącą Chrystusowy Kościół. „Wiotki, zniewieściały, egotyczny, homoseksualny kapłan jest godną leżą karą tego, po co przyszedł na ziemię Syn Boży, bolesną deformacją Jego miłości. Potrzeba krzyku, gniewu i wstrząsu”. Niestety najważniejsi hierarchowie polskiego Kościoła wolą dyscyplinować abp. Jana Pawła Lenge, ale nie chcą wysłuchać wiernych, którzy ze względów moralnych protestują wobec nominacji ks. prof. Ryszarda Czekalskiego na stanowisko rektora UKSW. Przełożeni tropią pobożnych zakonników, którzy nie mogąc zaakceptować zamętu doktrynalnego w Kościele, zdecydowali się (a właściwie zostali zmuszeni) do życia pustelniczego poza strukturami własnych zgromadzeń. Ale ci sami przełożeni tolerują subkulturę gejowskie we własnych klasztorach. Ks. prof. Skrzypczak, ks. prof. Oko, ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, ks. prof. Kobyliński, ks. Dziewiecki sami nie dadzą rady. Potrzebna odwaga i publiczny głos innych kapłanów. Jest ich bardzo wielu, mają ogromną wiedzę i mogą pomóc w neutralizacji lawendowej mafii. To ostatni moment, by uchronić polski Kościół od powolnego samobójstwa.

Michał Korsun prezentuje: **Marzenie Hansa G.**



Wycinki z przeszłości

Ten żart opublikowany w 1938 r. w tygodniku „As” za amerykańskim pismem popularnym „Esquire” pewnie dzisiaj by się już nie ukazał. Ale po kolei.

Sala sądowa. Sędzia do skarżące, obok której gromadka dzieci oraz mężczyzna.



– I kiedy pani się zorientowała, że jej narzeczony nie zamierza się ożenić?

Po pierwsze, żaden sąd nie zajmowałby się koniecznością ożenku przez mężczyznę, ojca dzieci, dotrzymania zobowiązań. Co najwyżej, zasądzałby alimenty. Ale przede wszystkim warto zwrócić uwagę na kolor skóry bohaterów – sędzia i protokolant są biali, podsądni to ciemnoskórzy. I choć sytuacja taka właśnie mogła się zdarzyć, obecnie uznano ją za zbyt stereotypową, rasistowską.

(mk)

Lato, gdy już do magazynów...

Stanisław Baliński (1898–1984)

Okno wspomnień



Leszek Długosz

*Każdy ma w swej pamięci pośród wspomnień mglistych
Jakiś obraz owiany barwą nieco złudną,
Obraz taki wyłączny, własny, osobisty,
Że trudno go wyjawić, wypowiedzieć trudno.*

*Może to być wspomnienie smugi nad obłokiem,
Płynącym o świtaniiu po różowym niebie,
Albo – smugi latarni wśród nocy głębokiej:
Znak, że ktoś inny jeszcze czuwa oprócz ciebie.*

*Może to być blask słońca, co pogodę wróży,
Lub błysk stalowej iskry, zapalanej w loncie,
Może być jakiś wieczór, co na wsi się dłuży,
Jak senny gwizd pociągu, gdzieś na horyzoncie.*

*Może być czyjaś radość po lekarza słowie,
Który zapewnił wiernie, że przywróci zdrowie.
Może być wreszcie fragment z sonaty, co kryje
Pamięć o przyjacielu, co dawno nie żyje.*

*Obojętne, co streszcza obraz niedzisiejszy,
Może być – krótko mówiąc – blachy, najzwyczajniejszy,
Ale posiada jakieś ukryte znaczenie
I wozimy go z sobą wśród wojny i grzmoty,
Jak pamiątkę, co w drodze nie sprawia kłopotu,
A czasami pociesza nas niepostrzeżenie.*

*Gdy wracacie wieczorem znużeni, zziębnięci,
Do waszego dziś domu, taniego hotelu,
Żeby odpocząć wreszcie w spółwiałym fotelu,
Wyciągnijcie ten obraz z portfela pamięci,
Bo on zawsze do serca pogody doleje,
Jak ogień na kominku, co wam ręce grzeje.*

CENNIK

PRENUMERAT*

OKRES PRENUMERATY

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej



OD A DO ZYBERTOWICZA

Tajemnica Platformy

HISTERIA ZAMIAST HISTORII

Skoro doświadczony i dobrze wykształcony polityk może nie znać podstawowych, naukowo zweryfikowanych faktów – tego np., że laureat Nagrody Nobla Lech Wałęsa jest tożsamy z pobierającym wynagrodzenia od Służby Bezpieczeństwa TW „Bolkiem” – to czego należy się spodziewać po mniej doświadczonych i słabiej wykształconych politykach i sympatykach PO? Czego należy oczekiwać od młodych osób, które ewentualnie przystąpią do ruchu Rafała Trzaskowskiego?

Chyba nie jest tak trudno odpowiedzieć na to pytanie. Należy się spodziewać dalszego życia w ułudzie. Kontynuacji odmowy wiedzy co do prawdziwych, ale niewygodnych faktów oraz głębokiej ufności w wyobrażenia fałszywe, ale dobrze wpisane w czyjeś interesy. Takie dwa w jednym.

To, jak głęboko ugruntowana jest odmowa wiedzy w tym środowisku, pokazuje reakcja Jarosława Urbaniaka, gdy zaproponowałem mu lekturę książek Sławomira Cenckiewicza poświęconych Wałęsie. Polityk Platformy odrzekł wtedy, że publikacje historyka nie są wiarygodne: „Czyta się je bardzo kiepsko i ma się duże wątpliwości, które pozostają”. Może i trudno się czyta. Talentu literackiego Cenckiewicza ani Piotra Gontarczyka, współautora przełomowej, dobrze udokumentowanej książki „SB a Lech Wałęsa” (wydanej – uwaga: w roku 2008), nie zamierzam tu bronić. Jednak żaden poważny historyk w ramach rzeczowej analizy nie wykazał autorom istotnych błędów w zakresie naukowej analizy dostępnych źródeł.

To w klimacie takiego zastępowania historii przez polityczną histerię Rafał Trzaskowski ma budować „nowy” „ruch” „społeczny”. Wszystko w cudzysłowie.

Andrzej Zybertowicz

To, jak głęboko ugruntowana jest odmowa wiedzy w tym środowisku, pokazuje reakcja posła Urbaniaka, gdy zaproponowałem mu lekturę książek Cenckiewicza poświęconych Wałęsie

Odrzucać prawdę, wierzyć w fałsz. Takie podsumowanie myślenia środowiska Platformy Obywatelskiej nasunęło mi się po niedzielnym programie „Woronicza 17” z 6 września 2020 r.

Zacząłem się od polemicznej wymiany zdań między posłem Jarosławem Urbaniakiem a niżej podpisanym. Polityk PO jest dobrze wykształcony, ma dwa magisteria: z zarządzania (UW) i filozofii (KUL). Był także nauczycielem matematyki. Posłem jest od roku 2005, z przerwą na pełnienie urzędu prezydenta miasta Ostrów Wielkopolski.

CIEŃ SB NAD SOLIDARNOŚCIĄ

W programie powiedziałem, że w dynamikę Solidarności było wpisane agenturalne rozpracowywanie tego ruchu jako działania antytotalitarnego. Ważną rolę w tym kontekście odgrywał człowiek,

który twierdzi, że nie był „Bolkiem”. Nawiązując do inicjatywy Rafała Trzaskowskiego powołania ruchu o nazwie Nowa Solidarność, pół żartem, pół serio spytałem: kto zostanie w tym przypadku oddelegowany na odcinek TW „Bolka”?

Posel Urbaniak odrzekł: „Odpowiedź jest bardzo krótka. Tylko w waszych chorych głowach jest odcinek TW »Bolka«. W naszych nie ma takiego problemu. Lech Wałęsa, Frasniniuk, Borowczak, Krzywonos – to są bohaterowie Sierpnia '80, których systematycznie niszczyliście, tak samo jak niszczyliście wtedy w latach 80. Nic się nie zmieniło, tak jak PZPR, do którego pan należał”.

Przerwałem, mówiąc: „Panie posle, nigdy nie byłem członkiem żadnej partii. W 1982 r. byłem uwięziony za działalność podziemną. Stosuje pan z jednej strony odmowę wiedzy, co do faktów dotyczących Lecha Wałęsy, a z drugiej strony opiera się pan na fałszywych informacjach. Oczekuję przeprosin z pana strony”.

Posel Urbaniak zachował się właściwie. Przeprosił, dodając: „Takie informacje o pańskiej działalności przed rokiem 1980 zaczerpnąłem z mediów, ale w takim razie je sobie uzupełnię”.

OLŚNIENIE

Zacząłem od informacji o tym, że Urbaniak to polityk doświadczony, który kształcił się na dwóch polskich uczelniach wyższych, by zasygnalizować, że podczas tej audycji przeżyłem swoiste olśnienie; może nie największe, ale jednak.

Poczułem, że odsłoniła się przede mną jakaś istotna socjologicznie tajemnica Platformy, która przecież rządziła naszym krajem przez osiem lat, a jako główna formacja opozycyjna pewien wpływ na polską politykę nadal przecież wywiera. Tajemnica życia w wyimaginowanym świecie, w którym wiele spraw jest widzianych na odwrót. Tajemnica głębokiej niewiedzy.

Sieć Przyjaciół



Jacek Karnowski

Redaktor naczelny tygodnika Sieci



Marzena Nykiel

Redaktor naczelna portalu wPolityce.pl

Sieć Przyjaciół zapewnia dostęp
do cyfrowej wersji **tygodnika Sieci**,
magazynu **wSieci Historii**
i artykułów **PREMIUM+** w portalu **wPolityce.pl**

E-PRENUMERATA **SIECI**
TERAZ 50% TANIEJ!

NOWOŚĆ!
DOSTĘP DO TREŚCI PREMIUM+
W PORTALU **wPolityce.pl**

KUP TERAZ: www.SiecPrzyjaciol.pl

Weź udział

w unikatowym Programie dla
Akcjonariuszy Indywidualnych
PKN ORLEN

OSZCZĘDZISZ NA PALIWIE
AŻ DO 540 ZŁ ROCZNIE

KUPISZ TANIEJ
NA STACJACH PKN ORLEN

**ZYSKASZ WIEDZĘ O RYNKACH
FINANSOWYCH W AKADEMII
INWESTOWANIA**

OTRZYMASZ CERTYFIKAT
SYGNOWANY PRZEZ
CFA SOCIETY POLAND